

BEATA KOZIDRAK

BEATA
GORAÇA KREW



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

BEATA KOZIDRAK

BEATA
GORAÇA KREW

Redakcja: Paweł Goźliński
Korekta: DMC Promedia
Projekt graficzny okładki i makiety: Krzysztof Iwański
Opracowanie graficzne: ProDesGraf
Fotoedycja: Katarzyna Stańczuk
Przygotowanie zdjęć do druku: Paweł Bajer
Zdjęcie na okładce: Adam Pluciński/MOVE - PICTURE, projekt kurtki – Adrian Krupa
Zdjęcia (odwołania do numerów stron dotyczą wydania papierowego książki): Archiwum prywatne Beaty Kozidrak: str. 8, 13, 15, 24, 28-29, 44, 48, 54-55, 59, 63, 68-69, 94, 105, 130-131, 134, 144, 148, 153, 162-163, 174, 185, 211, 230-231, 235, 289; Marek Czudowski, Harry Weinberg str. 156, 177; Marek Czudowski str. 221, 224-225; East News: Mirosław Stankiewicz/TVP str. 90-91; Mirosław Noworyta/SE str. 236; Forum: Jacek Świerczyński str. 143; Jacek Mirosław str. 198-199, 208; Darek Majewski str. 245; Sylwia Prach/Studio 69 str. 256, 256; Studio 69 str. 270-271; Alina Gajdamowicz/Studio 69 str. 274; Grzegorz Jakubowski str. 276; Magdalena Madej str. 5. Krzysztof Opaliński str. 280, 287; Michał Pańszczyk str. 170, 295; PAP: Wojciech Frelek str. 77; Maciej Belina Brzozowski str. 80, 250; Krzysztof Świdorski str. 86, 126-127; Wojciech Kryński str. 114; Polska Press: Krzysztof Woch/Kurier Lubelski str. 43; Reporter: Krzysztof Wojda str. 247; Antoni Zdebiak: str. 97, 193

Wydawca oświadcza, że pomimo podjętych starań nie udało mu się ustalić wszystkich osób uprawnionych z tytułu praw autorskich do fotografii opublikowanych w książce. Prosimy w razie czego o kontakt z Agorą SA (00-732 Warszawa, ul. Czerska 8/10, tel.: 22 555 40 00).

Redaktor prowadząca: Katarzyna Kubicka

Oficjalna strona Beaty Kozidrak: www.beatakozidrak.pl

General & Tour Manager
Ewa Tutka, tel. 605 652 111,
ewatutka@beatakozidrak.pl

Marketing Manager/Media Społecznościowe
Agata Pietras, tel. 605 746 969
agata@beatakozidrak.pl



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

© copyright by Agora SA, 2021
© copyright by Beata Kozidrak, 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2021

ISBN: 978-83-268-3435-6



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej





Moim bliskim,
którzy byli dla mnie ważni,
którzy mnie ukształtowali
i zbyt szybko odeszli:
MAMIE, TACIE i JARKOWI

Był marzec 2020 roku, zaczęła się pandemia koronawirusa, odwołano wszystkie koncerty. Właśnie wtedy, zamknięta w domu, otworzyłam notatnik i zaczęłam pisać. Słowa przychodziły same, jedno po drugim. Dzieciństwo, młodość, pierwsze kroki na scenie... Szukałam w pamięci kadrów, scen i osób, które zaważyły na moim dorosłym życiu. Mama, tata, rodzeństwo, koleżanki i koledzy, dom przy Grodzkiej. A potem kariera, koncerty, festiwale... W tym czasie wyszłam też za mąż, urodziłam dzieci. Musiałam pogodzić ze sobą oba te światy.

Barwne, ciekawe życie – powiecie. Tak, ale nie zawsze. Były też łzy, smutek i trudne decyzje, które musiałam podejmować, aby iść dalej. Jednak zdecydowanie więcej znajdziecie w tej książce uśmiechu, radości i optymizmu. A także przekonania, że marzenia trzeba spełniać, a życie jest po to, by się nim cieszyć.

Jeśli brakuje Ci w życiu TEJ RADOŚCI, czujesz, że się dusisz, a szczęście gdzieś się zgubiło, może to znak, że czas na zmianę? Może trzeba zatrzaskać jedne drzwi, aby otworzyć kolejne? Może warto podjąć radykalną decyzję, żeby znów każdego dnia uśmiechać się i prawdziwie czuć życie?

Mam nadzieję, że moja historia będzie dla Ciebie INSPIRACJĄ. Dziś oddaję ją w Twoje ręce i jestem bardzo ciekawa, co w niej odnajdziesz.

Oto moja BIOGRAFICZNA opowieść. Oto *Beata*.

BEATA KOZIDRAK



Z kuzynką w Krynicy-Zdroju. Mam tu siedem lat.

GENERALNIE MIAŁAM BYĆ PRZEMKIEM.

Albo mogło mnie w ogóle nie być.

Przede mną urodziła się Grażynka, która umarła, kiedy miała zaledwie kilka dni. Więc gdy moja wspaniała mama znowu oczekiwała dziecka, była bardzo osłabiona. Lekarze doradzali wręcz, żeby usunęła ciążę, bo zagrażała jej życiu. Ale mama nie miała wątpliwości.

A potem?

Szok! Nie dość, że urodziła się dziewczynka, to jeszcze w „czepku” i drze się na cały szpital. Być może już wtedy Bóg wyznaczył mi moją przyszłość.



Po porodzie mama musiała zostać w szpitalu, a jej stan był na tyle poważny, że poprosiła tatę, żeby sprowadził jej młodszą siostrę. Mama powiedziała cioci, żeby jeśli „coś się stanie”, zaopiekowała się mną i moim rodzeństwem. Ale nic się nie stało i po jakimś czasie wróciliśmy do naszego lubelskiego mieszkania.

Tak, Lublin to moje ukochane rodzinne miasto, a w dzieciństwie całym moim światem była lubelska Starówka, jej zaułki, zakamarki, dźwięki oraz zapachy – czasami pieczonego chleba i słodkich ciastek z ciastkarni na ulicy Grodzkiej, a czasami smrodu uryny i papierosów w wąskich uliczkach, których na Starówce było mnóstwo.

Mama opowiadała mi, bo przecież nie mogę tego pamiętać, że już jako dwulatka biegałam alejkami wokół Wzgórza Zamkowego, ścigając się z trochę starszymi dziećmi. Przytrzymałam ich rękami i krzyczałam – a wtedy jeszcze nie wymawiałam „r” – „Ja pefa, ja pefa!”

No cóż, sama nie wiem, po kim mam ten gen rywalizacji.

Teraz Stare Miasto to prestiżowe miejsce na mapie Lublina, ale wtedy... Poznałam dzieci, które błąkały się po ulicach głodne i załęknione, bo w ich małych mieszkaniach leżał pijany ojciec, a czasami i matka. Gdy odwiedzałam kolegów i koleżanki, często widziałam alkohol, biedę, smutek, przemoc. Ale nie chciałam czuć się bezradna, chciałam pomagać, do dzisiaj chcę.

Kiedyś zebrałam grupę dzieciaków, żeby pomóc rówieśnikom. Spotykaliśmy się na placu Zebrań Ludowych, obok budki z lodami. Rozdawaliśmy wszystko to, co każde z nas przyniosło. Kanapki, ciastka, jabłka. Jeśli ktoś miał pieniądze, dzieliliśmy je na wszystkich i kupowaliśmy lody. Złoty dwadzieścia za gałkę. Nigdy nie zapomnę ich smaku. Smaku szczęścia.

Tak, byłam szczęściarą. Mieszkałam wprawdzie w skromnym, małym mieszkaniu, ale miałam za to kochającą rodzinę. Mój dom zawsze był ciepły, pachniał pieczonym ciastem i obiadami, które gotowała mama. Nasze mieszkanie znajdowało się na trzecim, ostatnim piętrze kamienicy przy ulicy Grodzkiej 36a, więc z jego okien miałam wspaniały widok na plac Zamkowy, na którym zawsze coś się działo. To było moje pierwsze okno na świat.

Mieszkanie składało się z przedpokoju, kuchni i jednego pokoju – przedzielonego ścianką na pół. W jego jednej części spali moja o osiem lat starsza siostra Mariola i o pięć lat starszy brat Jarek. W drugiej części spałam ja, a na dużym tapczanie moi kochani rodzice, Alicja i Marian. Mama zajmowała się przede wszystkim wychowywaniem całej naszej trójki. Tata był inżynierem i albo wyjeżdżał, żeby coś budować, albo kreślił projekty na sztalugach rozstawionych w kuchni. Mówiliśmy zupełnie innymi językami. Kiedy on opowiadał o przeszłości, ja mówiłam o swoich przeżyciach, o muzyce. Ale jedno dzięki niemu zrozumiałam – a oboje byliśmy zodiakalnymi Bykami – na pasję nie ma rady.

Patrzyłam na zaaferowanego ojca, który godzinami potrafił opowiadać o pracy. Dziś łapię się na tym samym, więc jakoś jestem do niego podobna.

Łazienkę i toaletę mieliśmy w korytarzu, były dostępne dla jeszcze kilku innych rodzin. Ale że moja mama była nie tylko piękną i zadbaną, lecz także świetnie zorganizowaną kobietą, kupiła wielką balię i kąpaliśmy się w mieszkaniu. To po niej odziedziczyłam zaradność, a także głos, piegi i podobno ładne nogi. A nogi potrzebują oprawy. Pamiętam, że w szafie w przedpokoju oprócz ubrań stał też cały rząd maminych butów. Uwielbiałam je wkładać na swoje małe stópki i przeglądać się w lustrze. Szpilki, pantofle, botki, kozaki... Marzyłam, że w przyszłości będę ich miała przynajmniej kilkadziesiąt par więcej niż mama.



Kiedy miałam osiem lat, rodzice kupili nam psa. To był owczarek coli, taki sam jak z filmu *Lassie, wróć!*. A że okazał się suczką, więc otrzymał imię po bohaterce filmu. Bardzo kochałam Lassie, mieliśmy nawet o niej piosenkę, którą śpiewałam z przejęciem dziecięcym głosem na rodzinnych imprezach. Kiedy czasami zostawałam sama w domu, wtulałam się w jej miękkie, ciepłe futro i zasypiałam.

Zabawy z Lassie były fantastyczne, zwłaszcza zimą. Pewnego razu, kiedy skwer pod zamkiem cały był zasypany śniegiem, mój brat wpadł na pomysł, żeby zrobić Lassie uprząż z obroży i smyczy. Przywiązał ją do sanek, a mnie posadził na nich. Zaczął biec, Lassie oczywiście za nim. Wcale się nie bałam. Byłam dumna z brata, że chce się mną opiekować i wymyśla tak fajne zabawy. Niestety Jarek nie przewidział, że na zakręcie sanki mocno się przechyła.

Wylądowałam w śnieżnej zaspie, na której szczycie utkwiała moja kolorowa czapeczka z pomponem.

Jarek dostał mega opieprz od rodziców, ale szybko – przynajmniej w moich oczach – się zrehabilitował. To dzięki niemu zaczęłam uczyć się tańczyć.



Mój dziadek – tata mamy – był samoukiem, robił skrzypce. Pamiętam, jak grał na nich na rodzinnych uroczystościach. Mój wujek przepięknie śpiewał, do tego malował. Mama również śpiewała i ciocia. Dołączaliśmy się z Mariolą i Jarkiem do tego rodzinnego chóru.



Ślubny portret moich rodziców.

Tak, rodzina mamy była bardzo muzykalna. A tata? Kiedyś usłyszał, jak z pokoju mojego rodzeństwa leciała piosenka Czesława Niemena *Dziwny jest ten świat*. Zapytał: „A dlaczego on się tak wydziera?!”. Byłam oburzona. „Nic nie rozumiesz!” – odpowiedziałam gniewnie.

Mój tata, znawca muzyki...

Tymczasem dla mnie Niemen był pierwszą muzyczną ikoną, pierwszym ważnym punktem odniesienia, wzorem – chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak będzie wyglądała moja przyszłość. Kiedy śpiewał, krzyczał, szeptał, gdy swoim głosem wyrażał i silne, i subtelne emocje, był kimś niewiarygodnie prawdziwym. Kochałam go za to. Byłam pewna, że on naprawdę chce mi coś istotnego przekazać.

To nie przypadek, że piosenka Niemena dobiegała właśnie z pokoju Marioli i Jarka. To oni mieli gramofon i to tam odbywała się moja prawdziwa muzyczna inicjacja. Niemen, Breakout, The Beatles... Moja siostra i brat słuchali płyt winylowych, a ja... tańczyłam. Czasami wkurzałam ich strasznie. Nie tylko skacząc po łózkach, ale także bazgrząc w ich zeszytach i wciskając się na imprezy, które organizowali. Byłam naprawdę wścibską małolatą. Mariola i Jarek chętnie by się mnie pozbyli, ale nie mieli jak. W końcu Jarek, patrząc na moje tańce, powiedział mi, że na zamku działa ognisko baletowe. Jak tylko się o tym dowiedziałam, zaczęłam mamie wiercić dziurę w brzuchu, żeby mnie do niego zapisała. Mama była na nie, ale Jarek ją przekonał. Więc jeszcze zanim zaczęłam chodzić do szkoły, rozpoczęłam naukę baletu.



Mój chrzest, obok mnie stoi brat Jarek.

Biegłam na każde zajęcia jak na skrzydłach. Pamiętam zapach drewnianej podłogi, drążki do ćwiczeń przy ścianie luster. Nawet zaczęłam akceptować swoje w nich odbicie. Ja chuda, piegowata sześciolatka zaczęłam marzyć. Zwłaszcza od kiedy pan akompaniator powiedział, że mam talent. Nawet więcej, zaczęłam mieć pewność: czeka mnie jakieś inne, niezwykle, wspaniałe życie. Więc byłam przekonana, że kiedy moja mama przyjdzie


na pierwsze spotkanie dotyczące oceny moich postępów, zostanie obsypana samymi komplementami na mój temat. Ale kiedy usiadłam obok mamy w szatni przed salą baletową, usłyszałam:

– Pani córka jest zdolna, ale krnąbrna!

Skuliłam się w sobie. Kochałam to miejsce i nagle słowo, którego nie rozumiem i które brzmi strasznie!

KRNABRNA...

Bałam się zapytać mamy, co oznacza, ale czułam, że chodzi o to, że coś jest ze mną nie tak. Dziś łatwo się z tego śmiać. Gdyby wtedy był internet, nie płakałabym jak głupia, tylko przeczytałabym, że krnąbrna znaczy również wyjątkowa. I taka, która dobrze wie, czego od życia pragnie. Po latach to zrozumiałam. Cholera, ale ile mi to czasu zajęło?!



BUDZĘ SIĘ W SWOJEJ PIĘKNEJ, PURPUROWEJ SYPIALNI. Wielkie, wygodne łóżko, toaletka, przy której codziennie rano robię sobie makijaż, naprzeciwko łóżka drzwi do pokoju kąpielowego. Powoli zaczynam zbierać myśli. Kalendarz w telefonie podpowiada, że jest 8 lipca 2016 roku. A więc to dzisiaj jest ten dzień!

MÓJ ROZWÓD.

A ja mam kaca jak stąd, czyli z Warszawy, gdzie obecnie mieszkam, do Lublina, gdzie się urodziłam i gdzie właśnie dziś mam zakończyć swój związek, trwający ponad dziesięć lat za długo.

Boże, ratuj! Przypominam sobie wczorajszy dzień, wigilię rozvodu. Spędziłam go z moim ulubionym fotografem, z menedżerką i fryzjerem, który ściął mi włosy. Wypiłam niewiele, ale alkohol w połączeniu ze stresem zrobił swoje. Więc teraz mam olbrzymiego kaca.

Rozglądam się po pokoju i mimo fatalnego samopoczucia jestem z siebie dumna. Ciuchy przygotowane. Garnitur i buty do sądu oraz, oczywiście, seksi zestaw na porozwodową imprezę w gronie zespołu i przyjaciół.

Tylko głowa. Dlaczego tak boli?

Nagle dzwonek do drzwi. Cholera, przecież nikogo się nie spodziewam. Zbiegam ze schodów, chociaż zapomniałam, że mam na sobie tylko majtki. W ostatniej chwili zakrywam piersi dłońmi, uchylam delikatnie drzwi...

Na progu mojego domu widzę kobietę o figurze nastolatki i figlarnym spojrzeniu pełnym spontanicznej radości. Kaśkę. Moją najlepszą przyjaciółkę.

– A ty co tu robisz?! – pytam, a Kaśka już przepycha się obok mnie do holu.

– Co ty? Myślałaś, że zostawię cię samą? W takim dniu?

Wciąż nie mogłam uwierzyć, że Kaśka nie jest widmem, że jest tu ze mną naprawdę.

– Przyleciałaś ze Szwecji specjalnie dla mnie? Przecież mówiłaś, że nie masz kasy. A poza tym nie przesadzajmy, rozwód to dla mnie już tylko papier...

– Tak, jasne! – przerwała mi zdecydowanie. – Przechodziłam to już dwa razy, więc nie pieprz mi, że jesteś taka silna.



KAŚKA. JAK JĄ POZNAŁAM?

Wcale nie w trasie, w studiu ani na koncercie. Właściwie nie zaprzyjaźniłam się tak naprawdę, głęboko, bezinteresownie z nikim „z branży”. Może bym nawet nie potrafiła?

Kaśkę po raz pierwszy zobaczyłam na plaży w Międzyzdrojach. Opalałam plecy, tak jest najbezpieczniej, wtedy nikt nie jest w stanie mnie rozpoznać. Moja córka Agata bawiła się obok z jakimiś dziewczynkami. Zakumplowały się. A mnie zaintrygowała ich matka, piękna blondynka nieustannie strofująca swoje dzieci. „Madzia! Oliwia! Oliwia! Madzia!” Bawiła mnie ta sytuacja, ale jednocześnie ta matczyna pewność siebie sprawiła, że bardzo chciałam tę kobietę poznać. No i poznałam...

Byłam już w pokoju, kiedy Madzia i Oliwka stanęły w drzwiach, żeby spytać, czy mogą się pobawić z Agatą. Trochę je zamurowało, kiedy mnie zobaczyły. A potem? Umówiłam się z ich mamą na kawę, chociaż Kaśce, jako hotelowej instruktorce fitness, nie wolno było utrzymywać osobistych kontaktów z gośćmi. Ale co tam przepisy, kiedy rodzi się taka przyjaźń!

Od razu poczułyśmy się dobrze w swoim towarzystwie, jakbyśmy znały się od zawsze. To się nazywa chemia, prawda?



– À propos siły, to nie wyglądasz najlepiej. Beata, co się dzieje? – spytała Kaśka, a ja w jej głosie usłyszałam szczerą troskę.

ROZPŁAKAŁAM SIĘ. OBJĘŁA MNIE, PRZYTULIŁA.

– No i całe szczęście, że jestem, bo z psyche to u ciebie słabo.

– Ale ja... ja... – zaczęłam nieśmiało. – Ja mam tylko mega kaca! – wyrzuciłam z siebie. – Więc nie wiem, czy fizycznie i logistycznie dam radę...

Kaśka zaśmiała się krótko, a potem spojrzała mi w oczy.

– Ty, królowa, nie dasz rady? – spytała, ale w tym pytaniu nie było ani odrobiny współczucia. – Wypierdalaj na górę. Masz jeszcze godzinę. Prześpij się, a ja ci zrobię bardzo tłustą JAJECZNICĘ.



JAJECZNICA. Zawsze w niedzielę rano w moim rodzinnym domu budził mnie jej zapach. A właściwie cebuli z jajkami. To było popisowe danie mojego ojca i... jedyne.

Siadaliśmy w piątkę przy jednym stole, ale niedzielne rodzinne posiłki nie zawsze były łatwym doświadczeniem, zwłaszcza dla mojego brata. Nie wszystko mu smakowało, a przy jedzeniu całkiem otwarcie wyrażał swoje opinie. Robił przy tym głupie miny, które na ojca działały jak płachta na byka. Podniesione głosy, krótka wymiana zdań i brat, często nie skończywszy jedzenia, lądował w swoim pokoju. Wtedy nieśmiało za Jarkiem wstawiała się mama. On był jej oczkiem w głowie. Zresztą w mojej rodzinie, jak w wielu innych w tamtych czasach, układ był prosty: tata, później długo, długo nikt, potem mama, brat i siostra, a ja, najmłodsza, absolutnie nie miałam prawa krytykować śniadania, obiadu ani kolacji. Nikt przecież nie będzie się liczył ze zdaniem małolaty.

To był punkt startu mojej drogi ku emancypacji. Bardzo długiej i zakręconej drogi.

Był jeszcze jeden powód specjalnej pozycji Jarka w naszej rodzinie. Mój kochany brat był chory. Do tego stopnia, że gdyby nie lekarz, który przyleciał z Los Angeles i podjął się terapii jego kręgosłupa, straciłabym go.

To był bardzo trudny czas dla nas wszystkich. Rodzice byli tak zajęci zdrowiem Jarka, że musiałam sama zająć się sobą i starać się nie stwarzać dodatkowych problemów. A nie miałam wtedy nawet dziesięciu lat. Nie, nie byłam zazdrosna o uwagę rodziców, było mi przede wszystkim bardzo szkoda brata, który po operacji musiał chodzić w specjalnym gorsecie. I mamy, która ciągle płakała, a żebyśmy się nie martwili, chodziła w ciemnych okularach, które skrywały jej opuchnięte oczy.

Tata w tym czasie zaczął nam budować nowy dom.

W mieszkaniu przy Grodzkiej panowały wilgoć i grzyb. Miało to fatalny wpływ na zdrowie Jarka. Rodzice kupili więc działkę na Ponikwodzie, dzielnicy na obrzeżach Lublina. Zaczęła się budowa. Tato był budowlanцем, więc wiedział, jak tanio zdobyć materiały. Kupował cegły z rozbiórek, a ja z siostrą i z mamą czyściłyśmy je z resztek zaprawy. Kiedy dom już stanął, każde z nas miało w nim własny pokój. Mój miał nawet balkon! A mimo to ani ja, ani Mariola nie chciałyśmy wyprowadzać się z Grodzkiej. Kochałyśmy to nasze mieszkanko. Mariola miała na Starówce wielu adoratorów, którzy wystawali pod naszymi oknami, ja miałam przyjaciół, no i blisko na zajęcia baletu. O tym mieszkanku moja siostra napisała piękny wiersz, nosi tytuł *Dziś*:



Dziś coraz rzadziej mi się śni
Mieszkanie przy Grodzkiej 3...
I pokój mój mały
Co światem był całym
I skrzynka na listy
I zapach mokrych liści jesienią
A wiosną bzy na zamkowych zboczach
I to światełko, Mamo, w Twoich oczach
Twoja sukienka w kwiaty
I śmiech radosny Taty
A zimą droga pod górę do szkoły
I głos szkolnego dzwonka
Niecierpliwym, wesół
A latem błotne kąpiele
I dzwonów wołanie w niedzielę
To jeszcze ciągle we mnie tkwi
Lecz coraz rzadziej mi się śni.



Kiedy przeprowadziliśmy się na Ponikwodę, nie miał mnie kto wozić na zajęcia do zamku. Przepadł też pomysł kontynuowania nauki tańca w Warszawie, choć nauczyciele do tego namawiali. Tak zakończyła się moja przygoda z baletem. Bardzo tego żałowałam. Ale niedługo potem miała zacząć się dla mnie zupełnie nowa przygoda: śpiew.



Chodziłam do normalnej podstawówki, lubelskiej dwunastki. Pamiętam, że w mojej klasie lądowały czasami dziewczyny, które powtarzały jedną czy dwie klasy – wyrosnięte, parę lat ode mnie starsze. One już wiedziały, co to miesiączka, seks, prezerwatywa. Ja nie wiedziałam nic. W moim domu – jak pewnie w większości polskich domów w tym czasie – o seksie się nie rozmawiało.

A ja miałam już wtedy „narzeczonego”. Miał na imię Krzysz i nosił za mną tornister. Raz mnie nawet pocałował. Przeraziłam się. Myślałam, że od tego zajdę w ciążę. Naprawdę. Możecie się śmiać, ale tak właśnie było!

Miałam więc chłopaka, ale nie miałam poczucia, że jestem fajna. Wciąż nie podobałam się sobie. Byłam chuda, piegowata, bez żadnych „oznak kobiecości”. Mimo to z tyłu głowy wciąż coś mi podpowiadało, że czeka mnie ciekawe życie. Czułam, że nie będę stała w miejscu, że coś się w moim życiu wydarzy. Przez głowę mi wtedy nie przeszło, że będzie to miało związek z muzyką, nawet jeśli zdarzało mi się śpiewać przed lustrem ze skakanką zamiast mikrofonu i ćwiczyć grę na skrzypcach. Zresztą, ta przygoda szybko się skończyła. Chodziłam z koleżanką na prywatne lekcje

do nauczycielki, która stanowczo nie miała szczęścia do facetów. Dobrze wiedziałyśmy, kiedy jest pokłócona z narzeczonym, bo odgrywała się na nas. Jak? Klasycznym sposobem: tłukła nas smyczkiem po rękach, rzekomo za to, że rzępolimy niemiłosiernie. No cóż, nie wytrzymałyśmy tego terroru. Temat skrzypiec został zamknięty.

W tym czasie znacznie więcej kontaktów z muzyką i sceną miało moje rodzeństwo. Mariola i Jarek założyli zespół Oda 70. Jarek grał w nim na gitarze, Mariola śpiewała i pisała poetyckie teksty – zresztą jak już wiecie, do dziś pisze wspaniałe wiersze. Czasami, gdy wyjeżdżali na występy, zabierali mnie ze sobą. Miałam wtedy jakieś dziesięć lat. Ale muzyka to wciąż były dla mnie przede wszystkim płyty.



Kolonie WZSP w Siennicy Różanej. Razem z koleżankami (stoję druga od prawej), lato 1972.



W szkole podstawowej miałam koleżankę, a koleżanka ciotkę w Londynie. Taka ciotka to był wtedy prawdziwy skarb, bo z Londynu przysyłała winylowe krążki, które w Polsce pozostawały niedostępne. Słuchałyśmy ich, leżąc na podłodze

w pokoju. Mariola i Jarek mieli głównie płyty z polską muzyką, ale teraz otworzył się przede mną muzyczny świat. Pink Floyd, Led Zeppelin – do dziś jestem zakochana w Robercie Plancie, to rzadkie połączenie męskiej urody i nadzwyczajnego głosu – no i Queen. Do tego jeszcze Suzi Quatro. Piękna, silna kobieta śpiewająca tak mocno, że wbijało mnie w dywan. Ale słuchając jej, nie myślałam jeszcze wcale, że chcę śpiewać.

Śpiewać zaczęłam w liceum. Z miłości.



DOSTAŁAM SIĘ DO III LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO IM. UNII LUBELSKIEJ, ZWANEGO PO PROSTU UNIA, JEDNEGO Z NAJLEPSZYCH W LUBLINIE. Była to szczególna szkoła, panował w niej artystyczny duch, działały kabarety, kółka teatralne – brylował w nich ówczesny uczeń naszego liceum Janusz Józefowicz – i wciąż miały próby różne zespoły muzyczne. Byłam szczęśliwa, że mogę się tu uczyć, więc nie przeszkadzało mi, że musiałam donaszać ciuchy po mojej siostrze i że tata nigdy nie zapytał, co u mnie słychać, ani nie zaproponował, że kupi mi jeansy, chociaż wszystkie moje koleżanki już je miały. To nie dodawało mi pewności siebie. Musiałam więc wziąć sprawę w swoje ręce.

Były lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku, moja ludowa ojczyzna rosła w siłę, żeby ludziom żyło się dostatniej, i jako nastolatka myślałam, że tak właśnie wygląda dobrobyt: mały fiat, pomarańcze na święta, ciuchy z peweksu. Wystarczy na nie zarobić. A że jesienią płody rolne w postaci kartofli wręcz eksplodowały z gleby, więc z częścią mojej klasy postanowiliśmy ulżyć Matce Ziemi. Nikt nas nie zmuszał. Wujek kolegi miał pole ziemniaków, więc przez kilka dni jeździliśmy po lekcjach pomagać

mu w wykopkach. To było moje pierwsze źródło dochodu. Jeden z kolegów zabierał gitarę, więc po pracy rozpalaliśmy ognisko, śpiewaliśmy i w ogóle było mega.

A potem, z zarobionymi w ten sposób pieniędzmi, poszłam do sklepu. Jak mało mi było trzeba do szczęścia. Zobaczyłam swoją zgrabną pupę w nowych błękitnych jeansach i od razu poczułam się pewniej.



MOJĄ PIERWSZĄ MIŁOŚĆ ZOBACZYŁAM NA LICEALNYCH SCHODACH. MIAŁ NA IMIĘ ZBYSZEK, DŁUGIE WŁOSY I ORZECHOWE OCZY. Zbyszek był naprawdę przystojny, a do tego – co ustaliła moja przyjaciółka, która przeprowadziła śledztwo na jego temat – grał na gitarze w szkolnym zespole. W skali od 1 do 10 byłam zakochana na 8. Ale był jeden kłopot: z koleżeńskiego śledztwa wynikało, że Zbyszek ma dziewczynę. Więc ja, małolata, byłam dla niego niewidzialna.

Strzała Amora trafiła tak celnie, że najpierw uruchomiła we mnie ukryte zdolności literackie i zaczęłam pisać wiersze. A potem sprawiła, że wpadłam na genialny plan.

Wciąż miałam mnóstwo kompleksów, ale wiedziałam, że skoro się zakochałam, muszę powalczyć o swoją miłość. Wiedziałam też, że w rywalizacji z dziewczyną Zbyszka mam poważny atut: ja mam głos, a ona nie.

Próby odbywały się w szkolnej świetlicy na pierwszym piętrze. Weszłam tam, Zbyszek i jego koledzy jeszcze montowali sprzęt.

– Cześć chłopaki – powiedziałam całkiem pewna siebie. – Mam na imię Beata i chcę z wami zaśpiewać.

Popatrzyli na mnie podejrzliwie, nie dziwię się, byli ode mnie starsi. Więc co ta małolata opowiada! Ale zgodzili się. Zagrali jakiś

ówczesny hit – już nie pamiętam, co to było – a ja zaczęłam śpiewać.

Szczęki im opadły, a Zbyszek w końcu spojrzał na mnie tym swoim orzechowym wzrokiem.

Oni nie szukali wokalistki, ale po tym występie zostałam przyjęta do zespołu.




Studniówka kolegi. Wybraliśmy się na nią razem ze Zbyszkiem, moją pierwszą miłością (siedzi pierwszy z prawej).

Wkrótce nadszedł jubileusz szkoły. Mieliśmy zagrać na uroczystej akademii. To był mój pierwszy publiczny występ. Zaśpiewałam *Ave Maria*. Byłam naprawdę zaskoczona, kiedy w oczach moich nauczycielek zobaczyłam łzy. Wtedy pomyślałam,

że może rzeczywiście jest w moim głosie, we mnie, coś, co wywołuje w ludziach głębokie emocje.

Ale nie miałam czasu rozpamiętywać tego sukcesu. Zaczęły się wakacje, więc spakowałam plecak na swój pierwszy licealny obóz wędrowny i... WITAJ, PRZYGODO!



– Twoje życie to PRZYGODA, zawsze ciekawa i niepowtarzalna. Dasz radę, Beti! Kto jak nie ty! – Kaśka próbowała dodać mi sił. – Zobacz, ile zrobiłaś przez ostatnie trzy lata. Nagrałaś zajebistą płytę, kupiłaś dom, masz swoją firmę i mnóstwo muzycznych planów. Ale przede wszystkim miłość, miłość, miłość. Dzięki niej wyglądasz tak, że wszystkie baby w tym kraju ci zazdroszczą.

Kaśka oczywiście miała dużo racji. Sama byłam z siebie dumna. Uporządkowałam swoje życie sama, tak jak to czułam, według własnych zasad i reguł. Moja solowa płyta *B3* była na swój sposób podsumowaniem tego czasu. Zwłaszcza teksty były zwierciadłem mojej obolałej duszy.



Miałeś wszystko, spójrz, jak odpływa łódź,
Pełna marzeń i kolorowych snów.
Zapominam cię, tracę dzień po dniu.
To, co dałeś mi, nie istnieje już.
Zbudowałeś dla mnie zamek z piasku,
Żebym mogła w nim tracić swój czas.
Żebym zawsze miała dobry nastrój.
Powiedz mi, jak miałam tak żyć.
Zabrakło nam prostych słów,
Żeby nasz zamek trwał, żeby do góry rósł.
Zabrakło dni pełnych łez.
I blasku w oczach twych, gdy dotykałeś mnie.



Za każdym razem, kiedy pokazuję światu moje nowe muzyczne dziecko, zastanawiam się w dużym stresie, czy się spodoba. Bo to nie jest tak, że tworzysz muzykę wyłącznie dla siebie. Tworzysz ją z nadzieją, że znajdziesz bratnią muzycznie duszę, która ma podobną temperaturę wrażliwości.

W przypadku *B3* znalazło się naprawdę wiele takich dusz. W moich tekstach z tej płyty przejrzało się i odnalazło mnóstwo kobiet. Więc pisałam jednak nie tylko o sobie. Zresztą nie tylko o rozstaniu. Moja nowa miłość sprawiła, że fruwały mi w brzuchu motyle. Znowu czułam się jak nastolatka, pod każdym względem.

Za każdym razem nowe piosenki, nowe nagrania, kolejna konfrontacja z publicznością są dla mnie wyzwaniem. Tak jakbym za każdym razem zaczynała

wszystko od nowa. Bo przecież w ciągu tych lat zmieniały się nie tylko moja muzyka, moje teksty, lecz także fani i ich oczekiwania. Mam wrażenie, że na przykład w latach osiemdziesiątych publiczność bardziej chciała uczestniczyć w koncercie, niż wsłuchiwać się w dźwięki i słowa. Najważniejsze okazywały się silne emocje i poczucie wspólnoty, bycia razem. Nic dziwnego, to były jednak inne, trudne czasy. Nie mieliśmy ani sprzętu, ani możliwości, które pozwalałyby na granie koncertów tak, by przekazać każdy detal utworu. Nie było też szans na stałe konfrontowanie się z tym, co w muzyce zmienia się na Zachodzie. Byliśmy w dużej mierze osobnymi światami. Liczyła się więc bardziej charyzma niż jakość.

ALE JUŻ W LATACH DZIEWIĘDZIESIĄTYCH publiczność miała stały kontakt z najnowszymi nagraniami ze świata, gwiazdami i trendami. Zaczęła więc nas porównywać i zwracać coraz większą uwagę na jakość – zarówno samej muzyki, jak i aranżacji oraz koncertowych spektakli. Liczyły się teksty, wokalne umiejętności, interpretacja. Udało mi się nie zawieść tych oczekiwań, więcej, mam wrażenie, że wydany przez Bajm na początku lat dziewięćdziesiątych album *Biała armia* stał się swoistym wokalnym podręcznikiem, punktem odniesienia, pułapem, do którego dążyły inne wokalistki i zespoły. Ale moja barwa głosu jest tak charakterystyczna, że próby jej naśladowania nie miały i nie mają większego sensu. A do tego skala głosu – zwłaszcza w balladach – pozwalała mi wędrować w górę dźwięków, podnosić emocjonalną temperaturę muzyki aż do eksplozji. Nie ma powodów do kokieterii – wysoko zawiesiłam poprzeczkę.

Jednak i rzeczywistość, i muzyka, i moja publiczność nadal się zmieniały. Po roku 2000 ludzie, którzy przychodzili na moje koncerty, byli bardzo świadomi, co tutaj robią i czego mogą po nas, po mnie oczekiwać. Znali nasze utwory, dobrze wiedzieli, kim jestem i na co mnie stać, towarzyszyli uważnie każdej śpiewanej przeze mnie frazie. Już nie musiałam niczego udowadniać, za to musiałam i chciałam skupić się na tym, żeby publiczność miała poczucie, że uczestniczy w niezwykłym spektaklu muzycznym. Żeby ten spektakl pozwalał im rozsmakowywać się w moich interpretacjach. Cieszyć się razem ze mną każdym dźwiękiem. Byłam jak aktorka i jak diwa, która jest coraz bardziej świadoma, jakich środków ma użyć, jak tworzyć widowisko, by efekt był jak najdoskonalszy. Aby jak najgłębiej wpłynąć na emocje słuchaczy.

Kiedy ukazała się moja trzecia solowa płyta, *B3*, poczułam jeszcze coś nowego: na moich koncertach zaczęło się pojawiać młode, bardzo młode pokolenie. Te fantastyczne dzieciaki znają nie tylko moje nowe utwory, ale na nowo odkrywają dla siebie piosenki Bajmu z lat osiemdziesiątych, te, które pisałam, będąc w ich wieku. Widocznie dzielą emocje i doświadczenia z tamtą Beatą, więc śpiewają razem ze mną *Co mi panie dasz* czy *Małpę*. Znają teksty na pamięć, naprawdę! Spotkanie z nimi to za każdym razem fascynujące doświadczenie.



– No to OK, moja siostrzana duszo, przekonałaś mnie – powiedziałam do Kaśki. – Zjem twoją naszprycowaną boczkiem jajecnicę.

– Uff, grzeczna dziewczynka – westchnęła z ulgą moja przyjaciółka. – Widzę, że ciuchy masz już gotowe, więc weź prysznic, dodaj blasku swej twarzy, no i zrób coś

z WŁOSAMI.



W plecaku szczotka do WŁOSÓW była najważniejsza. Nie było w nim wiele ubrań ani butów, ale musiało znaleźć się miejsce na lusterko, no i sypki puder kupiony w peweksie. Chciałam nim przykryć te cholerne piegi!

Nie pamiętacie peweksów? To były takie szczególne sklepy, w których w odróżnieniu od zwykłych sklepów na półkach były towary. I to jakie! Jeansy, zegarki, grający sprzęt, kolorowe butle alkoholi, markowe papierosy. Płaciło się w nim dolarami, czyli walutą obowiązującą w USA, a więc w kraju uważanym za wroga numer 1 mojej ludowej ojczyzny. Taka mała, socjalistyczna schizofrenia.

Pod koniec obozu wędrownego przyjechał do mnie Zbyszek. Byłam bardzo szczęśliwa. Po raz pierwszy całowałam się tak na serio. Więc gdyby nie moje zdecydowane „nie”, pewnie przestałabym być również dziewicą. Ale czułam, że Zbyszek to nie jest jeszcze ten mężczyzna, z którym chciałabym przeżyć swój pierwszy raz.



Kiedy wróciłam do Lublina, do mojego pokoju coraz częściej przychodził Jarek. Z gitarą. Sam nauczył się na niej grać. Potem zaczął też komponować. Moja siostra w tym czasie skończyła swoją przygodę ze śpiewaniem – wyszła za mąż, a zespół Oda 70 przestał istnieć. Więc mój brat zaczął próbować ze mną. On komponował, grał, a ja śpiewałam. Najpierw do wierszy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, *Lenartowicza* chociażby. Pamiętacie?



Złotniczeńku ty na niebie,
chcę pić życie, nie mam z czego.
Zrób mi kubek, proszę ciebie,
z szczerozłota gwiaździstego...



Z tą Pawlikowską-Jasnorzewską występowaliśmy na różnych imprezach studenckich. Ich klimat był inny niż teraz, prawdziwa kraina łagodności. Wśród studentów modne było wtedy śpiewanie poezji, a idolami stali się Ewa Demarczyk i Marek Grechuta. Podążaliśmy ich śladem. Jeździliśmy do różnych miast, graliśmy recitale, a ja uczyłam się, jak to jest być na scenie, a przy okazji zarabiałam własne pieniądze. Czułam się coraz pewniej.

Miałam wtedy dopiero szesnaście lat, ale studenci strasznie mnie podrywali, bo wyglądałam dość poważnie. Miałam ciemne włosy i zaczęłam wyglądać jak kobieta. Ale Jarek pilnie strzegł swojej młodszej siostrzyczki.

Któregoś dnia, kiedy próbowaliśmy w moim pokoju, zagrał mi melodię i powiedział: – Mała (tak mnie nazywał), może sama byś coś napisała?

Skąd w ogóle wiedział, że piszę wiersze? Od mamy.

Swoje poetyckie próby, te, które tworzyłam, gdy byłam zakochana w Zbyszku, chowałam między papierami na półce. Nie chciałam, żeby ktokolwiek je czytał. Ale ponieważ zwykle na tej mojej półeczce panował chaos, mama ciągle mnie strofowała, a ja jej odpowiadałam, żeby się nie martwiła, bo we własnym domu to już na pewno będę miała porządek. I mam! Mama jednak nie zamierzała czekać i w końcu sama postanowiła uporządkować moje papiery. No i wtedy kartki z wierszami sfrunęły na podłogę,

a rodzina dowiedziała się, że mieszka pod jednym dachem z młodą poetką.

Jasne, że to było upokarzające doświadczenie: cała rodzina czyta sobie moje dziewczęce, liryczne wyznania i oczywiście nie traktuje tego z delikatnością i powagą. Czułam się tak, jakby tłum ludzi podglądał mnie w kąpielni.

Ale dzisiaj, kiedy czytam te swoje pierwsze poetyckie próby, nie wstydzę się ich. Były szczere. Do dziś ta szczerość towarzyszy mojemu pisaniu. Kiedy piszę, nie potrafię się skryć w słowach. Jestem w nich – cała.



W moich licealnych czasach muzyka miała już na mnie ogromny, inspirujący wpływ. Dostałam magnetofon szpulowy i słuchałam na okrągło Pink Floyd. Zasympiałam przy *Dark Side of the Moon* i słuchając utworów tej wyjątkowej płyty, wizualizowałam sobie ich treści. Jak bohaterka *Gambitu królowej* widziałam na suficie albo pod powiekami barwne, trójwymiarowe obrazy.

Muszę się jednak do czegoś przyznać: w tamtym czasie odpuściłam trochę naukę. Moje oceny zmieniły się wręcz radykalnie, co bardzo denerwowało rodziców i prowadziło do awantur. Ani ojciec, ani mama nie do końca potrafili zrozumieć, co się ze mną dzieje. A ja coraz dobitniej zaczęłam wyrażać swoje zdanie. I w domu, i w szkole. Dzisiejsza młodzież pewnie tego nie zrozumie, bo dzisiaj w szkołach panuje znacznie większa otwartość. Ale mówimy o przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Wtedy nauczyciele byli bogami, w ich obecności trzeba było bardzo uważać na słowa. Także z powodów politycznych. Za brak posłuszeństwa i niezależne poglądy można było wylecieć ze szkoły. Tymczasem my jako klasa zaczęliśmy

dojrzewać, zorientowaliśmy się, że istnieją dwie opowieści o polskiej historii, które się ze sobą nie zgadzają. W szkolnych podręcznikach Piłsudskiemu poświęcono zaledwie jeden akapit. No więc moja klasa sama przygotowała lekcję na jego temat, z książek, opowieści rodziców i dziadków.

Zaczęli też znikać nauczyciele. Wyrzucono pana od angielskiego, bo był zbyt otwarty wobec młodzieży i nie unikał trudnych tematów. Zwolniono polonistkę, która wraz z mężem działała w KOR-ze. To była wyjątkowa kobieta, miała znakomity kontakt z uczniami, wielu z nas zaraziła literaturą. Dzięki niej poprawiłam stopnie.

Na przerwach często rozmawialiśmy między sobą, dlaczego istnieje lepszy świat, w którym żyje się godnie, gdzie powstaje zupełnie inna, drapieżna, ciekawa muzyka. Dlaczego tak trudno dostać paszport?

Także dlatego uciekałam w muzykę.



Jarek grał już wtedy na gitarze w rockowym zespole Targowisko Próżności i studiował rzeźbę. Członkiem grupy był też Andrzej Pietras. Grał na perkusji i śpiewał. Śpiewał zajebiście, a wyglądał jeszcze lepiej. Jak Jezus – ten musicalowy raczej niż z barokowych obrazów. Któregoś dnia przyszedł do nas do domu razem z przyjacielem, który pisał teksty dla Targowiska. Wtedy bardziej zwróciłam uwagę właśnie na niego, chyba chwilowo wolałam blondynów. A potem Jarek zabrał mnie na próbę.

– Mam siostrę, ładnie śpiewa – przedstawił mnie i kazał podejść do mikrofonu. Zaczęłam więc śpiewać swoim lirycznym (wtedy taki był), delikatnym głosem. A potem podszedł Andrzej i zaryczał. Przynajmniej tak mi się wtedy zdawało. Zupełnie mnie zgasił.

Pomyślałam: „Co ja tutaj robię?”, a potem powiedziałam bratu, że ten Pietras tak mnie wkurzył, że moja noga więcej na ich próbach nie postanie.

Całe szczęście Jarek przedstawił mnie też Romualdowi Lipce. Budka Suflera wydała wtedy swoją pierwszą płytę i była już gwiazdą, nie tylko w Lublinie. Więc kiedy Romek zjawił się w naszym domu, szczeka mi opadła. Był świetnie ubrany, miał buty na wysokim koturnie, odjechaną marynarkę. Naprawdę zrobił na mnie piorunujące wrażenie. Pomyślałam, że chciałabym zarobić kiedyś porządne pieniądze, żeby kupić sobie równie fantastyczne ciuchy.

Na koncercie Budki w tamtym czasie nie byłam, ale za to trafiłam na występ węgierskiej Omegi. Muza muzą, ale Boże, jak oni wyglądali! Jak z kosmosu. Muzyka też kosmiczna, tyle że publiczność musiała siedzieć na ławkach, normalnie jak w szkole. To było niedorzeczne.

A wracając do Budki. Jarek zaprosił mnie na ich próbę w Radiu Lublin. Romek siedział przy fortepianie, coś sobie grał, Jarek mnie przedstawił (bo kiedy Lipko przyszedł do naszego domu, to rzecz jasna nie zwrócił uwagi na małolatę) i jak zwykle w takich sytuacjach powiedział, że śpiewam. Romek zagrał, a ja zaczęłam improwizować. I on, ten sławny już wówczas Romek Lipko, powiedział mi, że mam bardzo ładną barwę głosu. Skomplementował mnie! Poczułam się jak namaszczona!

Wkrótce potem zagraliśmy z bratem minirecital w klubie Hades w podziemiach Lubelskiego Domu Kultury. W pierwszym rzędzie siedział Andrzej Pietras.

Tym razem zaiskrzyło.

Po występie Andrzej zaprosił nas na miód pitny i powiedział, że fajnie mu się nas słuchało, że nasze głosy dobrze brzmią.

A potem zaproponował, żebyśmy zrobili coś razem.

Wtedy jeszcze do głowy mi nie przyszło, że ta rozmowa zmieni moje życie. Że jest początkiem tej zmiany, którą przeczuwałam od dzieciństwa. I że nastąpi ona tak szybko.



Mniej więcej w tym czasie wróciło do mnie pytanie Jarka: „Może sama byś coś napisała?” I melodia, którą wtedy zagrał na gitarze.

Słowa przyszły same:



Znów przyjdzie maj
A z majem bzy
I czekać mam na lepsze dni
Znów przyjdzie mi
Nosić przykrótkie sny
Do lata, do lata, do lata
Piechotą będę szła...



No i się zaczęło.



Jedna miłość się skończyła, żeby przyszła nowa...

Rozmowy z Andrzejem i snucie wspólnych muzycznych planów w Czarnej Łapie na lubelskim Starym Mieście sprawiały mi wielką radość. Czułam, że się uzależniam od jego obecności, a mówiąc krócej: zakochałam się. Chociaż to nie była łatwa miłość. Andrzej miał narzeczoną.

Zaczął przyjeżdżać po mnie pod szkołę „połową szczęścia” polskiej motoryzacji, czyli fiatem 126p. („Całym szczęściem” był oczywiście duży fiat 125p). Wiózł mnie do domu – bo tam najpierw mieliśmy próby – a później do studenckiego klubu Medyk, gdzie Andrzej załatwił nam miejsce do grania.

Oprócz *Piechotę do lata* mieliśmy w repertuarze piosenkę *Rano* – kompozycję Jarka, do której tekst napisał Jacek Giszczak, przyjaciel Andrzeja. Jej tekst świetnie oddaje, co się z nami wtedy działo:

”

Płynę, choćbym miał zginąć
Z marzeń wielkim odpływem
W mrocznej nocy pustynie
Płynę
Płynę, zanim to minie...

”

Wkrótce okazało się, że jedna gitara to dla nas za mało. Więc do zespołu dołączył Marek Winiarski. W tym czasie siostra Andrzeja wymyśliła nam nazwę. Ułożyła ją z pierwszych liter imion członków grupy: Beata, Andrzej, Jarek, Marek. A WIĘC BAJM.

Chwilę później nasz skład uzupełnili basista Andrzej Grądkiewicz, który sam sobie zrobił instrument, i Andrzej Koziara grający na kongach. Ale nazwa została bez zmian.



Pierwszy skład Bajmu (od lewej): Jarek Kozidrak, Andrzej Koziara, ja, Andrzej Grądkiewicz, Andrzej Pietras, Marek Winiarski.



W trakcie jednego z pierwszych koncertów w Łodzi.

Na przeglądzie zespołów młodzieżowych w Świdniku, gdzie wystąpiliśmy 1 kwietnia 1978 roku, zajęliśmy trzecie miejsce. Już tydzień później, w Toruniu, dotarliśmy do złotej dziesiątki. A wiecie co to oznaczało? Że Bajm – zespół, który tak naprawdę dopiero się rodził, który w repertuarze miał dwie piosenki na krzyż – został zaproszony na festiwal polskiej piosenki w Opolu! Na największe święto polskiej muzyki! Poczułam – bo przecież nie

było czasu, żeby to sobie ułożyć, przemyśleć – że spełniają się moje marzenia. Że jakaś magiczna fala kołysze mnie i płynę, płynę, chwytam w żagle wiatr...



Do Opola wyruszyliśmy z Andrzejem jako para. Jego dziewczyna rzuciła pierścieniem zaręczynowym, więc mógł już zupełnie inaczej patrzeć na mnie.

Przyjechaliśmy tydzień przed festiwalem, żeby wziąć udział w warsztatach wokalnych. Lekcji udzielała nam grupa Novi Singers, gwiazdy jazzu, prawdziwi profesjonaliści. Pomogli nam dopracować aranżację *Piechotą do lata*.

To był fantastyczny czas. Wraz z innymi debiutantami zamieszkaliśmy w internacie szkoły muzycznej, tuż przy opolskim amfiteatrze. Tak, tym słynnym amfiteatrze! Kiedy pierwszy raz zobaczyłam go na własne oczy, oniemiałam. Więc ja mam tutaj wystąpić? Naprawdę?


Cały zespół nocował w jednej sali. Ha, tak jak w komunie. Do moich starszych kolegów z zespołu po kilku dniach przyjechały dziewczyny i żony. Atmosfera była, powiedzmy, głęboko rodzinna. Łóżka – jak to w internacie – były dość wąskie, skrzypiące, ale i Andrzej, i ja byliśmy na tyle szczupli, że daliśmy sobie radę, a czasami ta sytuacja miała swoje absolutnie dobre strony.

Dzięki Andrzejowi poczułam, czym jest kobiecość i seksualność. No i zaokrągliłam się tu i ówdzie. Zaczęłam się malować. A piegi? Wróg numer jeden mojej urody? Andrzej zapytał, widząc, że mam z tym problem, czy kiedyś je opalałam. Myślałam, że żartuje.

– Broń Panie Boże! – odpowiedziałam. Ale zakochany człowiek jest skłonny robić różne głupie rzeczy. Tylko tym razem to wcale nie było głupie. Andrzej miał rację. Zaufałam mu nie pierwszy

i nie ostatni raz: opaliłam się najpierw na czerwono, a po kilku dniach moja twarz była pięknie muśnięta słońcem. Teraz tylko zmienić kolor włosów! Chciałam zostać blondynką. Taki miałam plan, lecz ostatecznie go nie zrealizowałam. Wiedziałam, że po festiwalu będę musiała grzecznie wszystko zmyć i wrócić do domu, bo przecież mój tata nie pozwalał mi się ani malować, ani farbować włosów. Ale na razie korzystałam ze swobody, ciesząc się każdą chwilą z Andrzejem.

Często wspólnie z innymi artystami – Wałami Jagiellońskimi, Urszulą – robiliśmy sobie jam session, po którym następnego dnia straszliwie bolała mnie głowa. Kiedy budziłam się rano, widziałam wiszący nad naszym łóżkiem olbrzymi plakat rodem z USA, który wydawał mi się tak realny, że miałam ochotę go zjeść. Była na nim szklanka COCA-COLI, w której pływały kostki lodu.



– Wezmę dla ciebie trzy butelki COCA-COLI. – Kaśka zatrzymała się na pierwszej stacji benzynowej i oprócz wody kupiła mi wysoko gazowany napój.

– Pij i bekaj! Nie krępuj się – rzuciła Kaśka.

Wyruszyłyśmy w drogę do Lublina chwilę wcześniej, po obfitym śniadaniu, które sprawiło, że poczułam się lepiej. Ale do stuprocentowej dyspozycji brakowało mi jeszcze jakichś siedemdziesięciu procent. Więc to Kaśka usiadła za kierownicą samochodu i wzięła w swoje ręce nasze bezpieczeństwo.

Moja przyjaciółka jak zwykle wiedziała, co należy robić. Z każdej nieoczekiwanej okoliczności potrafi wyjść obronną ręką. Wiem, że przeżyła swoje. W trudnych sytuacjach bardzo się wspierałyśmy, nawet gdy byłyśmy daleko od siebie. Jeśli nie mogłam przyjechać czy przylecieć do Kaśki, bo byłam w trasie albo w studiu, rozmawiałyśmy non stop przez telefon.

Podziwiałam Kaśkę. Zawsze podziwiam takie odważne i silne kobiety. Więc jeśli myślicie, że nie ma kobiecej przyjaźni, to nic o kobietach nie wiecie.

Spotkałam w życiu wiele osób, ale to z Kaśką nadajemy dokładnie na tych samych falach. Mamy te same poczucie humoru, temperament, smaki, wrażliwość. Królowe życia, kiedy się bawimy, a kiedy płaczemy, żaden facet nie jest w stanie nas pocieszyć. Chociaż... Różnica jest tylko taka, że kiedy jest już naprawdę źle, Kasię pociesza Jack Daniel's, a mnie Smirnoff.

Wielokrotnie stawiałyśmy się wzajemnie na nogi i zawsze była to krótka rozmowa, bez sentymentów: „Co ty odpieprzasz? Źle się czujesz? Ten skurwysyn aż tak cię skrzywdził? Weź się w garść! Mamy siebie i damy radę!” Tak było i tym razem, ale w konsekwencji mój pęcherz upomniał się o postój. Dzień się dopiero rozkręcał i nie byłam świadoma (może i dobrze), czym mnie jeszcze zaskoczy. Na początek, wychodząc z toalety, złamałam obcas w mojej pięknej SZPILCE...



Z przyjaciółką Kasią Kossak.

– Te twoje SZPILECZKI są OK, ale o reszcie, dziecko, możesz zapomnieć. To na scenę się nie nadaje – poinstruowała mnie pani, która ubierała uczestników opolskiego koncertu debiutów.

– Białe spodnie i kamizelka? Jesteś młodą kobietą, a kobiety noszą sukienki – taki był instrukcji ciąg dalszy. – Zobacz, co dla ciebie przygotowałam.

– Ale to jest srebrna lama... z rozporkiem... – próbowałam nieśmiało wyrazić swoją opinię. – Będę w niej wyglądać jak stara baba.

Pani od ciuchów spojrzała na mnie wzrokiem, który wyrażał jasno, gdzie i jak głęboko ma moje zdanie.

– A chłopców ubierzemy w garnitury. I spodnie z lampasami – rzuciła na koniec.

Ale nie byłabym sobą, gdybym się tak łatwo poddała.

Mój pierwszy w życiu tekst, niestety trochę zmieniony przez kierownika literackiego festiwalu, w prostych słowach mówił o tym, jak bardzo młoda dziewczyna nie może doczekać się lata. I że nic nie zastąpi tego uczucia nadchodzącej wolności. Byłam przekonana, że strój, który zaproponowałam, był stosowny do mojego wieku i tekstu, który miałam zaśpiewać.

Był 24 czerwca, wieczór, amfiteatr w Opolu wypełniony po brzegi, przed telewizorami prawie cała Polska, bo po raz pierwszy festiwal transmitowano na żywo. Postanowiłam się zbuntować. Dogadałam się z chłopakami z zespołu, że tuż przed występem włożymy przygotowane przez nas zestawy. A potem biegiem na scenę. I niech ktoś nas złapie!

– Kto im na to pozwolił! – Usłyszałam za sobą, ale udało się. A kiedy wreszcie znalazłam się na scenie, nie czułam już tremy ani strachu. Czułam wielką radość i dumę, że to wszystko, o czym marzyłam, właśnie teraz się spełnia.

Bisowaliśmy kilka razy – chociaż w związku z transmisją nie było wolno – a ja nie chciałam zejść ze sceny. Czułam się fantastycznie i wiedziałam jedno: nie mogę tego stracić. Będę ciężko pracować nad sobą, nad swoim głosem, żeby być jeszcze lepsza, żeby dojść do perfekcji.




Późnym wieczorem po koncercie zarówno artyści, którzy byli już znani, jak i debiutanci spotkali się w restauracji Hotelu Opole. Wszyscy nam gratulowali, podchodzili do stolika, żeby wypić z nami drinka. To były gwiazdy, które oglądałam do tej pory tylko w telewizji, a tu, cholera, wszyscy na wyciągnięcie ręki! Szok! Nigdy nie zapomnę długiej rozmowy z Jonaszem Koftą o scenie, o życiu, o tekstach. Chłonełam każdą chwilę tej nocy. „Tak właśnie smakuje sukces” – myślałam. Ale okazało się, że to był dopiero początek.

Nie zdawałam sobie sprawy, jaką moc ma telewizja. Liczyło się to, że muszę wrócić do domu, do szkoły, zdać maturę. Obiecałam to ojcu, inaczej nie puściłby mnie na festiwal.

Rano poszłam do sklepu. Kiedy z niego wychodziłam, zobaczyłam, że zgromadził się przed nim niemały tłum. Ludzie nie pamiętali nazwy zespołu ani mojego imienia, więc krzyczeli „Dolata, dolata”!

„To moi pierwsi fani!” – pomyślałam, rozdając autografy. Nie było łatwo, bo jednocześnie trzymałam w ręku jogurt i DROŻDŻÓWKĘ na śniadanie.



– Kaśka, dwie sprawy – jedna pozytywna, druga nie. Chce mi się jeść, więc kup mi pączka albo DROŻDŻÓWKĘ. A druga to... Złamał mi się obcas.

Kaśka spojrzała na mnie zdumionym wzrokiem. Zapytała, czy zabrałam ze sobą jakieś inne buty.

– Tak, ale one do sądu się nie nadają.

Kasia bez słowa wysiadła z samochodu. Ruszyła na stację benzynową. Wróciła z drożdżówką i z klejem, takim „co kropelka skleji, skleji”. Pomyślała też o jednorazowych rękawiczkach. Ona taka właśnie jest. Zawsze myśli o wszystkim.

Ruszyła ostro w stronę Lublina, a ja założyłam rękawiczki, próbując skleić ten nieszczęsny obcas z resztą moich pięknych szpilek. Byłam optymistką, nawet w dniu rozvodu noszącą na palcu swój PIERŚCIONEK zaręczynowy, bo obrączki właściwie nie nosiłam nigdy.

Jestem wyspą bezludną, niepodobną do innych... nie...



Andrzej mi się oświadczył.

Przyjechał do mojego domu, klęknął i dał mi PIERŚCIONEK. Dla nas to była tylko formalność. Wiedzieliśmy, że chcemy być razem.

A potem żyli długo i szczęśliwie?

To nigdy nie dzieje się tak łatwo.

Już wcześniej, kiedy w czasie obiadu oznajmiłam rodzicom, że spotykam się z Andrzejem, zapadła cisza. Gdy skończyliśmy jeść, ojciec wezwał mnie do siebie.

– Za tego playboya? Zamierzasz wyjść za tego playboya? Po moim trupie! – krzyczał. – Ile ty masz lat? Życie chcesz sobie zmarnować?

No cóż, taką właśnie reputację miał w Lublinie Andrzej, ale dla mnie nie miało to znaczenia. Rozpłakałam się i pobiegłam do swojego pokoju. Zaczęłam się pakować. Naprawdę zamierzałam się wyprowadzić, oczywiście do narzeczonego. Kiedy rodzice się zorientowali, że nie zamierzam zmienić zdania, odpuścili. A skoro zdecydowaliśmy się na ślub, wspólnie z rodzicami Andrzeja zajęli się wszystkim. Nawet suknią ślubną. Pewnego dnia po prostu zobaczyłam ją zawieszoną pod sufitem w moim pokoju. Generalnie było mi wszystko jedno – czy będzie biała czy szara. Okazało się, że jest piękna, écru, w hiszpańskim stylu.



Nasze ślubne zdjęcie w Urzędzie Stanu Cywilnego w Lublinie, rok 1979.

Data ślubu była już wyznaczona, kiedy zmarł mój dziadek, więc na przyjęciu ślubnym część gości mogła się bawić, a część nie. Ale to nie koniec problemów.

Przyszedł ten dzień, 9 czerwca 1979 roku. Było bardzo gorąco, a do tego, żebym całkiem nie zachłysnęła się szczęściem, dostałam okresu. W tym dniu modliłam się do Boga żarliwie dwa razy. Pierwszy – tuż przed ceremonią, kiedy stałam z Andrzejem w kościele – o nasz udany związek. Drugi raz, tańcząc spocona z męską częścią rodziny swojej i Andrzeja, o to, żeby wesele skończyło się jak najszybciej. Ale kiedy już ten koniec miał nastąpić, Andrzej wszedł na stół, by ogłosić, jak bardzo jest szczęśliwy. Nie wiedział jednak, że dwa stoły połączone były

dyktą. Wypieprzył się z hukiem, tłukąc wielki wazon z kwiatami. Ale za swój wyczyn dostał brawa.



A co z zespołem? Co z karierą?

Najpierw musiałam odmówić Maryli Rodowicz, która chciała mnie widzieć w swoim chórk. Gdybym wtedy się zgodziła, pewnie do tej pory występowałabym w tle wielkich gwiazd.

Potem trzeba było wrócić do szkoły, co skończyło się upokorzeniem. Na początku było miło, bo po występie w Opolu nagle stałam się niezwykle popularna. Koledzy i koleżanki oglądali się za mną, w czasie przerw rozdawałam autografy. Ale to zezłościło naszą polonistkę. W czasie lekcji kazała mi wstać i ostro zjechała *Piechotą do lata*, moją pierwszą piosenkę. Powiedziała, że to niedobry, infantylny tekst. Myślałam, że się popłaczę przy wszystkich, ale klasa stanęła w mojej obronie. Przewodnicząca samorządu klasowego wstała i powiedziała, że klasa jest ze mnie dumna. Ale i tak przepłakałam w łazience całą przerwę. Moja przyjaciółka, Halinka Kubarska, zwana Kubą, trzymała mnie cały czas za rękę.

Całe szczęście moje życie w coraz większym stopniu toczyło się już poza szkołą.



Po powrocie z Opol, prócz paru piosenek, Bajm nie miał jeszcze własnego repertuaru, więc nie mogliśmy grać samodzielnych koncertów. Jednak przychodziło mnóstwo zaproszeń na występy z innymi artystami. Jeździliśmy więc – wtedy zwykłym autobusem albo pociągiem – do Poznania, Głogowa, Konina.

Pamiętam, że w Koninie zagraliśmy w piżamach, które później poszły na aukcję charytatywną.

Po ślubie, gdy w prezencie ślubnym dostaliśmy od rodziców Andrzeja małego fiata, mogliśmy już przemieszczać się na koncerty bardziej komfortowo.

Jednocześnie zaczęliśmy komponować nowe piosenki, marzyliśmy o pierwszej płycie. Ale wciąż mieliśmy kłopoty z miejscem, w którym moglibyśmy tworzyć.

Na początku małżeństwa mieszkaliśmy u rodziców Andrzeja. Miałam wspaniałych teściów. Tata Andrzeja, Wojtek, był duszą towarzystwa i zawsze mogliśmy na niego liczyć. Mama, Jadwiga, świetnie gotowała, więc obserwowałam bacznie, czym karmiła mojego męża, żebym w przyszłości nie zrobiła rewolucji w jego procesie odżywiania. Zwłaszcza że dotychczas, tak jak mój tata, samodzielnie potrafiłam zrobić tylko jajecznicę.

Mieszkała z nami także siostra Andrzeja, ta, która jeszcze przed Opolem wymyśliła nam nazwę. Nie byliśmy więc sami, co bardzo hamowało nasz erotyczny temperament. To był na pewno jeden z powodów, dla których Andrzej tak sprawnie załatwił nam...(Tak, załatwił, w tamtych czasach wszystko, od jedzenia po meble, nie kupowało się, lecz załatwiano). No więc mój mąż załatwił nam – uwaga! – mieszkanie. Całe 74 metry kwadratowe! Pałac.



Od lewej: Andrzej, ja, dziadek Wacek, a kuca przed nami Ela Ondra (siostra Andrzeja).


Mieliśmy fart. Do Lublina zamierzał się przeprowadzić jakiś znany dziennikarz z Warszawy, ale się nie przeprowadził. Czekąo na niego mieszkanie, a że Andrzej znał kogo trzeba, mieszkanie przypadło nam. Byliśmy przeszczęśliwi. Wykańczaliśmy swój pałac stopniowo, gdy pojawiała się jakaś kasa. Najważniejsze były salon i sypialnia, no i kuchnia oczywiście, gdzie mogłam się spełniać jako kuchareczka, gotując mojemu mężowi w samym fartuszk

w biało-czerwoną kratkę. Tą skąpą stylizacją starałam się odwrócić jego uwagę od moich kulinarnych mankamentów. Ale Andrzej nie wymagał ode mnie, żebym była perfekcyjną żoną, chociaż tak, wtedy taka właśnie chciałam być. Czy potem żałowałam? Jasne. To, że chcesz zbudować komuś idealny dom, dać poczucie bezpieczeństwa, całą swoją miłość, wcale nie znaczy, że w zamian dostaniesz to samo. A perfekcja? Cóż, pewnie nigdy nie wyleczę się z dążenia do niej. Ale teraz mój perfekcjonizm przejawia się w pracy. Życie pozbawiło mnie wiary w idealne związki.



W naszym niewykończonym M3 organizowaliśmy czasami bale przebierańców, na które zapraszaliśmy muzyków z zespołu, przyjaciół i rodzinę. Każda para przebierała się w innym pomieszczeniu. Na hasło „trzy, cztery” wszyscy zjawiali się w salonie. Najbardziej odjazdowe i najśmieszniejsze przebranie było nagradzane. Na pierwszym balu wygrał mój szwagier, który przebrał się za flagę ZSRR. Nagrodą były szampan i prezerwatywy.

Nasze mieszkanie było również, a może przed wszystkim, miejscem tworzenia. Spotykaliśmy się we trójkę – Andrzej, ja i Jarek z gitarą. To tu zaczęły powstawać pierwsze hity Bajmu: *Nie ma wody na pustyni, Różowa kula, CO MI PANIE DASZ...*



– *CO MI PANIE DASZ...* – Kaśka śpiewa, chociaż nie potrafi. – Słyszysz, Beti? Śmigasz po tych falach radiowych, jakby wszyscy wiedzieli, że dzisiaj się rozwodzisz...


– Tak, moja droga, to miała być tajemnica. Ale zdaje się, że wie już cała Polska, i każdy interpretuje ten rozwód po swojemu. Właściwie wszystko, co robię od osiemnastego roku życia, jest pod lupą moich rodaków. Nie jest to łatwe, ale nie narzekam. Takie sytuacje wpisane są w mój zawód. Jednak kiedy czytam bzdury, które ludzie wypisują o mnie, scyzoryk mi się w kieszeni otwiera.

– Ja bym go wbiła paparuchom jak nic.

– Mój zapał do zemsty studzi zwykle prawnik. Ale, cholera, paparazzi ostatnio siedzą ukryci w samochodzie pod moim domem. Albo jeżdżą za mną po całej Warszawie. Nie chcą przyjąć do wiadomości, że jestem osobą publiczną, kiedy pracuję, a kiedy wracam do domu, chcę mieć w nim spokój, po prostu święty spokój. Żeby nie zwariować. Ale powiem ci, kochana, że nawet jakby mi zamontowali jakiegoś czipa i śledzili nieustannie, to i tak nie przestanę kochać swojej pracy.

– I za to cię kocham – westchnęła Kaśka.

Zamilkłyśmy, lecz po chwili o czymś sobie przypomniałam: – A wiesz, że zaraz po rozwodzie jedziemy z chłopakami nad JEZIORO?



Pojechaliśmy nad jedno z kaszubskich JEZIOR na zaproszenie rodziców Andrzeja. Byłam w piątym miesiącu ciąży. Z Lublina kawał drogi, jednak było warto. Zamieszkaliśmy w drewnianym domku. Należał do przyjaciela mojego teścia z dzieciństwa, który był w tamtych czasach ważnym decydentem. Mój teść przeciwnie: stuprocentowa opozycja. Mieli skrajne poglądy polityczne, kłócili się, ale to wcale nie przeszkadzało im się przyjaźnić.

Zakochałam się w tym miejscu natychmiast: krystalicznie czyste jeziora, mroczne lasy, spokój. A przecież wokół tyle się działo. Kiedy my tamtego lata łowiliśmy ryby i słuchaliśmy Radia Wolna Europa, w naszym kraju kwitła Solidarność! Czuliśmy się wszyscy jakoś bardziej wolni, była w nas nadzieja, coraz więcej nadziei. Nawet jeśli w kraju pogłębiał się kryzys. Nie mieliśmy nawet paliwa, żeby wrócić do domu. Ale mój kochany teść jakimś cudem je załatwił.

A ciąża? Bałam się, chociaż z drugiej strony byłam przepełniona szczęściem. Będę miała dziecko!

To musi być dziewczynka – myślałam – piękna, mądra, oczywiście bez piegów i z małym noskiem. Ona musi mieć wszystko, co najpiękniejsze w nas. Andrzej nawet już wymyślił jej imię.

„Katarzyna, Kasia, Kasieńka, Kasiunia, kochana moja...” – pisał, kiedy wykończona leżałam w szpitalu po porodzie.

To był pierwszy i jedyny list, jaki dostałam od męża.

„Czy to nie piękne imię i jak można je zdrabniać!”


Tak, Bóg mi dał nową miłość, żebym mogła przeżywać życie mocniej i barwniej. Żebym mogła pisać mądre teksty i żebym dostrzegą w życiu to, czego jeszcze nie widziałam. Na świat przyszła nasza kochana córeczka. Wszystko było dla nas nowe, więc mój teść, wykorzystując nasze niedoświadczenie, zabrał

Kasię, kiedy my jeszcze coś tam wypełnialiśmy w szpitalu i porwał ją do swojego samochodu, szczęśliwy udał się w kierunku naszego mieszkania.

KASIA urodziła się 7 grudnia 1981 roku.



Malutka Kasia z tatą Andrzejem.



– Halo, KASIEŃKA? Tak, córeczko, jadę do Lublina, wszystko jest OK. Nie, nie prowadzę samochodu, booo... Obchodziłam wigilię rozvodu, wiesz... Ale Kasia przyleciała i jest tu ze mną. To ona prowadzi, ale wiele wskazuje na to, że nie zdążę na swój rozwód. Tak, korki. Na dodatek złamał mi się obcas. Ale nie odpuszczam! Pewnie, że skleiałam. Mam nadzieję, że wytrzyma te parę godzin. I ja też.



– Wiesz, Kaśka – zwróciłam się do przyjaciółki. – Od zawsze miałam wrażenie, że kieruje mną jakaś siła. Intuicja podpowiada mi, że wszystko dzieje się po coś. Kasia przyszła na świat, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat. Moje koleżanki piosenkarki pukały się w głowę i mówiły: „Beata, przecież ty dopiero zaczynasz! Pieluchy to obowiązek!” Ale nie byłam sama – Andrzej wtedy jeszcze bardzo mi pomagał. Plan każdego dnia był napięty, ale wszystko dało się pogodzić – karmienie, przewijanie, pisanie piosenek, próby, dbanie o siebie, koncerty. Dzisiaj wiele kobiet pyta mnie, czy było warto. Zawsze odpowiadam, że jeśli nie ma takiej potrzeby, nie należy odkładać rodzicielstwa na później. Im starsi jesteśmy, tym bardziej zabijają nas wygodnictwo i rutyna.

O tym, dlaczego i po co tak wcześnie musiałam zostać mamą, dowiedziałam się po wielu latach. Kiedy w nasze szalone, ale bardzo długo szczęśliwe życie wdarł się nałóg, robiłam wszystko, żeby pomóc Andrzejowi. To były dramatyczne chwile. Trudno do nich wracać, lecz jedno na pewno chcę zapamiętać: pełnoletnia córka stała się w tym czasie moją przyjaciółką i wielkim wsparciem.

– Bo ty, Beti, masz tę cholerną intuicję. A do tego dobroć, ufność i chęć pomocy wszystkim.

– Ale i tak wiele razy się na ludziach zawiodłam, Kaśka. Lecz my, zodiakalne Byki, już takie jesteśmy. Jak przeżyć przygodę, to tylko z nami – kobietami Bykami.

Kaśka się zaśmiała, a ja pograżyłam we wspomnieniach. Tych nie najłatwiejszych.

– Kiedy zdarzały się trudne chwile, kiedy jedynym sposobem, żeby przetrwać, było zniknięcie, zamykałam się z córką w jej pokoju. To był nasz wspólny azyl. Ale też muzyczny czas tylko dla siebie. Słuchałyśmy piosenek, podkrecałyśmy głośność, żeby zagłuszyć myśli. Kasia puszczała mi The Allman Brothers Band, ja jej utwory zespołu Heart i Rush. No i oczywiście Led Zeppelin. To ona nauczyła mnie kochać dwie wspaniałe wokalistki: Arethę Franklin i Evę Cassidy. Przy utworze *Everybody Needs A Friend* grupy Wishbone Ash każda z nas miała łzy w oczach. I wiesz, Kaśka, pewnego razu, właściwie przypadkiem, pokazałam córce klip z 1981 roku.

„Mamo! – krzyknęła Kasia. – Jaka ja jestem do ciebie podobna! Wyglądam zupełnie tak jak ty wtedy!”

„Tak, kochanie. I za miesiąc miałaś przyjść na świat!”

Teledysk, który wspólnie oglądałyśmy, został nakręcony do jednej z pierwszych ważnych piosenek w historii Bajmu. Tytuł? *PO PROSTU STAŁO SIĘ*.



PO PROSTU STAŁO SIĘ.

13 grudnia 1981 roku wstałam niewyspana, bo moja maleńka córeczka zamieniła sobie dzień z nocą. W ciągu dnia śpiący anioł, w nocy – nieustanny płacz. Ale to nie było istotne. Liczyło się tylko to, że tego dnia swoją premierę miała mieć Telewizyjna Lista Przebojów. A w niej miała się pojawić nasza nowa piosenka.

”

Stało się
Spadło i zbiło się
Jak szklanka
Zgasło coś
Jak lampa w ciemną noc
Nie widzę ciebie
Ani ty mnie
W ciemnościach łatwiej powiedzieć nie...

”

Włączyłam telewizor, ale zamiast teledysków zobaczyłam generała w ciemnych okularach mówiącego o jakimś stanie wojennym. Nie wiedziałam, co to oznacza, ale przeczuwałam, że to rzeczywiście może być wojna, tylko domowa. I była. Rozkazy, nakazy, czołgi na ulicach, internowanie działaczy Solidarności. Do tego godzina milicyjna, czyli zakaz poruszania się po mieście po godzinie 22.

Poczułam lęk. Ale nie o siebie. Bałam się o moją małą córeczkę. Jak jej pomogę, jeśli nagle, w nocy zachoruje?

Dochodziły do nas informacje, że nasza muzyka nie będzie dłużej grana w radiu. Że powinniśmy poszukać sobie innego zawodu. Do tego dwóch naszych muzyków wyjechało do Niemiec

po sprzęt muzyczny i tam zastał ich stan wojenny, który oznaczał również zamknięcie granic. O pierwszej płycie mogliśmy na razie zapomnieć. Wszystko szlag trafił!

Jedni artyści byli zawieszani, za to inni święcili swój wielki powrót. Nigdy szczególnie nie interesowałam się wojskiem i nie znałam twórczości artystycznej związanej z tą dziedziną życia. Jednak dzięki umundurowanej, „zielonej” telewizji mogłam odkryć super mega artystów, którzy śpiewali o chabrach z poligonu i o tym, że najlepiej śpiewa wojsko. Generalnie kolor zielony rządził. Ale czy był kolorem nadziei?

Nasze marzenia i zapał, aby je spełniać, topniały jak nasze finanse. Nie koncertowaliśmy, więc nie zarabialiśmy. Do pewnego momentu żyliśmy z oszczędności, a gdy się skończyły, pojawił się problem. Żeby przeżyć, robiliśmy najdziwniejsze rzeczy. Nie wstydzę się żadnej. W końcu byliśmy rodziną, a nasza Kasieńka zmieniała się z każdym dniem i każdego dnia zaskakiwała Andrzeja i mnie. Zrobilibyśmy dla niej wszystko.





Święta Bożego Narodzenia. Od lewej: Szwagier Jurek, ja, Andrzej, moja siostra Mariola, mój brat Jarek, który obejmuje swoją żonę Grażynę. Poniżej malutka Kasia na rękach mojej mamy, Dominika Lange – moja chrześnica (córka Marioli i Jurka), a na kolanach mojego taty siedzą Marcin Kozidrak (syn Jarka i Grażyny) i Monika Lange (córka Marioli i Jurka), rok 1981.

W tamtych czasach na sklepowych półkach był tylko ocet i makaron, więc żeby nam się od dobrobytu nie poprzewracało w głowach, wprowadzono kartki. Kolorowe, w przeciwieństwie do naszej szarej rzeczywistości. Mogliśmy za nie kupić, stojąc w długich kolejkach, produkty pierwszej potrzeby, a zarazem wyjątkowe, bo wystane. Były kartki na cukier, papierosy, rajstopy, buty, czekoladę, mięso, alkohol...

Po te kartki Andrzej stał w kolejkach w towarzystwie bardzo wyjątkowych osób. Meneli, złodziei, prostytutek. Bo takie zdanie o artystach miała ówczesna władza. Potem Andrzej te wystane

kartki na alkohol sprzedawał w melinach, gdzie o każdej porze dnia i nocy można było kupić wódkę, oczywiście po cenach wyższych niż w sklepie.

Poza tym w ciągu dnia tarliśmy chrzan, a Andrzej nim handlował. Sprzedawał też deficytowe towary, które miał w swoim sklepie mój teść. W ogóle było ciężko, ale my Polacy mamy niezwykłą zdolność radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Chociażby bimber. Chyba co drugi Polak go wtedy pędził. Teść miał bardzo dobrą aparaturę. Przewoziliśmy ją w różne miejsca, dla bezpieczeństwa. Na przykład do mojej siostry. Zawieźliśmy ją do niej na sankach – trwała wtedy straszna zima, minus 20 stopni i śnieg po pas – a z powrotem jechała maluchem z moim mężem i szwagrem. I to w godzinę milicyjną. Podjechali pod nasz blok, ale kiedy próbowali zaparkować, samochód wpakował się w zaspę i ani rusz. Wtedy nadeszli milicjanci. Andrzej otworzył drzwi – ze środka buchnęło alkoholem. Mój szwagier, lekko wstawiony, wychylił się i rzucił do milicjantów: – Zanim nas aresztujecie, pomóżcie chociaż wypchnąć samochód!

Oglądałam to wszystko z góry, z wysokości naszego balkonu, i widziałam, że milicjanci zdębieli. Zapytali Andrzeja: – A pan nie boi się tak jechać...?

A Andrzej na to: – No co pan, ze szwagrem?

Milicjanci mieli niezły ubaw. Pomogli, a do tego zrezygnowali z kontroli. Nie każdy mundurowy był wtedy służbistą...

W tamtych czasach wszyscy sobie pomagali. Mieszkaliśmy w zwyczajnym bloku, w którym panowała zasada wzajemnej wymiany usług. Sąsiadka miała rodzinę na wsi, więc sprowadzała całe tusze mięsa. Dostawałam porcję, a w zamian kupowałam jej jakieś rzeczy w peweksie. W pewnym momencie moja córka żyła

właściwie na cielecinie, bo innego mięsa nie było, tylko to od sąsiadki.


Przydała się w tym czasie również moja rozpoznawalność. Pewna przyjazna ekspedientka z dużego sklepu spożywczego zostawiała dla mnie różne produkty „pod ladą”. Przychodziłam do niej tuż przed zamknięciem sklepu, ale nie mogłam kupić 15 czy 20 deko, tylko całą szynkę. Kupiliśmy więc zamrażarkę, żeby się z tym wszystkim pomieścić.

A więc radziliśmy sobie, jak mogliśmy, tak jak niemal wszyscy w tamtym czasie. Aż pewnego dnia usłyszałam w radiu głos Grzesia Markowskiego z Perfektu.

– Boże! Czy ty to słyszysz, Andrzej?! – krzyknęłam. – Jeśli zaczęli grać w radiu Perfekt, to może będą grać i nasze piosenki?

Rozryczałam się. Dla mnie był to zwiastun końca stanu wojennego.

Nie płacz, EWKA, bo tu miejsca brak na twe babskie łzy...



– Halo, EWA? – zadzwoniłam do mojej przyjaciółki z Lublina, projektantki, z którą przez wiele lat wymyślałyśmy kostiumy dla mnie na scenę. – Kochanie, czy mogłabyś sprawdzić, co się dzieje przed sądem? Czy dużo jest paparuchów?

– Jasne, Beti. Już pędzę i dam ci znać.

Ewa należała do nielicznego grona osób, które jako pierwsze poznawały muzyczną treść moich nowych projektów. To była jazda, którą kochałam: słuchałyśmy, a potem kreowałyśmy mój nowy wizerunek. Nowy przy każdej płycie, dostrojony do jej stylu i nastroju. Kolory, stroje, fryzury. Zawsze byłam otwarta na zmiany, nawet te najbardziej szalone.

Andrzej nie przepadał za moimi przyjaciółkami. Ja za jego znajomymi również. To był przede wszystkim skutek dużej różnicy wieku między nami. Niektóre nasze projekty – Ewy i moje – wcale mu się nie podobały. Ja nie miałam nic przeciwko temu, że w wielu kostiumach wyglądałam naprawdę seksownie. Być może dla Andrzeja aż za bardzo. Okazuje się, że atrakcyjność partnerów bywa problemem...

Z Ewą stworzyłyśmy kreacje do dwóch ważnych dla mnie albumów: mojej pierwszej solowej płyty zatytułowanej *Beata* i wydanej niedługo po niej *Szklanki wody* Bajmu. Obie zostały nagrodzone wszystkimi możliwymi nagrodami muzycznymi w kraju. Jeszcze o nich opowiem.

– Halo, Beata. – W słuchawce znów usłyszałam Ewę. – Posłuchaj, kochana, przed sądem jest tłum paparuchów. I jeszcze jakieś telewizje, stoją z kamerami.

Przeraziłam się. Naprawdę nie miałam ochoty na konfrontację z dziennikarzami. Nie dzisiaj.

– Może wejdę jakimś tylnym wyjściem?

– Skarbie, nie da się, jest tylko jedno. Wszystko sprawdziłam. A najgorsze są schody do sali rozpraw. Strasznie wąskie. Dziewczyno, będzie masakra!


Zbladłam. Wyobraziłem sobie ten dziki tłum, przez który będę musiała się przeciskać, oślepiające flesze, głupie pytania.

– OK, Ewa, dziękuję ci i jesteśmy w kontakcie – odpowiedziałam martwym głosem i rozłączyłam się.

– Kaśka, boję się – powiedziałam do przyjaciółki, która zerkała na mnie z niepokojem. – Właściwie wszystkiego się boję, ale najbardziej tego, że jedziesz za wolno i nie zdążę na własny rozwód. Boisz się wyprzedzać czy co?

– Beti, wyluzuj – uspokaja mnie przyjaciółka.

– TRASA do Lublina jest dziś jakoś wyjątkowo zatłoczona.



W 1983 roku wyruszyliśmy w bajmową TRASĘ koncertową, zaraz po stanie wojennym. W tym samym roku ukazała się nasza pierwsza płyta, czarna oczywiście. A jeszcze wcześniej kasetka.

To były już zupełnie inne piosenki, zupełnie inny Bajm niż ten, który śpiewał *Piechotą do lata*. Ja też byłam inna. Chciałam mieć mocniejszy wizerunek i śpiewać stanowczo bardziej rockowo, ekspresyjnie. To był również efekt tego, że moje gusta muzyczne wciąż się zmieniały. Kiedy trafiłam na scenę, miałam przede wszystkim багаż doświadczeń ze wspólnego słuchania muzyki z rodzeństwem. No i ze studenckich imprez z poezją śpiewaną. Miałam też wysoką barwę głosu, idealną do „krajiny łagodności”. Nie podobała mi się. Wiedziałam, że muszę nad nią pracować. Chciałam śpiewać nisko, tak jak amerykańskie wokalistki. Ale nie miałam żadnych nauczycieli. Sama pracowałam nad głosem. I nad tekstami.



Chociaż piosenki na ten nasz pierwszy album nagrywaliśmy przez dłuższy czas, w różnych studiach, właściwie wszystkie są mi bliskie. Jednak szczególnie ważna była dla mnie *Różowa kula*. Napisałam do niej tekst o relacji ojca i córki. Córki, którą porywa świat, nowe życie, oraz ojca, który nie chce się z tym pogodzić.



Wybacz mi, ojciec, unosi mnie ten prąd
Za chwilę będę daleko, daleko stąd
Jak najdalej stąd
Różowa kula porwała mnie i spójrz
Nie mogę nawet ci podać ręki, cóż...
Inna jestem już

Powiedz mi...
Jak mam w to wszystko uwierzyć?
Powiedz mi, jak wierzyć?
Jak wierzyć?
Jak?
Wybacz mi, ojczy, nie mogę z tobą być
Ten dawny spokój rozpułynał się i przyjaźni mej
Pękła cienka nić.



To jasne, że ten tekst był reakcją na postawę moich rodziców. Trudno im było zaakceptować, że nie zostanę lekarką albo prawniczką. Dawali mi do zrozumienia, że muzyka to nie jest poważne zajęcie, a bycie wokalistką w zespole to już w ogóle podejrzany status. To tata najbardziej żałował, że nie chcę iść na studia, że wolę być piosenkarką. Nie tylko jemu ten zawód w tamtych czasach źle się kojarzył – z lekkim, nieobyčajnym życiem, alkoholem, imprezami. Mojej mamie nie podobały się też moje sceniczne stroje, chociaż powstawały trochę z jej winy, bo to ona nauczyła mnie szyć. A ja nie miałam innego wyjścia. Stylistów w tym czasie właściwie nie było, ciuchów w sklepach jak na lekarstwo, więc uruchamiałam wyobraźnię i maszynę do szycia. Powstawały w ten sposób zwykle sceniczne stroje jednorazowego użytku, ale to mi nie przeszkadzało. Uwielbiałam przebieranki i zmiany.



Występ zespołów młodzieżowych w Sali Kongresowej w Warszawie, sierpień 1983.

Teraz wiem, że w reakcji moich rodziców były nie tylko złość, lecz także lęk i szczerą troskę. Wtedy chciałam tylko, żeby zrozumieli, jak ważna jest dla mnie muzyka i że nie ma już dla mnie żadnej innej drogi. Ale jestem pewna, że *Różowa kula*, piosenka o konflikcie między generacjami, opowiadała też o bardziej uniwersalnym doświadczeniu. Dlatego trafiała do moich

fanów w latach 80. i trafia do tych młodych, których ku mojemu zaskoczeniu jest z roku na rok coraz więcej.

Różowa kula pomogła mi również zrozumieć, że ballady są bliskie mojemu sercu, bo mogę w nich pokazać siłę i skalę mojego głosu.

Oczywiście na naszej pierwszej płycie znalazł się też hit *Nie ma wody na pustyni*. To wbrew pozorom nie była piosenka o karawanie, choć miło wspominać nagrywanie teledysku i brodzenie w wydmach nad Wisłą. Powstał jeszcze jeden teledysk do tej piosenki – na zamówienie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, jako materiał promocyjny. Ten kręciliśmy na Pustyni Błędowskiej. Była akurat zima, więc po każdym ujęciu z ulgą chroniłam się pod kożuchem. Skończyliśmy, kiedy reżyser rzucił: „Stop! Beata ma sine usta!”

”

Nasz kapelmistrz pije stare wino
W oczach jego widzę dziki blask
Spił się już dokładnie tak jak świnia
I po tyłkach batem bije nas...

”

Oczywiście pisałam tekst z myślą o życiu w ówczesnej rzeczywistości, a nie o brodzeniu w piachu. Chodziło o szarą Polskę, o pustynię naszego życia, o to, że brniemy do przodu, choć to nie my wybieramy kierunek, w którym idziemy. Do wielu jednak nie docierał ten przekaz. Że tekstu nie zrozumieli cenzorzy, to nawet dobrze. Ale w komunistycznej prasie przeczytałam na przykład, że za swoje „odkrycie” – że na pustyni nie ma wody – Koźdrak powinna dostać Nobla!

Nie przejmowałam się specjalnie tymi komentarzami. Cieszyła mnie popularność tej piosenki, a jeszcze bardziej to, że mówiono o niej, że jest majstersztykiem, że na kilku dźwiękach zbudowana jest w niej cała historia, a wokół idealnie ją opowiada i interpretuje. A ja przecież nie miałam wtedy żadnej teoretycznej wiedzy o wokalistyce, śpiewałam tak, jak sobie wymyśliłam, intuicyjnie.

Chociaż czasami nie wszystkie pomysły udawało mi się zrealizować.

Kiedy nagrywaliśmy *Proroków świata*, coś dziwnego zaczęło się dziać z moim głosem. Nie mogłam wszystkiego wyśpiewać tak jak chciałam. Dramat. Mamy studio wynajęte na krótko, ledwie parę godzin, więc musieliśmy dokończyć to nagranie. Robiłam, co mogłam, z coraz większym bólem i poczuciem porażki. Potem się okazało, że miałam czopy w gardle. Po prostu angina.



Na planie teledysku do piosenki Nie ma wody na pustyni. Na pierwszym planie obok mnie klęka Andrzej, a w głębi od lewej: Jarek (mój brat), Henryk Mazurek, Bogdan Tchórzewski i Marek Makuch, Warszawa 1983.



Jeszcze przed ukazaniem się płyty i trasą koncertową, żeby podgrzać temperaturę, Telewizja Polska zaproponowała nam program. Nazywał się *Bajm na dachu*. Tak, na dachu. Wylądowaliśmy na nim helikopterem, choć nie do końca, bo dach zbudowano w studiu, a my zesliśmy na niego po sznurowej drabince. Helikopterowe były tylko dźwięki w tle. Ale rozmach tego programu – jak na ówczesną telewizję oczywiście – okazał się niebывały, a efekt – dzięki naszym szalonym kostiumom, scenografii, światłom, piosenkom i rockowym aranżacjom –

piorunujący. Program rozwalił system. Po jego emisji, kiedy przyjeżdżaliśmy do jakiegokolwiek miasta, byliśmy witani niemal jak Beatlesi.

Zagraliśmy *Co mi Panie dasz, W drodze do jej serca, Po prostu stało się*, no i oczywiście *Józek, nie daruję ci tej nocy*, chociaż piosenka miała potem radiowe kłopoty, kiedy decydenci zorientowali się, kim jest Józek i o jaką noc chodzi.



Hej, ty wiesz
Jak silna jest twa władza
Dyskretny śmiech
Do szału doprowadza mnie
Pewność mam
Że dziś mi nie uciekniesz
Józek, nie daruję ci tej nocy!



Raz na koncercie zaśpiewałam piosenkę z pierwotnym tekstem: *Wojtek, nie daruje ci tej nocy*. I się zaczęło. Publiczność była wniebowzięta, ale milicyjne pałki poszły w ruch...



Graliśmy w tym czasie naprawdę mnóstwo koncertów, a to oznaczało całe tygodnie poza domem. Moja mała córeczka ciężko znosiła rozstania, więc żeby rodzina mogła przetrwać w tych nietypowych okolicznościach, na kolejną trasę zabrałam Kasię z pełnym wyposażeniem.

W jego skład wchodziły:

- grzałka elektryczna, żeby zrobić herbatę;
- kuchenka, też elektryczna, taka ze spiralami, żeby Kasi ugotować zupkę w hotelu;
- cała walizka słoików, warzyw i owoców.

Sklepy w tamtych czasach świeciły pustkami, a restauracyjne menu składało się głównie z dziczyzny. Moje dziecko jadło więc kotlety z dzika, kotlety z jelenia, kotlety z bażanta... Pewnie dlatego dzisiaj jest wegetarianką.

Byłam szczęśliwa i spokojna, kiedy moja córeczka była ze mną, chociaż dobrze wiedziałam, że życie w trasie to nie są idealne warunki dla małego dziecka. Ja z Andrzejem na scenie, a Kasia w garderobie... Czasami zasypiała na dwóch złączonych krzesłach, ale była z nami i to wydawało się nam najważniejsze. Jednak pewnego razu naprawdę najadłam się strachu.

Na czas koncertu w Kielcach wynajęliśmy opiekunkę. Wracamy do hotelu po występie, a tam Kasia siedzi na parapecie, w otwartym oknie na pierwszym piętrze, a opiekunka na parterze pije kawę i plotkuje z recepcjonistką. Boże, chyba nigdy w takim tempie nie biegłam po schodach! Pobiłam absolutny rekord świata. Szczęśliwie nic się nie stało, ale Andrzej miał sporo do powiedzenia nieodpowiedzialnej opiekunce.

W tamtym czasie – jak wielu artystów – nie mieliśmy wyjścia. Musieliśmy grać jak najwięcej koncertów, bo grało się za stawki ustawowe. Nie miało znaczenia, czy na koncercie było sto osób, czy tysiąc, dostawaliśmy tyle samo coraz mniej wartych polskich złotych, za które i tak niewiele dawało się kupić (Andrzej wynegocjował w końcu jakiś drobny dodatek za koncerty z liczną publicznością). Więc tak jak wszyscy rodacy musieliśmy kombinować, w jaki sposób zarobić na życie. A to oznaczało

czasami po dwa koncerty dziennie. Nie narzekaliśmy, zwłaszcza że nasze występy przyjmowane były coraz goręcej.

Nigdy nie zapomnę atmosfery w katowickim Spodku. Fani oblegali wejście, ochrona nie dawała sobie rady. Starłam się przedrzeć do garderoby, a ludzie dotykali mnie, łapali, wręcz drapali. Byłam jednocześnie podekscytowana i przerażona. Czegoś takiego jeszcze nie przeżyłam. Potem, w czasie koncertu w wypełnionej po brzegi hali, widzowie zaczęli śpiewać razem ze mną:

”

Różowa kula porwała mnie i wiesz
Nic do radości mnie już nie zmusi, z mądrości swej
Sam się teraz śmieję, śmieję, śmieję, śmieję, śmieję...
Powiedz mi...
Jak mam w to wszystko uwierzyć?
Powiedz mi...
Jak wierzyć?
Wybacz mi, ojcze, być może ostatni raz
Nie pytaj o mnie przyjaciół, nie pytaj gwiazd...

”

Osiem tysięcy gardeł! Zagłuszyli mnie. Ale to nie koniec, bo po koncercie tłum fanów ruszył w stronę Hotelu Katowice. Pod jego oknami ci niesłychani, fantastyczni ludzie jeszcze raz zaśpiewali mi *Różową kulę*.



Byłam podekscytowana, niemal w ekstazie, od takiego sukcesu mogło mi się w głowie poprzewracać. Jasne, celebrowałam ten

czas unoszenia się w powietrzu, jednak miałam też dom, dziecko, rodzinę. Córka potrzebowała nowych ubranek, trzeba było posprzątać, coś kupić do jedzenia, ugotować. Przede wszystkim miałam świadomość, że to dopiero początek mojej przygody z muzyką, że wciąż muszę się zmieniać i rozwijać. Nie tylko jako wokalistka. Obok jednej pasji, jaką było śpiewanie, rodziła się druga: pisanie tekstów.



Festiwal w Opolu, rok 1984.

Na początku słowa do naszych piosenek chcieli pisać różni starsi panowie, a w radiu nam mówiono, że będzie kłopot z puszczeniem piosenek Bajmu, bo słowa pisała Kozidrak, a nie uznani tekściarze.

Zaproponowano nam dwa teksty znanych autorów. Gdyby chodziło o Osiecką czy Młynarskiego, może bym się zastanowiła. Ale to byli... Mniejsza z tym. Przeczytałam i okazało się, że to straszne tekścidla, które do tego zupełnie do mnie nie pasowały. Jak miałam być wiarygodna, śpiewając cudze słowa? Powiedziałam, że nie ma takiej możliwości – nie zaśpiewam, nie czuję tego, to nie o mnie. Miałam dwadzieścia lat, a ktoś chciał, by moje piosenki opowiadały o przeżyciach czterdziestoletniego mężczyzny.

Przez rok milczałam, nie pisałam nowych tekstów. Tylko że wcale nie zamierzałam się poddawać. Pewnego dnia wstałam rano i zanotowałam parę słów o mojej sąsiadce, ale też o każdej kobiecie, bo każda z nas zasługuje na miłość:

”

Sama je, sama śpi,
sama z sobą liczy dni
ma zły gust, mały biust
co to jest, że wpadła mi jak mucha w oko...

”

To było takie fajne, rytmiczne...

W drodze do jej serca dało mi pewność siebie. Otworzyłam się i powiedziałam sobie: Nie będę śpiewać obcych słów, obcych tekstów, które nie brzmią prawdziwie! To moje słowa są ważne, to one mają dla mnie sens! Będę pisać o tym, co sama czuję!

Opisywanie tego, co działo się wokół mnie, albo tego, co odkrywałam w swoich emocjach, sprawiało mi coraz większą radość. Najpierw powstawała muzyka. To ona poruszała moją wrażliwość i podpowiadała słowa. Często pojawiały się w zupełnie zaskakujących miejscach i o każdej porze dnia. W łóżku, przy stole, z dzieckiem na rękach, w kąpielni. Do dziś tematów szukam nawet na wakacjach, gdy leżę na brzuchu na plaży. Opalam się i obserwuję ludzi, podglądam, jak się zachowują, jacy są dla siebie nawzajem. Podśłuchuję kłótnie i czułe szeptki albo dopowiadam sobie słowa, którymi mogą zwracać się do siebie małżonkowie, kochankowie, rodzice. Nie mają pojęcia, że stają się właśnie bohaterami moich piosenek.

Czasami temat na piosenkę przynoszą listy i maile od fanów pełne intymnych wyznań i trudnych historii. Nie ma lepszego pomysłu na przebój niż prawdziwa, z życia wzięta opowieść.

Jeśli szukanie tematu zajmuje mi zbyt wiele czasu, porzucam dany utwór, bo wiem, że powstaną z tej męki co najwyżej wypociny. Między muzyką i mną musi być chemia. Tym bardziej że zawsze staram się, by każdy tekst był o czymś. Chociaż szukam też pięknych słów, takich, które jednocześnie da się interesująco wyśpiewać.

Gdyby zebrać moje teksty w jeden tom, stworzyłyby być może najwierniejszą biografię moich myśli i emocji. A na pewno każdy, kto zanurzy się w to, co piszę i śpiewam, pozna mnie naprawdę z bliska. Stanie się na swój sposób świadkiem moich euforii, ale też trosk i problemów. Również w małżeństwie. Tak, ballady zwykle tworzyłam po kłótniach z Andrzejem.



Nie napisałam ani jednego tekstu, w którym nie znalazłaby się częśćka moich emocji. Choć nie zawsze moich przeżyć. Niektóre z nich okazały się na tyle odważne, że stały się problemem i dla władz, i dla moich bliskich. Na przykład *OK, OK, nic nie wiem, nic nie wiem*.



Uspokój się, mamó, uspokój się
Nic nie jest tak ważne, jak spokój ten,
Bo nic się nie stało, mam dużo pieniędzy
Musiałam to robić, bo żyłabym w nędzy
Okej, okej, nic nie wiem, nic nie wiem
Okej, okej, nic nie wiem, nic nie wiem
I białą sukienkę sprzedałam w komisie
Mam czego żałować na całe życie
Okej, okej, nic nie wiem, nic nie wiem
Okej, okej, nic nie wiem, nic nie wiem
Nic nie wiem, nic nie wiem, nic nie wiem
Uspokój się, mamó, wróciłam do ciebie
Znow jestem bez grzechu, jak w niebie, jak w niebie
Jak w niebie, jak w niebie
W bujanym fotelu, jak dawniej się kiwasz
Czy znów mi wybaczysz, że głupio żyłam?




Tak, bohaterka tekstu jest prostytutką. Kiedy koncertowaliśmy na wybrzeżu i zatrzymywaliśmy w nadmorskich hotelach, wiele z nich podchodziło do mnie, przysiadało do stolika – dziękowały, stawiały szampana, opowiadały o swoim życiu. Płakałyśmy. Za to w Ministerstwie Kultury uznali, że powinniśmy się z *OK, OK...* wytłumaczyć. Wezwali nas na dywanik i oznajmili, że problem

prostytcji w Polsce Ludowej nie istnieje, a ja, taka ładna, niewinna, powinnam śpiewać o ptaszkach i kwiatach. Na nic były tłumaczenia, że czytają tekst zbyt dosłownie, że przecież chodzi o to, żeby każdy, nawet po najstraszniejszych przejściach, miał do kogo wrócić. Nie pomogło. Piosenka spadła z anteny. Ale wystarczająco długo ją grano, żeby sąsiadki zaczęły podejrzewać, że śpiewam o sobie. Szczerze współczuły mojej MAMIE...



Z Andrzejem na nagraniu jednego z występów w telewizji, rok 1982.



– Halo, MAMUŚ. Jak się czujesz? Ja? Dobrze. Właśnie jadę do Lublina. Wpadnę do ciebie i wszystko ci opowiem... Ja też... I bardzo cię kocham.

Rozłączyłam się. Zawsze, kiedy kończyłam rozmowę z mamą, czułam ciepło, miłość, ale też niepokój i ból. Czasami to trudna do zniesienia mieszanka.

Zacisnęłam powieki.

– Wiesz, Kaśka – rzuciłam do przyjaciółki. – Mama traci pamięć i wciąż opowiada kilka tych samych historii z mojego dzieciństwa. Bo im odleglejsza przeszłość, tym więcej jej okruszków w niej pozostało. Więc... Nie! Moja polonistka zawsze mówiła, że nie zaczyna się zdania od „więc”. Więc może „otóż”? Zresztą wszystko jedno, już znasz tę historię, jak malutka ścigałam się ze starszymi koleżankami, krzycząc JA PEFA! „Widzisz, kochanie – mówiła mama – chciałaś być PEFA i JESTEŚ PEFA we wszystkim, co robisz”. Mama, nawet jeśli czasami była wobec mnie krytyczna, to jednak w trudnych momentach zawsze dawała mi wsparcie.

– I była z ciebie coraz bardziej dumna.

– Tak. Szkoda, że ja tak mało zapamiętałam ze swojego dzieciństwa. I że tak mało mam zdjęć z tamtych czasów.

– No ale za to teraz, Beti... – wtrąciła się przyjaciółka – ...nie możesz narzekać. Masz ich mnóstwo. O istnieniu wielu z nich nie masz zielonego pojęcia.

– Właściwie nie dziwię się rodzicom, że nie biegali za mną z aparatem fotograficznym – bo przecież smartfonów ani iPadów długo jeszcze nie było. Kiedy zobaczyłam swoje zdjęcia z Komunii Świętej, zrozumiałam, że uroda przyszła do mnie dużo później. Za to na makijaż sceniczny i WŁOSY już wtedy miałam chyba plan.

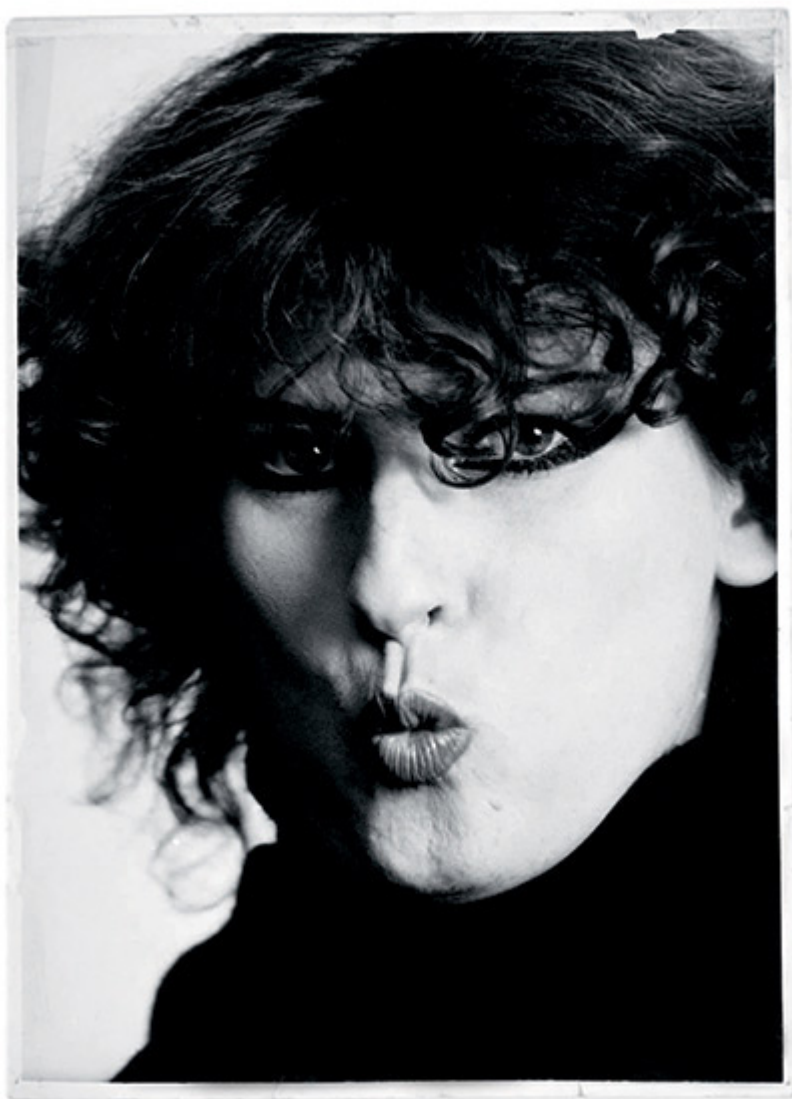


Moja Pierwsza Komunia, rok 1968.



Zrobiłam sobie trwałą ondulację na moje długie WŁOSY, wmasowałam specjalny żel, żeby efekt był piorunujący. Typ mokra Włoszka. To wciąż był początek lat osiemdziesiątych i z tego, co wiem, dla wielu kobiet stałam się w tym czasie obiektem do naśladowania. I to był niestety ich błąd. Mój też. Trwała kosztowała mnie ścięcie długich włosów, a zapatrzona we mnie fanka pewnie musiała zrobić to samo.

W tym czasie zaczęłam się też ostro malować. Szukałam specyficznych rozwiązań nadających moim oczom koci kształt i wyraz. Wszystko przez telewizję. Zobaczyłam siebie na ekranie i okazało się, że mój nos zdominował resztę twarzy. Musiałam więc makijażem poprawić naturę.



W nowej stylizacji, rok 1983.

Za każdym razem, kiedy nagrywaliśmy jakiś program w telewizji, wbiepzałam się dosłownie we wszystko – od makijażu i stylizacji po jakość nagrania. Chciałam mieć kontrolę nad każdym elementem, ale kiedyś się zdarzyło, że kiedy żarliwie pragnęłam zobaczyć, jak scena wygląda w kadrze, zrzuciłam kamerę. Później się dowiedziałam, ile ona kosztuje i była to dla mnie nauczka na całe życie. Ale to nie ostudziło mojej ciekawości

w zakresie technologii, która była odpowiedzialna za artystyczny i estetyczny efekt moich działań. Byłam wciąż – tak jak na lekcjach baletu – krnąbrna, zawsze ciekawa tego, co szykuje dla mnie życie. A stawało się ono coraz ciekawsze.



Żeby podratować budżet, przyjęliśmy zaproszenie na koncerty do Wietnamu. Co to była za wycieczka! Najpierw poleciliśmy do Moskwy, a stamtąd wielkim samolotem do Hanoi. Wielu Polaków latało wtedy tą trasą. Wieźli chyba kryształy, jakieś leki, na pewno walutę, a wracali z diamentami i innymi kamieniami na sprzedaż.

Nie miałam zamiaru uprawiać działalności przemytniczej, zresztą w ogóle niechętnie wsiadłam do samolotu. Bo daleko, bo muszę zostawić dziecko... Ale tłumaczyliśmy sobie z Andrzejem, że taka przygoda może nigdy więcej się już nie powtórzyć.

Gdy wysiedliśmy z samolotu, poczułam dziwny, ziołowy zapach i straszną duchotę. Tak powitała mnie Azja.

Zamieszkaliśmy w niezwykłym hotelu na palach. Przy wejściu rozgadane papugi, wokół dzika zieleń. W sypialni zastaliśmy dwa pojedyncze łóżka. Nie pomyślałam, żeby je zestawić. Chciałam iść spać, natychmiast. Ale zanim wpakowałam się pod prześcieradło, zdębiałam. W rogu, pod sufitem czaiła się jaszczurka! Zaczęłam się drzeć i wskoczyłam Andrzejowi do łóżka.

– Po co ja tu przyjechałam? – krzyczałam naprawdę przerażona. Dopiero później się dowiedziałam, że jaszczurka w domu to dobry znak i gwarancja snu bez robactwa.



Wieczorem wyszliśmy na patio i zobaczyłam tłumy Wietnamczyków w ich płaskich kapeluszach. Wielu z nich brodziło w wodzie i wybierało coś z wody. Podobno jadalnego. Wtedy jeszcze wszystko mnie dziwiło...

Następnego dnia pojechaliśmy do pięknego, zbudowanego w kolonialnych czasach teatru. Mieliśmy w nim zagrać próbę, a potem koncert. Po drodze dowiedziałam się, że w Wietnamie trzeba bardzo uważać na rowerzystów. To oni mają wszędzie pierwszeństwo. Teoretycznie, bo w praktyce pierwszeństwo ma ten, kto głośniej trąbi. Ale jeśli ktoś potrąci rowerzystę – idzie do więzienia. Tak nam powiedziano. Może żeby nas trochę przestraszyć. Udało się. Nasz kierowca miał prawdziwego pietra!

Kiedy podjechaliśmy pod teatr, byłam w szoku. Na fasadzie wisiały olbrzymie portrety. Takie w komunistycznym stylu, z gatunku Marx, Engels, Lenin. Tylko że tutaj na tych gigantycznych płótnach byliśmy my! Za to kiedy stanęliśmy na scenie i zagraliśmy pierwsze dźwięki, zobaczyliśmy, jak zewsząd uciekają szczury! Nie były gotowe na naszą muzykę. Zresztą nie tylko one.

Wietnamczycy zaprosili nas jako ten zespół, co to gra *Piechotę do lata*. Być może ktoś z organizatorów widział nas na festiwalu w NRD, gdzie nas zaproszono i gdzie poznaliśmy realny socjalizm na poziomie zaawansowanym. Mieliśmy anioła stróża z bezpieczki, naszą piosenkę próbowano bezskutecznie sprzedać jako grzeczną balladę dla grzecznej socjalistycznej młodzieży... No cóż, tam, w NRD, wcale nie byliśmy tacy grzeczni, a nasze kontakty z zespołami z innych demoludów nie miały nic wspólnego z wychowaniem socjalistycznego człowieka.

Kiedy lecieliśmy do Wietnamu, poetyckie, łagodne klimaty były już przeszłością Bajmu. Byliśmy rockową kapelą. Ale uprzedzono

nas, że Wietnamczycy nie reagują spontanicznie na koncertach, więc raczej będzie spokojnie. Mieliśmy się jednak nie przejmować skąpymi brawkami, bo wcale nie oznaczały, że coś się publiczności nie podoba. „Oni tacy po prostu są” – mówiono. No więc szczury wypłoszone, próba skończona i czas na koncert. Teatr wypełniony po brzegi, a my zaczynamy grać *Czary, mary*.

”

Znam stary dom na rynku
Gdzie nie mieszka nikt
Podobno o północy
Nikt tu nie chce przyjść...

”

W środku utworu jest pauza, ale publiczność sądziła, że to koniec. Zaczęły się oklaski, coraz głośniejsze, w końcu krzyki, gwizdy. Spojrzeliśmy po sobie zdziwieni. Coś się nie zgadzało. Do tego euforia publiczności była z każdą piosenką coraz większa. Prawdziwe koncertowe szaleństwo!

Jeszcze jedno zapamiętałam z tamtego wieczoru: to nie ja byłam najważniejsza. Nie wiem dlaczego, ale w Wietnamie szczególną estymą darzono perkusistów. Więc stanowczo to był wieczór Bogdana Tchorzewskiego, to on był gwiazdą!



W tamtych latach wielu Wietnamczyków studiowało w Polsce. Może dlatego tak spontanicznie na nas reagowano? Na pewno pomógł wywiad, jakiego udzieliliśmy największej tamtejszej gazecie. W każdym razie następnego dnia zagraliśmy drugi

koncert, ale trzeciego już nie. Przed kasami wciąż kłębiły się tłumy, trwały przepychanki. Wietnamski opiekun, który towarzyszył nam cały czas, próbował jakoś opanować sytuację, ale nogę mu złamano! Aż w końcu bez podania przyczyn zakazano nam grać. Chyba bano się rozruchów. A co z nami? Wywieziono nas do rosyjskiej bazy wojskowej. Mogliśmy tam zobaczyć, jak sowieccy żołnierze okropnie traktują miejscowych. Zachowywali się jak najbardziej brutalni kolonialisci. Baliśmy się. W oddali słychać było strzały. Kilka lat wcześniej Wietnam prowadził wojnę z Chinami. Ale konflikt na granicy wciąż się tlił.

W tej bazie, odizolowani od zwykłej publiczności, zagraliśmy parę koncertów w muszli koncertowej. Wojskowi i ich rodziny już nie byli tak spontaniczni.

Z bazy wyciągnęła nas propozycja, żeby zagrać na południu Wietnamu. Pojechaliśmy więc do Ho Chi Minh, czyli dawnego Sajgonu. Zamieszkaliśmy w najlepszym hotelu, w którym w czasie wojny mieszkali amerykańscy piloci. To był zupełnie inny świat. Eleganckie, świetnie ubrane Wietnamki, fantastyczne ciuchy w sklepach, więc od razu ruszyłam na zakupy. Był tylko jeden problem: organizatorzy już reklamowali koncert, ale nie było sprzętu, bo my z bazy nic nie zdołaliśmy zabrać. Ale uspokajano nas: my wszystko mamy. I rzeczywiście wszystko mieli, tylko trochę stare, bo zostało po Amerykanach, którzy wycofali się z Wietnamu osiem lat wcześniej. Chłopakom wpadły w ręce prawdziwe fendery, byli wniebowzięci. Jedynie ten, na którym grał Jarek, miał zardzewiałe struny.

Wieczorem, po koncercie Wietnamczycy zaprosili nas na kolację do pięknej restauracji. Eleganccy kelnerzy w białych rękawiczkach zapytali mnie, czego się napiję. Poprosiłam o najlepszego szampana, a chłopaki o mocniejsze trunki. Wietnamczycy chcieli


upić naszych muzyków, ale nie oszukujmy się – to oni padali jak muchy!

Powrót też nie obył się bez przygód. Samolot się zepsuł i gwałtownie zaczął zniżać lot. Moi koledzy byli w takim stanie, że najbardziej na świecie potrzebowali snu, więc nie zauważyli zagrożenia. Ale ja i Andrzej byliśmy przekonani, że to koniec. Naprawdę żegnaliśmy się z życiem. Więc kiedy udało się wylądować, cała się trzęsłam. Zapowiedziałam, że już nigdy więcej nie wsiądę do samolotu.

Nie dotrzymałam słowa.



Przeżyliśmy więc niezwykłą przygodę, ale ja cały czas bardzo tęskniłam do mojej córeczki. A w głowie miałam już pomysły na drugą płytę.

- 
- Cholera, Kaśka, obiecałam pani mecenas PŁYTY z autografem.
 - To się gdzieś zatrzymamy i ją kupisz. W czym problem?
 - Nie ma takiej opcji! Jakby to wyglądało? „Oooo, Kozidrak kupuje własną płytę!” Obciach.
 - Ja bym tak zrobiła. Ale rzeczywiście mam czasami niezły ubaw, kiedy idę obok ciebie i widzę reakcje ludzi. Ona czy nie ona? Nie, nie ona. Co by robiła w sklepie? Przecież ma ludzi, którzy wszystko za nią robią.
 - No jednak nie wszystko – spuentowałam. Roześmiałyśmy się obie.



Tak, zwykle, kiedy ludzie widzą mnie w codziennych sytuacjach, są zaskoczeni i niepewni, czy to ja. Kiedy się upewnią, słyszę najczęściej: „Pani Beatko, pani jest taka malutka, szczuplutka, a w telewizji taka duża”.


Kiedyś odpowiadałam: „A widzi pani, jak telewizja kłamie?”. Teraz już mi się nie chce. Uśmiecham się serdecznie i zwykle pozuję do zdjęcia. Wielu rzeczy już mi się nie chce. Odpowiadać na kłamstwa, które o mnie wypisują, udowadniać, jakie mam możliwości wokalne, tłumaczyć, dlaczego ubieram się tak, a nie inaczej. Znam swoją wartość i wie o tym moja rodzina, wiedzą przyjaciele i fani, którzy akceptują mnie taką, jaką jestem. Kupują moje płyty, bilety na koncerty i zawsze powtarzają: „Beata! Nigdy się nie zmieniaj!”.

Nie mam zamiaru! Ale to nie znaczy, że nie lubię zmian wokół mnie. Lubię być zaskakiwana nowymi projektami muzycznymi. I brać w nich udział, żeby zaskakiwać innych. Uwielbiam śpiewać z orkiestrą jak prawdziwa diwa, przebierać się po kilka razy na koncertach Bajmu dla wielotysięcznej publiczności albo wskakiwać na małą klubową scenę w rozdartych jeansach tylko z butelką wody w rękę.

We wszystkich projektach chcę być perfekcyjna, dopracować każdy szczegół. To dotyczy nie tylko mnie. Jeśli ktoś zawali na jakimś etapie działań scenicznych, jestem bezwzględna. Na szczęście dziś już rzadko się zdarza, że ktoś nawala. Pracuję z profesjonalistami. Oni mnie szanują, ja szanuję ich.

Po udanym koncercie każdy z nas czuje satysfakcję. Często jesteśmy wykończeni, ale wciąż chcemy ze sobą rozmawiać, dzielić się wrażeniami, napić dobrego piwa. Ktoś bierze gitarę, zaczyna grać, włączam się i jam session gotowe.

Muzyka nas łączy, chociaż tak bardzo się różnimy. Wiek, gusta, doświadczenie. Ale kiedy pracujemy, gramy, to wszystko przestaje się liczyć. Są tylko nasi FANI, zawsze najważniejsi.



W latach osiemdziesiątych mnóstwo FANÓW jeździło za mną z koncertu na koncert. Pamiętam, że kiedyś w trakcie występu rozwaliła mi się szpilka. Na drugi dzień moi najgorliwsi wyznawcy przywieźli mi nowe buty! Pasowały, znali więc nawet rozmiar mojej stopy! Piekli też ciasta, robili portrety, mnóstwo portretów. Ta niebywała wdzięczność ludzi czasami mnie onieśmiałała. Między mną i fanami była jakaś nadzwyczajna chemia. Może dlatego, że jestem osobą bardzo szczerą, spontaniczną, i na co dzień, i na koncertach. Mówię to, co czuję. Czasami to wesołe, radosne słowa, czasami smutne. Ale zawsze prawdziwe i fani to czują. Dlatego to właśnie emocje są w czasie moich koncertów najważniejsze. I ja, i publiczność równie intensywnie przeżywamy muzykę, i do nich, i do mnie wracają emocje, które ukryte są w słowach.



Mój pierwszy fan club, Gdańsk, rok 1989.



Na jednym z koncertów Bajmu pogodziła się cała rodzina.

To było dużo później, w Krakowie, w czasie trasy, podczas której graliśmy unplugged. Takie akustyczne granie sprawia, że mogę być blisko ludzi, relacja z publicznością staje się szczególnie intymna.

To jest bliskość drugiego człowieka, która wyzwala inne emocje niż koncert w hali czy w plenerze.

W pewnym momencie zaczęłam śpiewać piosenkę *Biały stół*:




Jeżeli kiedyś wrócisz, nakryję biały stół
Uciszę w sobie smutek, radosny będzie dom
Przepraszam cię za wszystko, co we mnie było złe
Dziś dobrze to rozumiem, czym zraniłam cię.
Tęsknię tak za tobą, chyba już wiesz.
Jest coś, co pewnie wiedzieć chcesz.
Przez ten cały czas świt był wtedy bliski, gdy
Czułam cię tak pod skórą jak...



Nagle zobaczyłam, że ludzie płaczą. Wyciągają chusteczki, ocierają oczy. A potem, kiedy skończyłam śpiewać, zapłakana dziewczyna wstała i zapytała, czy może wejść na scenę i się przytulić. Byłam zaskoczona, ale zgodziłam się, a ona powiedziała, że zdarzył się cud, bo cała jej skonfliktowana rodzina przed chwilą się pogodziła. Wyściskałam ją, ludzie bili brawo, nie wierzyli w to, czego właśnie byli świadkami.


Kiedy już skończyliśmy grać, cała rodzinka przyszła do garderoby. Opowiedzieli, że przyszli na koncert pokłóceni tylko dlatego, żeby wcześniej kupione bilety się nie zmarnowały. A ten *Biały stół* ich pojednał. To był naprawdę niezapomniany KONCERT...



– Wiesz, Beti – zaczęła moja przyjaciółka. – Uwielbiam wasze KONCERTY. Atmosfera jest wyjątkowa, a każdy z was daje z siebie wszystko. Pewnie nawet nie wiesz, ile dajesz ludziom szczęścia, kiedy śpiewasz. Stoję pod sceną i się przyglądam. Tysiące ludzi w różnym wieku, wszyscy wpatrzeni w ciebie, zapominają o bożym świecie i śpiewają. A po koncercie mogą stać jeszcze długo i – czekając na ciebie – krzyżeć: „Beata, Beata!”

– Tylko że ja czasami po dwóch godzinach na scenie jestem tak zmęczona, że już nie mam siły, żeby do nich wyjść. Często czuję, że powinnam, ale po prostu nie daję rady. Mogę mieć tylko nadzieję, że są wyrozumiali, widzą, ile daję z siebie na scenie. Nie chciałabym, aby myśleli, że jestem niedostępna, że ich nie szanuję.

– Jasne, moja gwiazdo – uspokoiła mnie Kaśka. – Wszystkim nie dogodzisz, ale kiedy śpiewasz *MAŁPE*... to wiem, że na maksa jesteś z kosmosu.



Moja MAŁPA wie, jak naprawdę ze mną jest.

Rozrzucone kartki na stole. Został mi do napisania ostatni tekst. Wiedziałam, że musi być ważny. Tylko tyle. I powinien mieć związek z pozostałymi. A przecież wszystkie teksty na naszą drugą płytę były – powiedzmy – polityczne. Wyrażały moje uczucia, mój sprzeciw wobec tego, co widziałam i przeżyłam w stanie wojennym. Dym w przejściach podziemnych, widok ludzi okładanych pałkami, poczucie nieustannej inwigilacji, upokorzenie, strach o najbliższych. Musiałam to wykrzyczeć, musiałam to wyśpiewać. Byłam dumna z tych tekstów. „Śpiewanie o motylkach i kwiatach w tamtym okresie byłoby nieuczciwe” – powiedziałam potem w jednym z wywiadów.

– Czy wiesz, która jest godzina? – zapytał Andrzej, pochylając się nade mną.

– Nie, ale ja to muszę skończyć.

– Beata, litości, jest druga w nocy. Kasia obudzi się o siódmej, a ty będziesz wykończona. Daj, przeczytam, może jakoś ci pomogę.

Andrzej przeczytał fragment tekstu. Wyraźnie go zdenerwował.

– Czy ty musisz znowu pisać o polityce!? Przecież napisałaś *Szczury na mury, Ściany mają uszy, W klatce lwa*. Kurwa, może wystarczy?! Przecież to ja będę musiał z tym durnym cenzorem iść na wódkę, bo inaczej te twoje teksty nie przejdą! Nie możesz po prostu napisać, że jest dobrze, że mamy córeczkę, mieszkanie, gramy mega koncerty? Chociaż jeden pozytywny tekst? Proszę...

– OK, jasne, rozumiem. Chyba mam pomysł. Za trzydzieści minut będę w łóżku. Zagrzej miejscówkę.

– Już jest dawno zagrzana – odparł Andrzej.



*Miałaś rację, nigdy tak nie było dobrze jak teraz... – napisałam,
kiedy wyszedł.*

”

...Piję kawę
I nic właściwie mi do szczęścia nie trzeba
Jestem Bóg wie kim
Albo nikim, bez żadnego wyrazu
Mówię będzie tak...
Jakbym dzień kolejny znała na pamięć
Moja małpa wie
Jak naprawdę ze mną jest
Patrzy w oczy tak
Jakby znała mnie od lat
Kiedy jest mi źle
Opowiada różne dziwne historie...

”

Poczułam ulgę, bo wiedziałam, że powstaje wyjątkowy tekst.
Od razu w głowie pojawił mi się też pomysł, jak go zaśpiewam.
Tak jak obiecałam, za pół godziny szczęśliwa przytuliłam się
do męża. Zasnęłam.

”

Miałaś rację
Zachowuję się jak trochę stuknięta
Przez ten długi czas
Mylą mi się dni powszednie i święta
Piję kawę
I czytam list od swoich wiernych przyjaciół
Lecz nie wierzę im ani tobie

Wierzę tylko swojej małpie...

”



Naszą pierwszą płytę nagrywaliśmy w ciągu kilku lat, w bardzo różnych miejscach. Tym razem chcieliśmy pracować w jednym studiu, z jednym realizatorem dźwięku. Andrzej wynajął więc studio Radia Lublin. Nagrywać miał nas Kuba Nowakowski. To był świetny wybór. Kuba stworzył w studiu niezwykłą atmosferę, a poza tym był prawdziwym innowatorem, jeśli chodzi o rozwiązania brzmieniowe. My też mieliśmy ochotę na eksperymenty, na „brudzenie” melodii dźwiękami z otoczenia, ostre kontrasty, moje wokalizy i melodeklamacje.

Wokal do piosenki *Małpa i ja* nagrywaliśmy nocą, sami, żeby moje emocje mogły jak najlepiej wybrzmieć. Chciałam uzyskać efekt rozmowy przez telefon. Tylko jak to zrobić? Kuba długo myślał, drapiąc się po brodzie. Nagle powiedział:

- OK, Beata, zaśpiewasz do placka.
- Placka?

Kubie chodziło o werbel elektronicznej perkusji. I tak zrobiłam. Efekt był niesamowity. Dzisiaj można się z tego śmiać, ale w tamtych czasach nie było technologii, która tak jak dzisiaj pozwala zrobić z głosem właściwie wszystko. Żeby uzyskać zamierzony efekt, musieliśmy sobie radzić domowymi sposobami.

Musiałam też improwizować, tworząc „przedszkole” dla córki. W latach osiemdziesiątych to była norma, że kobiety, jeśli nie miały z kim zostawić swoich dzieci, zabierały je do pracy. Więc ja swoją córkę zabierałam do studia, w którym nagrywałam. Kredki,

plastelina, książki, kartony... Ale chyba najważniejsza była muzyka, którą chłoneła, nawet o tym nie wiedząc.



Martwa woda. Tak zatytułowaliśmy naszą drugą płytę. Wiedziałam, że nie będzie tak komercyjna jak pierwsza. Wiedziałam też, że będzie znacznie bardziej emocjonalna. I że z tekstami będzie problem. Ale Andrzej stanął na wysokości zadania. Zaniósł cenzorowi spory plik tekstów i moich wierszy. Na wierzchu położył te najbardziej liryczne, a te ostre, które miały wejść na płytę, były głębiej. Cenzor przeczytał pierwsze, dalej już mu się nie chciało. Udało się! Wszystkie teksty przeszły! Za to z radiem było trudniej. Zwłaszcza z tytułową *Martwą wodą*.

Zaczynała się tak:

”

Wojna na czas
Wojna na gaz...

”

A potem:

”

Wielkie fałszywe drogowskazy
Wciąż uczą nas
Za ile lat
Za ile lat
Droga się sama nam ułoży
Gładka jak szkło

Pamiętam, spokój w wielkiej sali
I lustrzany blask
I ciche dźwięki na pianinie
Stare jak świat
To wszystko jeszcze w mej pamięci
Pulsuje do dziś.
Kto tamten spokój w nas ocali
By łatwiej było żyć?
Znamy ten cyrk
Znamy ten stary cyrk
Mówimy sobie słodkie słowa
Raniąc do krwi
Za ile lat?
Za ile lat?
Droga się sama nam ułoży
Gładka jak szkło.
Ratuj mnie
Bo jestem, jestem już na dnie
Ratuj mnie
Bo tonę, tonę w martwej wodzie
Codziennych naszych spraw.



Żeby w ogóle *Martwą wodę* mogli usłyszeć słuchacze radiowej Trójki, redaktor naczelny kazał wyciąć dwa pierwsze wersy. Ale ostatecznie i tak utwór zdjęto z anteny. Tylko trzy piosenki z tego albumu – moim zdaniem najlepszego nagranych przez nas w latach osiemdziesiątych – udało się nam wylansować. Oczywiście *Małpę*, ale też *Piramidy na niby* i *Diabelski krąg*. Mocno słyhać w nich moje ówczesne muzyczne fascynacje. Byłam wtedy pod wielkim wrażeniem Niny Hagen, niezwykłej wokalistki, która uciekła z NRD, czyli komunistycznej części Niemiec, do Berlina Zachodniego, wolnego świata, w którym były sklepy pełne

towaru, butiki pełne ciuchów, o których my mogliśmy tylko marzyć.



Opole, rok 1984.

Zdobyłam płytę Niny i byłam zachwycona skalą jej głosu oraz ekspresyjną interpretacją piosenek. Myślę, że nikt tak nie śpiewał, swobodnie łamiąc wszelkie reguły wokalistyki. Ponieważ miałam dużą skalę głosu, poczułam, że również mogę wokalnie poszaleć. Ale mój zapach, żeby iść w tym kierunku, minął zdecydowanie,

kiedy posłuchałam nagrań z naszych koncertów. Miałam takie parcie na mikrofon, że chciałam śpiewać za wszystkie instrumenty. Zagłuszałam je. To była trudna lekcja, ale bardzo dla mnie ważna. Nauczyłam się wokalne pokory, zrozumiałam, że na scenie muszę dać szansę również moim kolegom z zespołu.



Skład Bajmu wciąż się zmieniał. Z różnych powodów. Wspominałam już, że pod koniec 1981 roku dwóch chłopaków z zespołu pojechało po sprzęt do Niemiec. Zostali tam, kiedy dopadł ich stan wojenny. Więc musieliśmy szukać nowych muzyków. Innym po prostu nie odpowiadały zmiany w naszym stylu. Niektórym woda sodowa uderzała do głowy.

Praca z mężczyznami jest naprawdę trudna, zwłaszcza że długo byłam jedyną kobietą w zespole. Możecie sobie wyobrazić, czego musiałam wysłuchiwać w autobusie w drodze na koncert. A przecież wtedy wciąż byliśmy w trasie. Oczywiście obok miałam Andrzeja, opiekował się mną, był tarczą. Ale i tak bardzo dobrze poznałam męski świat. Również z najmroczniejszych stron.

Jeśli chodzi o muzykę, mój styl i wizerunek, żaden mężczyzna nie odegrał w mojej karierze istotnej roli. Nawet Andrzej nie próbował mi narzucać tego, jak mam śpiewać ani jak wyglądać, chociaż nie zawsze odpowiadały mu moje pomysły. Widział jednak, że jestem odważna, i czuł, że moja intuicja mnie nie zawodzi. Sama więc uczyłam się operować głosem, budować osobowość sceniczną, rozmawiać z publicznością. Zawsze metodą prób i błędów, bo przecież nie było szkoły, która by pokazywała, jak to robić. Obserwowałam też, jak ludzie na mnie reagują, bo przecież wciąż miałam dużo kompleksów związanych z urodą. Jednak siła i magia sceny pozwalały mi pozostawić te kwestie

na marginesie. Tak, to moja publiczność, a nie mężczyźni, pozwoliła mi wyzwolić się z kompleksów. Kiedy wchodziłam na scenę, czułam się piękna i czułam się sobą. Byłam pewna, że to jest moje miejsce, że mam tu do spełnienia jakieś zadanie.



Moją strategią obronną w męskim świecie najpierw było kumpelstwo. Starłam się być dla chłopaków partnerką, ale to było rozwiązanie na krótką metę, czułam, że nie chcę być jedną z nich. Szybko więc wypracowałam sobie status silnej kobiety, stałam się liderką – kumpelką już tylko po pracy. Zawsze starałam się być przygotowana do koncertu, ciągle chciałam lepiej śpiewać i się doskonalić. Być perfekcyjna. A chłopaki?

No cóż, rockandrollowe życie. Dziś jest inaczej, ale wtedy rzeczywiście fanki pod sceną i przed hotelami tylko czekały na skinienie. A kiedy kilka zespołów spotykało się w jednym hotelu – oczywiście niemal sami mężczyźni – to dopiero zaczynało się dziać. Czasami te wariackie imprezy kończyły się bijatykami i demolkami, bo przecież nie wszyscy muzycy się kochali.

Unikałam tego zamieszania. Pewnie również dlatego, że od dzieciństwa na lubelskiej Starówce rozumiałam, co to znaczy patologia. Zbyt często widziałam zniszczonych życiem rodziców moich koleżanek i kolegów. Jadłam więc kolację i szłam do pokoju, gdzie często czekała na mnie malutka Kasia. Zawsze miałam w głowie jedno: że na drugi dzień gram koncert albo dwa, więc muszę się wyspać, żeby dobrze wyglądać i wypocząć, żeby głos mógł się zregenerować.

Dookoła siebie widziałam, jak alkohol wykańcza ludzi. To było jakoś nieuniknione, muzyka i wódka, tworzenie i jego cień. Mimo to jedną zasadę udało nam się wprowadzić w bajmowe życie: nie

życzę sobie, żeby na koncercie muzycy byli pijani (tak, w latach osiemdziesiątych bardzo często zespoły grały na gazie). Po występie, proszę bardzo, mogą pić, ale nie przed.

Kiedyś po występie w Głogowie – to były moje urodziny – poszliśmy do restauracji. Cały zespół. Owszem, zachowywaliśmy się dość głośno, więc komuś się nie spodobało, że tam jesteśmy. Jacyś podpici goście restauracji zaczęli nas zaczepiać. Chłopcy odprowadzili mnie do hotelu, ale potem mimo moich protestów wrócili do lokalu...

Obudziłam się rano, sama. Nie wiedziałam, co się stało z Andrzejem, snułam mroczne scenariusze. W końcu zadzwonił telefon. Chłopaki są w izbie wytrzeźwień! Zresztą razem z ich agresywnymi „znajomymi”. Milicja zwinęła ich w nocy, kiedy doszło do bójki. Więc kiedy – zaskakująco weseli – wrócili do hotelu, wciąż mieli na sobie białe koszule przypominające kaftany bezpieczeństwa. Takie właśnie kostiumy noszą goście izb wytrzeźwień.



Z tymi członkami Bajmu, którzy za bardzo zaprzyjaźniali się z alkoholem, pracowało się coraz trudniej. A to ja byłam najbardziej krytycznym recenzentem tego, co robią nasi muzycy. I to ja często podejmowałam decyzje o rozstaniach.

Ale kiedyś stałam się jego przyczyną.

W moim małżeństwie, jak w każdym, pojawiły się symptomy kryzysu. Dziś byśmy powiedzieli wypalenia. Chyba nie sprostaliśmy wyzwaniu, jakim było bycie ze sobą non stop, i w pracy, i w domu. W trasie sprawdzało się to fantastycznie, bo Andrzej był przy mnie i dopilnowywał każdego drobiazgu.

Więc fajnie, że moja rodzina zawsze była tuż obok. Nie miałam kiedy tęsknić.

A w domu? Andrzej wciąż ze słuchawką przy uchu. Rozmawiał o trasach, nagraniach, wywiadach, sesjach fotograficznych... Czasami po nocach, bo ktoś dzwonił z USA w sprawie tournée. Wiedziałam, że to nieuchronne, że takie jest po prostu nasze życie. Ale i tak to wszystko z miesiąca na miesiąc stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Byliśmy obok siebie, coraz bardziej samotni, w małżeństwie powiało nudą. Przyszedł nawet taki moment, kiedy postawiłam ultimatum: „Andrzej, będziemy rodziną albo będziesz nieustannie odbierał telefon, sam”.

Aż w końcu zauroczyłam się jednym z muzyków, choć było to krótkie zauroczenie. To dla niego napisałam *Diament i sól*.

”

Jestem drogą ci wybraną
spośród innych wielu dróg,
jestem Bogiem i tyranem
i spełnieniem twoich snów...

”

Tak, żeby tworzyć, wciąż potrzebowałam nowej energii, nowych emocji i uczuć, czasami dość niebezpiecznych.




Moja córka wciąż rosła i wiele osób pytało, dlaczego jeszcze nie napisałam dla niej piosenki. Aż pewnego dnia mój brat przyniósł melodię. Przesłuchałam ją raz, drugi, a potem usiadłam przy stole i napisałam:



Rośniesz jak młody Bóg, na moich ramionach
Jak drzewo, którego nikt, nikt nie pokona
Dałam ci wolę istnienia
Dałam ci siłę tworzenia
Nowy nieznaną szlak nad twoją głową
Może jest tylko snem, a może koroną?
Zostań więc bogiem i drzewem
Między mną, ziemią a niebem
Więc teraz serca mam dwa
Smutki dwa
I miłość po kres
I radość do łez
Wieczory długie i złe, o yeah
Krótkie dni
Więc całuj mnie częściej
Bo nie wiem, jak będzie
Ojciec twój pędziwiatr
Uwieść mnie zdołał
Tulił jak cenny skarb
W swoich ramionach
Dałam mu wolę istnienia
Dałam mu siłę tworzenia
Więc teraz serca mam dwa, serca mam dwa
Smutki dwa
I miłość po kres
I radość do łez
Wieczory długie i złe
Krótkie dni
Więc całuj mnie częściej
Bo nie wiem, jak będzie, o nie...



Po raz pierwszy w historii ta właśnie piosenka królowała na Liście Przebojów w Programie 3 Polskiego RADIA.



– Halo, witam. Jakie RADIO? Tak, już kiedyś się spotkaliśmy. OK, możemy porozmawiać, ale tylko kilka pytań.

...Moja najważniejsza piosenka? Myślę, że nie tylko moja. To *Dwa serca, dwa smutki*. Wie pan, kiedyś dostałam mail od pewnego mężczyzny z Opolą. Bardzo mi dziękował za ten utwór. Pisał, że uratował życie jego żonie. Cierpiąca na depresję poporodową. Mąż nie wiedział, jak jej pomóc. Kiedyś, całkiem przypadkiem, puścił jej *Dwa serca*... Zobaczył w żonie jakąś zmianę. Więc puścił jeszcze raz i jeszcze raz, w końcu zaczęli słuchać w kółko, aż piosenka przebiła jakiś mur. Kiedy graliśmy koncert w Opolu, spotkałam się z tym już bardzo szczęśliwym mężczyzną. Okazało się, że jest policjantem. Dostałam od niego wielki bukiet róż i podziękowania, które pamiętam do dziś. To niezwykle i wzruszające, że swoją muzyką mogę pomagać ludziom.

...Tak, wiele razy dostawałam podobne listy, czasami ludzie mówią mi po koncertach i na ulicy, że któraś z moich piosenek wpłynęła na ich życie i mają związane z nią piękne wspomnienia. Przy tej się zakochali, przy innej pierwszy raz kochali, a przy tej narodziło im się dziecko, a ta wzbudziła tak głęboką refleksję, że coś zmienili w swoim życiu... A przecież, pisząc swoje teksty, wcale nie zakładałam, że mogą być tak ważne dla innych. Gdy tworzę coś nowego, towarzyszy mi raczej stres, jak ludzie to przyjmą. Taki mały niepokój.

...Nie, piosenka *Upiłam się tobą* nie jest o mojej nowej miłości. Dla ukochanego napisałam *Nie kochaj mnie*. Zresztą to on zainspirował całą nową płytę.

...Tak, żeby tworzyć, muszę być albo nieszczęśliwa, albo zakochana.

...Nie, nie będę ujawniać, kim jest, on sobie tego nie życzy. Wystarczy, że ja jestem osobą publiczną i muszę z tym dawać sobie radę. Uszanowałam jego decyzję, więc nie będziemy pokazywać zdjęć z naszych krótkich, ale intensywnych wypadów na motorze ani lansować się na ściankach. Mamy siebie i naszą miłość. Nie chcę tego zepsuć. Moja popularność może zabić każdy związek i zdaję sobie z tego sprawę. Nie każdy facet jest w stanie nadążyć za moim tempem życia, za wolnością wyborów. Ale najważniejsze, że on jest obok mnie i bardzo mnie wspiera radą i doświadczeniem. No i oczywiście w łóżku jest ogień.

...Tak, jestem kobietą, która może znaleźć uczucie w każdym wieku. Życzę takiej odwagi wszystkim.

...Nie, nie będę opowiadać o rozwodzie. To trudny czas, przez dziennikarzy jeszcze bardziej. Dzisiaj zamykam ten temat.

...Dziękuję. Tak, proszę przysłać mi tekst do autoryzacji.



– Beti, ty zawsze jesteś gotowa na każde pytanie! Dyscyplina i mądre odpowiedzi na zawołanie. Szacun.

– Taka robota, moja droga. Gdybym usłyszała jakieś głupie pytania, natychmiast bym pogoniła dziennikarza.

– Zdarzało ci się?

– Czasami. Wyobraź sobie, że kiedyś przyjechał do nas do domu dziennikarz – już nie pamiętam z jakiego miasta. Był tak zestresowany, że zapomniał zabrać ze sobą mikrofonu i z tego wszystkiego dostał rozwolnienia. Co chwilę przerywał i gonił do toalety. Nie wierzyłam, że robię takie wrażenie na ludziach. Zawsze myślałam, że jestem tylko tą dziewczyną z lubelskiej Starówki, która w dzieciństwie widziała patologię, ale której udało się spełnić marzenie.

– Tak, tak, pamiętam, mikromieszkanko na Starym Mieście, toaleta na zewnątrz, słuchanie winyli z rodzeństwem. The Beatles, Rolling Stones, Czesław Niemen...

– A wiesz, Kaśka, wiele lat później, kiedy już się pięłam po „schodach do nieba” i poznałam Niemena osobiście, opowiedziałam mu, jaki był dla mnie ważny.

– I co? Musiał być mega zaskoczony?

– Wyznał, że jest moim fanem! Wyobrażasz sobie? Poczułam, że jestem namaszczona przez KRÓLA!



”

KRÓLU, mój królu, już wstaje świt
Rodzi się w bólu jak wszystkie takie dni.

”

Rok 1985, a my znowu w studiu. W kraju trwał kryzys, rosły ceny produktów, których i tak nie można było dostać, sądzono zabójców księdza Popiełuszki. Byliśmy zmęczeni, zniechęceni, chcieliśmy wolności, o którą wciąż było trudno. Można ją było znaleźć tylko w uczuciach, i to o nich pisałam w tekstach na nową płytę. To właśnie wtedy powstawały *Dwa serca, dwa smutki*, *Diament i sól*, *Chroń mnie od złego*, ale też *Płynie w nas gorąca krew*. Facet z wytwórni płytowej, który decydował o wyborze piosenek na album, nie chciał jej. Mówił: „Przy tym nie da się tańczyć!”. Zupełnie nie znał się na muzyce. Przekonała go dopiero jego koleżanka, która wstała i pokazała mu, że jednak to da się zatańczyć. I to jak!

A potem *Płynie w nas gorąca krew* stało się wielkim przebojem. Oczywiście wtedy decydowała o tym długa obecność na trójkowej liście przebojów Marka Niedźwieckiego. A *Dwa serca, dwa smutki* były tam dwa razy numerem jeden!

To był wielki sukces. Żeby uzyskać w tej piosence perkusyjny efekt głębi, nasz realizator zdjął z nóg drewniaki i nagrał dźwięk, uderzając nimi o siebie. Uwielbiałam takie studyjne improwizacje, eksperymenty i poszukiwanie nowych brzmień. Jednak praca nad naszą trzecią płytą była dość nerwowa. Między realizatorem dźwięku a muzykami dochodziło do ostrych spięć. Byłam zmęczona tą atmosferą. Kilku muzyków zrezygnowało

ze współpracy. Wśród nich mój brat. Jarek miał dość podróży, stresu i tęsknił za rodziną. A poza tym – a może przede wszystkim – chciał w muzyce podążać własną drogą. Musiałam to uszanować.

Ale wcześniej zdążyliśmy jeszcze razem polecieć do Ameryki!



Teściowi udało się załatwić paszport nawet dla Kasi, więc byliśmy gotowi na tę fascynującą podróż. Kiedy podchodziliśmy do lądowania w Chicago i z okien samolotu zobaczyłam drapacze chmur, rozplakałam się. Właśnie spełniało się moje kolejne wielkie marzenie.

Zamieszkaliśmy wszyscy w apartamencie niedaleko klubu, w którym mieliśmy grać dla Polonii. Ale nie w głowie było nam siedzenie w pokoju i odsypianie podróży. Natychmiast wyruszyliśmy na zakupy. W Polsce wtedy asortyment w sklepach zaczynał się na M, a kończył na O, czyli był makaron i ocet. Luksusowe produkty takie jak kawę można było kupić bez problemu tylko w peweksie. Więc najpierw zaczęliśmy „zwiedzać” amerykański dobrobyt, żeby się oswoić. Mieliśmy wielki apetyt na zakupy, ale dolarów mało. Poza tym pamiętaliśmy, że za 50 zielonych można było w Polsce przeżyć cały miesiąc. Dlatego postanowiliśmy oszczędzać. Zwłaszcza że za zarobione pieniądze chcieliśmy z Andrzejem zamienić małego fiata na dużego. To był wtedy szczyt naszych motoryzacyjnych marzeń.



Opole, rok 1985. Na drugim planie od lewej: Robert Kozak i Grzegorz Płecha.

A koncerty? Były wzruszające. Graliśmy głównie dla Polaków, którzy musieli opuścić kraj. Wielu z nich wyjeżdżało, mając w pamięci i w sercu nasze wielkie przeboje. Po koncertach podchodzili do nas, dziękowali. Trudno było zachować spokój.



W pokoju mieliśmy oczywiście telewizor. W Polsce działały wtedy dwa programy, a tu palec bolał od wciskania przycisków na pilocie. Najczęściej szukaliśmy bajek dla Kasi, chociaż dla nas mogłoby istnieć tylko MTV. Dzięki tym godzinom przed amerykańskim telewizorem w mojej głowie zaczęła się muzyczna rewolucja. Wzięły w niej udział zespoły, których wcześniej nie

słyszałam, albo artyści, których twórczość znałam, ale nigdy nie widziałam ich ani na żywo, ani na ekranie. Mogłam godzinami tak siedzieć, oglądać, analizować występy i teledyski Guns N' Roses, Aerosmith, ZZ Top, The Police... Barwność ówczesnej sceny rockowej była niezwykła. Każdy gatunek muzyczny miał swoje mega gwiazdy. Ale jeden zespół, a właściwie jego wokalistka, szczególnie skupił moją uwagę. Chodzi o Heart i Ann Wilson. Jej technika wokalna zupełnie mnie oszołomiła. Zaczęłam więc i w sobie szukać tej niezwykłej głębi głosu. Nie miałam pojęcia, jak to się jej udaje, ale nie byłabym sobą, gdybym tego w końcu nie odkryła. Tak, to była zajebista i jedyna w swoim rodzaju PRZEPONA.



Byłam więc w Ameryce. Nie czułam się w niej gorsza. Zresztą nigdy nie czułam się gorzej tylko dlatego, że urodziłam się w Polsce. Przecież umiem tyle co panny, które robią kariery za oceanem. Konfrontacje ze światem raczej dawały mi kopa, żeby jeszcze bardziej się doskonalić. Oczywiście, to było super motywujące, gdy po występie w prestiżowym klubie w Nowym Jorku, gdzie przed nami grała amerykańska kapela, po naszym występie jej członkowie podeszli do mnie i mówili z podziwem: „Wow! Daliście czadu! Jak ty świetnie śpiewasz!”

Ale amerykański mit, jak to mit, szybko zaczął się rozwiewać. Nasz pierwszy klub wieczorem, kiedy graliśmy, wyglądał świetnie. A rano? Brud, wszystko tymczasowe, tekturowe, łatanie, do tego karaluchy w kuchni. To było okropne. W kraju Polakom się wydawało, że Ameryka to cud, a wcale tak cudownie nie było.


Do tego klubu przychodziły też znane osoby, żeby się z nami spotkać. Przy okazji legła w gruzach kolejna legenda: o moich

kolegach i koleżankach z rodzimego podwórka robiących kariery za oceanem. W rzeczywistości było tak: w ciągu dnia budowlanka, zmywak, a w weekendy granie w polonijnych klubach. Do tego alkohol, narkotyki, tęsknota za bliskimi i ojczyzną, do której wtedy nie mogli pojechać nawet na chwilę. A mimo to wielu z nich dziwiło się, mało, było w wielkim szoku, że chcemy wracać do Polski. Andrzej, ja i Kasia mogliśmy rozpocząć nowe życie, ale z bagażem nowych przeżyć, doświadczeń i głową pełną muzycznych pomysłów wolałam wrócić do kraju i w nim je realizować. Grupa niedowiarków nawet odprowadziła nas na lotnisko. Kasia bawiła się swoim cudownym amerykańskim pluszakiem, piłką, którą ma do dzisiaj, a my usłyszeliśmy głos w tle: „Lot do Warszawy – proszę przygotować się do odprawy”. I naprawdę się ucieszyliśmy.

W Warszawie czekali na nas wzruszeni rodzice Andrzeja. Z ulgą wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy do domu. DO LUBLINA!



Pierwszy wyjazd zespołu do USA. Występ w jednym z klubów w Chicago. Na gitarach grają od lewej: mój brat Jarek oraz Grzegorz Płecha.



– Kasiu, dojeżdżamy już DO LUBLINA. Może się przesiądziemy? Znam swoje miasto i wiem, gdzie będzie czekał na nas Piotrek.

– To dobry pomysł, żebyś miała ochronę. Przecież te paparuchy przed sądem osaczają cię jak Sobieski armię kozacko-moskiewską w 1660.

– Kaśka, a skąd u ciebie taka wiedza historyczna? – zapytałam mocno zszokowana.

– A widzisz, kochana przyjaciółko, czasami otwiera mi się w głowie skarbnica wiedzy historycznej z czasów szkoły podstawowej. Mój ojciec, alkoholik, wymagał ode mnie wiedzy w różnych dziedzinach. Kiedy czegoś nie wiedziałam, wrzeszczał na mnie, wyzywał. Więc do tej pory spinam się, kiedy ktoś mnie pyta: „Jaka to roślina?”, „Jaki ptak?”. Boję się i zamykam w sobie, jakbym miała piętnaście lat, jakby znowu ktoś wywołał mnie do tablicy.

– Dobrze cię rozumiem. Ja po szkole przez dłuższy czas cierpiałam na „syndrom całkowy”. Przerabialiśmy całki pod koniec liceum, ale mnie na tych lekcjach już nie było, graliśmy pierwsze bajmowe koncerty. Więc śnił mi się przez wiele lat koszmar, że stoję przed tablicą i jestem zupełnie nieprzygotowana do odpowiedzi. Koszmar kończył się dopiero wtedy, gdy budziłam się złana potem i – o szczęście niepojęte – uświadamiałam sobie, że okres szkolny mam już za sobą. Ale śnią mi się też takie koszmary, że kurwa, cały czas sprzątam.

– To przez twój perfekcjonizm – zaśmiała się Kaśka. – Przecież to jasne, że chcesz, żeby perfekcyjne było twoje życie, dom, praca, lojalni przyjaciele... Nie ma w tym nic złego. To jest piękne, prawdziwe i ma sens.

– OK, tylko jaki sens ma życie kobiety, która buduje dookoła siebie ten idealny świat, ale i tak dostaje po dupie od faceta. Ja to ja, ale są dziewczyny, które co dzień na nowo muszą się poskładać. I to nie jeden raz – jak to śpiewał Feel – i zacząć dzień. Wiele z nich musi przecież samotnie utrzymać i wychować swoje dzieci. Kaśka, przecież wiesz, sama to przerabiałaś.

– No tak – odpowiedziała przyjaciółka, zatapiając się we wspomnieniach. – Pamiętam jak dziś: przypadkiem przeczytałam SMS-a od niuni zakochanej w moim facecie. Miał z nią romans od miesięcy. Nie widziałam siebie w tym trójkącie, więc z dnia na dzień spakowałam się i wyprowadziłam, tuląc syna, który nie był w stanie zrozumieć, dlaczego podjęłam taką decyzję. Nie miałam nic. Byłam sama w Trójmieście. Pomogli przyjaciele i mama, znalazłam mieszkanie...

– Tak, Kasiu, pamiętam – przerwałam przyjaciółce. – Ty miałaś swoje przeżycia, ja swoje, każda z nas je ma i myślę, że wszystkie kobiety mogłyby napisać poruszające książki o swojej drodze.

Chociażby o tym, jak dochodziły do przekonania, że związek, w którym żyją od lat, istnieje tylko na papierze. Że nie ma już w nim żadnych dobrych uczuć. Ja jestem tylko przykładem.



Każda z nas w głębi duszy czuje, czy warto podejmować walkę o związek, czy nie. Jeśli nie, trzeba być odważną kobietą lub odważnym mężczyzną. Zakończyć sprawę.

Nie potrafię zrozumieć sytuacji, w której ludzie wciąż są ze sobą, a właściwie ze sobą przebywają, choć między nimi nie ma już nic. Takie puste bycie obok siebie jest najtrudniejsze. Kiedy związek powszednieje, zanikają w nim czułość, ciepłe słowa, które w każdym wieku są niezwykle ważne. Więc czułość znika, a na jej miejscu pojawia się chłód. Zimno między ludźmi zawsze jest symptomem zamierania uczuć i zapowiada koniec... Wtedy często uczucia, które łączyły ludzi, przeradzają się w nienawiść. A ona zmienia ich wspólne życie w piekło.

Oczywiście nie zawsze musi tak być. Ja miałam to szczęście, że moi rodzice do końca swoich dni bardzo się kochali i potrafili to sobie okazać. To było piękne! Tata podszczypywał mamę, przytulał, całował, zaczepiał – tak po prostu. Marzyłam o tym, żeby mój facet też był dla mnie równie czuły. Wtedy kobieta oddaje tę czułość, to naturalne. Ale kiedy tej czułości nie ma, ona wciąż się zastanawia, czy jest jeszcze atrakcyjna, czy się komukolwiek spodoba. I wmawia sobie: jest źle, ale po co mam zmieniać związek, skoro i tak nikt mnie nie zechce, nie zwróci na mnie uwagi? Mam przecież pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat. Jestem już w wieku – tak sobie myślisz – w którym już nie spotkają mnie żadne gorętsze uczucia. Nie ma dla mnie przyszłości.



Z moim tatą, początek lat dziewięćdziesiątych.

To nieprawda! Ja jestem tego przykładem. I moja przyjaciółka, moja siostra, siostra mojego faceta też! Te dziewczyny opowiadają mi: „Beata, po tylu latach znów się zakochałam, znów w brzuchu fruwią motyle!” Więc odpowiadam: „A widzisz?! To nie był wcale koniec!”

Koniec związku to nie jest koniec świata, koniec wszystkiego. Jednak kobiety często popadają we frustrację, bo już nie ma obok nich tego drugiego człowieka, z którym przeżyły tyle lat, z którym wychowywały swoje dzieci.

To absolutnie nie musi tak być! Trzeba wierzyć, że się w końcu kogoś spotka. Ale też trzeba temu pomóc, trzeba dbać o siebie. Co do tego nie mam złudzeń. Widzę te zadbane kobiety, które radzą sobie ze sobą – to one dostają po rozwodach szansę od losu. Jednak zbyt często jest tak, że kobiety tak bardzo boją się zmiany, boją samotności, że nie potrafią się uwolnić z toksycznych relacji. Raz za razem dają mężowi alkoholikowi drugą szansę. To pułapka. Każdy uzależniony musi sam zrozumieć, że to on powinien o siebie walczyć. Bo najbliżsi, choćby stawali na głowie i robili wszystko, co w ich mocy, bez jego decyzji: „zrobię to dla rodziny i przestanę pić” nie będą w stanie mu pomóc.

Czasami udaje się przetrwać takie kryzysy i to piękne, kiedy osoba z nałogiem wybiera jednak życie. Niestety, nie zawsze tak jest.

To trudny temat, również dla mnie.



Otrząsnęłam się z zamyślenia, kiedy Kaśka zatrzymała samochód na poboczu. Właśnie zamieniałyśmy się miejscami, kiedy...

– Nie, Kaśka, to się nie dzieje naprawdę!

Klejenie obcasa nic nie dało. Rozwalił się i teraz już byłam pewna, że nic mu nie pomoże. Tylko co mam teraz robić? Przecież nie mogę pokazać się w sądzie w skórzanych butach za kolana! Zwykle, kiedy jadę gdziekolwiek, nawet na dwa dni, zabieram tyle ciuchów i butów, że wszyscy myślą, że zostaję przynajmniej na dwa tygodnie. A dziś nie wzięłam nic.

Usiadłam za kółkiem i ruszyłam, chociaż prowadzenie auta na bosaka to koszmar.

– Królowo, zaraz coś wymyślimy – uspokajała mnie przyjaciółka, jak zwykle pełna optymizmu. Nie podzielałam go.

– Może jeszcze raz zadzwoń do Ewy, pewnie znajdą się u niej jakieś czarne szpilki – podrzuciła Kaśka.

Owszem, Ewa, moja przyjaciółka i projektantka, ma szafy pełne ubrań. Tylko co z tego?

– To byłoby dobre rozwiązanie, ale Ewa ma mniejszą stopę – odpowiedziałam, a jednocześnie coś mi przyszło do głowy. – Dobra, dzwonię do Ewy. Obok sądu jest taki mały butik, widziałam w nim niedawno fajne buty, może Ewka mi je kupi.

Wybrałam numer.

– Ewa, halo, kochana, słyszysz mnie? Tu Beata, specjalistka od spraw trudnych, ale rozwiązywalnych. Mam nadzieję... Otóż nie mam butów na rozwód. Tak, dobrze słyszysz. Musisz mi, kotku, pomóc. Znasz ten butik obok sądu? Idź tam, proszę, i zobacz, czy mają czarne szpilki rozmiar 37.

- OK, Beti, pójdę i dam ci znać – usłyszałam w słuchawce.
- O Jezu, Kaśka, takiego napięcia nie miałam przed żadną miesięczką – westchnęłam, kiedy się rozłączyłam. – Teraz muszę zadzwonić do pani mecenas i powiedzieć, że się spóźnię, i to niezłe. Boże, czy oni tam jeszcze będą na mnie czekać?



- Witam panią mecenas! Otóż zaistniały nie do końca ode mnie zależne okoliczności... OK, jest pani kobietą, to mnie pani zrozumie. Nie będę ściemniać: złamał mi się obcas i muszę załatwić sobie jakieś inne buty. Mam wrażenie, że cały świat się sprzysiągł przeciwko mnie. Ale jestem zdeterminowana, więc proszę panią o dodatkowy czas.

- Spokojnie, pani Beato, rozumiem. Będziemy na panią czekać. Niestety razem z całym światem, który okupuje parking przed sądem, z kamerami i aparatami fotograficznymi. Mogę tylko pani współczuć, nie tylko jako kobieta.

Mimo wszystko odetchnęłam z ulgą. Ze światem jakoś sobie poradzę. Zawsze sobie radziłam. Ale chwila ulgi była krótka.

- Beata – odezwała się Kaśka. – Ewka wysłała mi zdjęcia butów. Zobacz, czy któreś się nadają.

- Noooo, te są niezłe.

- Halo, Ewcia... A ile kosztują? – rzuciłam do słuchawki.

- No to są oryginalne, ale tylko pięćset.

- Chyba cię pogięło – zaśmiałam się. – Oryginalne są na pewno dużo droższe. To jest ewidentnie podróbka. Ale zdaje się, nie mam wyjścia. Kup je, a ja ci oddam kasę. I bardzo ci dziękuję.



- Czy ja wciąż muszę żyć w takim stresie? – powiedziałam trochę do siebie, trochę do przyjaciółki.

- No wiesz, jeden jest uzależniony od papierosów, drugi od alkoholu, trzeci od narkotyków, a ty od adrenaliny. W twoim życiu ciągle musi się coś dziać. Taka już jesteś.

Miała rację. Bezczywność to nie jest mój żywioł. Muszę działać, najlepiej na kilku płaszczyznach naraz, wszystko kontrolować, a do tego wciąż tworzyć nowe projekty. Żeby działały, zatrudniam wielu ludzi. Projekt BEATA to całkiem spora firma. Dostyż szczególnie, bo tylko od siebie wymagam perfekcji. Tylko mnie nie wolno popełnić absolutnie żadnego błędu. Innym wybaczają się łatwiej.

- Wiesz, wzięłam na siebie taką odpowiedzialność, że czasami czuję się, jakbym wspinała się w górach – zaczęłam opowiadać Kaśce. – Znacznie rzadziej, jakbym leżała na plaży. Na przykład w Międzyzdrojach, tam, gdzie się poznałyśmy. Pamiętasz?

- No jasne, jakbym mogła zapomnieć! – odpowiedziała Kaśka. – Prowadziłam zajęcia fitness w hotelu, w którym ty i zespół zatrzymaliście się, koncertując nad morzem. Pamiętam, jak zapytałam twoją córkę, czy mama pozwoli się jej bawić z moimi dziewczynkami. Agatka od razu zaprowadziła nas do twojego pokoju.

- Nigdy nie zapomnę twojej miny, kiedy otworzyłam drzwi!

– Byłam obesrana jak królik – śmieje się Kaśka, dosadna jak zwykle. – Ale kiedy cię zobaczyłam, poczułam takie ciepło, jakbym cię znała od zawsze.

Chciałam ją przytulić, ale właśnie wjeżdżałyśmy do Lublina. Nie zamierzałam jechać od razu do sądu na rozprawę. Wiedziałam, że sama nie dam sobie rady z tłumem, który czekał na mnie przed sądem. Najpierw więc musiałam pojechać po PIOTRKA.



PIOTREK pojawił się w moim życiu ponad dziesięć lat temu. Najpierw był naszym kierowcą, a potem...

Graliśmy w płockim amfiteatrze. Tłum jak zwykle, emocje też gorączkowe, jak to na koncercie. Nagle jakiś chłopak przedarł się przez kordon ochroniarzy i wspiął na scenę. Biegł w moją stronę. Byłam przerażona, przecież nie wiedziałam, jakie są jego intencje. Był coraz bliżej. Nagle, w ułamku sekundy pojawił się przy nim Piotrek i powalił go na ziemię. Byłam tak zaskoczona, że krzyknęłam: „Piotrusiu, nie bij pana!”

Publiczność w amfiteatrze płakała ze śmiechu.

Od tej pory Piotrek został moim bodyguardem. Idealnym. Ma oczy dookoła głowy. Bywa groźny dla tych, którzy nie stosują się do poleceń, ale jest też empatyczny, potrafi rozpoznać prawdziwego fana. Czuję się przy nim naprawdę bezpieczna. Do tego Piotrek zawsze wie, czego potrzebuję. Zanim o tym pomyślę, on już to robi. Potrafi wszystko załatwić. Po niektórych koncertach, gdy jestem zmęczona na maksa i nie mam siły zejść ze sceny, bierze mnie na ręce jak małą dziewczynkę i zanosi po schodach do garderoby.

Nie, ochrona to wcale nie jest fanaberia, gwiazdorzenie, próba oddzielenia się od fanów. To jest niezbędna gwarancja naszego bezpieczeństwa. Pamiętam koncert gdzieś w górach, jeszcze w latach osiemdziesiątych. Wokół Bajmu panowało szaleństwo, ale ochronę mieliśmy tylko w czasie występów. Nie przychodziło nam do głowy, że poza sceną moglibyśmy potrzebować opiekunów. Po koncercie wsiadaliśmy do busa, a w tym samym czasie z klubu bilardowego wytoczyła się grupa mężczyzn. Byli nietrzeźwi – mocno nietrzeźwi – i zaczęli zaczepiać mnie i dziewczyny z chóru. Nie spodobało się im, że nie jesteśmy otwarte na nowe znajomości. Być może nie wiedzieli nawet, z kim

mają do czynienia. Któryś z muzyków powiedział coś w naszej obronie, no i się zaczęło... Mieli przewagę liczebną, więc jedynym sensownym rozwiązaniem była szybka ucieczka do busa. Tamci zaczęli walić kijami bilardowymi w karoserię. Jeszcze chwila i poleciałyby szyby. Krzyczeliśmy do kierowcy, żeby natychmiast ruszał, ale sparaliżował go strach. Tylko ja z Andrzejem zachowaliśmy zimną krew. Andrzej krzyknął: „Na podłogę, wszyscy!”, a ja stanęłam nad kierowcą i wrzasnęłam mu do ucha: „Jedziemy, bo nas tu pozabijają!”. Oprzytomniał. W ostatniej chwili udało nam się umknąć.

Pojechaliśmy na komisariat, żeby złożyć zeznania. Już na początku milicjanci kazali nam podać nasze adresy zameldowania. Zrezygnowaliśmy. To było nieduże miasto, a jednocześnie zbyt duże ryzyko, że sprawcy mogą się znać z milicjantami. Baliśmy się, że nas odnajdą, że będą się mścić.



To było również w latach osiemdziesiątych. Nagle zaczęły do mnie przychodzić listy od jakiejś dziwnej organizacji. Szybko zorientowałam się, że to jacyś neonaziści. Pisali, że jestem ich „księżniczką”. Naprawdę. Wiedzieli o mnie wszystko. Ale nie szantażowali mnie, nie chcieli przestraszyć. Przeciwnie. Instruowali, jak powinnam się zachowywać jako ta ich nazi-księżniczka, jak się ubierać, co mówić.

Czułam się osaczona. Nie wiedziałam, czego jeszcze będą ode mnie chcieć. Co się stanie, jeśli nie będę wykonywać ich poleceń?

W końcu przed koncertem w Szczecinie usłyszałam krzyk. Nasilał się. Potem cisza, a do mojej garderoby wchodzi jakiś umundurowany mężczyzna. Ale to nie był żołnierz ani policjant. Jego mundur przypominał raczej kostiumy aktorów ze *Stawki*

większej niż życie. Do tego facet był naprawdę ogromny i łysy, więc szybko zrozumiałam, że mam do czynienia z autorem listów „do księżniczki”. Żeby się do mnie przebić, pobił dwóch ochroniarzy. A teraz stał przede mną. Zaczęłam piszczeć, wrzeszczeć, wzywać pomocy. A on nic. Wpatrywał się we mnie zachwycony i potulny jak baranek. W końcu wręczył mi jakąś paczkę i wyszedł, stukając obcasami. Dostałam od niego rzeczy, w których chciał mnie widzieć na koncertach. Możecie sobie wyobrazić...
Kompletne szaleństwo.

Całe szczęście nigdy więcej nie spotkałam tego mężczyzny. Po prostu rozpułynał się w powietrzu. Ale zrozumiałam, że potrzebuję kogoś, kto będzie dbał o moje BEZPIECZEŃSTWO.

– Jest! Jesteśmy BEZPIECZNE! – krzyczy Kaśka. – Już na nas czeka!

Tak, też go widzę: silny, wysoki, barczysty. Mężczyzna w ścisłym znaczeniu tego słowa.

Macham do Piotrka, widzę, że się uśmiecha. Zadzwoiłam do niego dwa dni przed rozwodem. Poprosiłam, żeby był tego dnia przy mnie. Bo gdy będę go miała przy boku, poczuję się bezpiecznie, cokolwiek by się nam przydarzyło. Oczywiście jak zwykle rzucił wszystkie swoje sprawy i zjawił się na czas!

Zatrzymuję auto, a on otwiera drzwi.

– Cześć, dziewczyno! – mówi, a ja zerkam na napis nad jego głową. To w gruncie rzeczy przypadek, że umówiliśmy się właśnie tutaj, pod siedzibą RADIA LUBLIN. Ale ja nie do końca wierzę w przypadki.



W drodze na sprawę rozwodową, z moim niezastąpionym ochroniarzem Piotrem i przyjaciółką Kasią Kossak.



RADIO LUBLIN przez kilka lat było naszym drugim domem. To w jego ogromnym studiu nagrywaliśmy płyty, to tu często odbywały się próby Bajmu. A ponieważ jedzenie w barku było smaczne, często wpadaliśmy tam i między sesjami.

Pod koniec lat osiemdziesiątych byłam już osobą znaną, bardzo rozpoznawalną, no, prawdziwa młoda gwiazda epoki późnej komuny. Jednak wciąż mieszkaliśmy w zwykłym bloku. Z czasem stało się to dla mnie, Andrzeja, naszej córki, a nawet dla bokserki Sary, bardzo uciążliwe. Sąsiedzi i nie tylko sąsiedzi stali się namiętnymi obserwatorami naszego życia. Fundowaliśmy im reality show, na długo zanim ktoś wpadł na pomysł *Big Brothera*. Zwyczajne zakupy, które robiliśmy w ciągu dnia, zostawialiśmy w bagażniku samochodu. Czekaliśmy na parkingu, aż odbierzemy je po zmroku. Żeby ludzie nie zaglądali nam do siatek, żeby nie gadali, co ta Kozidrak sobie znowu kupiła... Jednak nie to było najgorsze.



Z Kasią w naszej kuchni.

Kasia poszła do podstawówki, która znajdowała się blisko naszego bloku. Już w zerówce dzieci dały jej do zrozumienia, że jest inna, bo jest córką znanych rodziców. Wracała do domu smutna, zapłakana. Bałam się, co będzie w przyszłości. A przecież wtedy nie było prywatnych szkół. Zresztą nie chcieliśmy się izolować. Nie chcieliśmy, żeby Kasia wychowywała się odcięta od rówieśników, żyła w akwarium. I mnie, i Andrzejowi, chociaż byliśmy osobami publicznymi, zależało przede wszystkim na tym, żeby mieć normalne, rodzinne i szczęśliwe życie. Jednak inni nie byli w stanie uwierzyć, że nasza codzienność może być zwyczajna. Ich życie nie było ciekawe, więc nasze postrzegali jako kosmiczne. Przecież w niedzielę widzieli Bajm w telewizji, a w poniedziałek mnie, jak robię zakupy w osiedlowym sklepie. No kurwa, czary!

Kasia pod blokiem grała w gumę, a ja, gotując obiad w kuchni, otwierałam okno i słyszałam, jak zwraca uwagę swoim koleżankom, że oszukują. Ale one uważały, że im wolno oszukiwać „córkę gwiazdy”. Za to „córka gwiazdy” nie ma prawa zwracać im uwagi.

Tak wyglądało nasze życie w tamtych latach: kilka dni zmagania się z codziennością, spotkań z rodziną, przyjaciółmi, płacenie rachunków, a potem znowu w trasę. Nowi ludzie, koncerty, hotele, emocje, których nawet moi bliscy nie rozumieli. Nie rozumieli, że ja potrzebowałam tego zgiełku, zmian, ciągłego szukania w sobie nowych możliwości artystycznych i wokalnych. Że nie potrafię bez tego żyć.

Coraz ważniejsi stawali się dla mnie artyści, z którymi współpracowałam. Miałam szczęście. Ci, których spotykałam, nie tylko mnie wspierali i inspirowali. Mogłam się od nich uczyć. Czasami te spotkania były krótkimi epizodami, jedna sesja, jeden

album i kilka wspólnych koncertów. Ale niekiedy to wystarczyło, żeby odcisnąć na mnie wyraźne artystyczne piętno.



Taki ważny krok w mojej karierze przyniosło spotkanie z Kostkiem Joriadisem. To była muzyczna magia. Kostek miał greckie korzenie, które odzywały się i w jego muzyce, i w temperamencie. Współpracował z wieloma artystami, grał m.in. w Papa Dance, Lady Pank i Maanamie. Ale wtedy, wiosną 1988 roku, grał na klawiszach, komponował i aranżował dla mnie, a ja śpiewałam. Czułam się znów jak wtedy, gdy przed laty wspólnie z moim bratem tworzyliśmy nowe piosenki. Jarek brał gitarę, grał pierwsze takty, a ja już miałam pomysł na zwrotkę albo refren... Wróciły te same emocje, ta sama spontaniczność tworzenia.

Fascynacja Kostka soulem i muzyką funky sprawiła, że zaczęłam słuchać też innej muzyki. Stevie Wonder, Aretha Franklin, James Brown, Earth, Wind & Fire, Tower of Power, Kool and the Gang... Moja artystyczna dusza nasiąkała jak gąbka tymi dźwiękami. Postanowiłam pilnie zmienić coś w swojej technice wokalne.

TAK POWSTAWAŁ MATERIAŁ NA NOWY ALBUM *NAGIE SKAŁY*.

Kostek miał zdecydowanie największy wpływ na artystyczny kształt tej płyty, chociaż jako kompozytor jest podpisany tylko pod dwiema piosenkami: *Ogień i lód* oraz *Męski świat*:



Powiedz, powiedz mi
Skąd wzięły się te łzy
I żal
Czy nastrój masz zły

Czy winna jestem ja
Uwielbiam ciebie
Za ten uśmiech i łzy
I nawet wtedy gdy
Budzisz się zły
Uwielbiam ciebie
Za słońce
Burze i grad
Prawdziwy męski świat
Niebo bez gwiazd
Miłość bez kłamstw
Wiesz nie od dziś
W życiu tak nie może być
Powiedz, powiedz mi
Skąd biorę tyle sił
By kochać aż tak
Mieć wszystko i nic
Czy winien jesteś ty...





Na scenie z Franzem Dreadhunterem (m.in. kompozytorem Jeziora szczęścia).

Kostek miał niepokorną duszę. Jej okruczeństwo zostawił w każdej piosence z *Nagich skał*. Nagrywanie płyty nie przebiegało bez przeszkód, bo podczas nagrań w Radiu Lublin wciąż próbował wyrwać się do miasta, żeby się spotkać z kolegami. Żeby go zatrzymać w studiu, przynosiłam mu kanapki, kawę, herbatę. Ale Kostek miał chyba ochotę na bardziej duchowy rodzaj pokarmu...



Dobrze pamiętam okoliczności, w jakich powstało *Jeziro szczęścia*, jedna z najważniejszych piosenek i dla mnie, i dla Bajmu.

Byliśmy w trasie, wciąż z Kostkiem Joriadisem i Franzem Dreadhunterem w składzie. Dopiero planowaliśmy nagranie nowej płyty. Zatrzymaliśmy się na kilka dni w pięknym zajeździe nad jeziorem. Wieczorami, kiedy tylko mieliśmy czas, wystawialiśmy na dwór sprzęt i zaczynaliśmy grać. Chłopaki mieli już pomysły na kolejne piosenki, więc rozwijaliśmy je, powstawały też nowe kompozycje. Nigdy nie zapomnę, jak Franz przyszedł z gitarą do ogniska nad jeziorem, usiadł i powiedział, trochę nieśmiałym głosem: „No nie wiem, Beata, czy cię to zainteresuje...”. Zaczął grać temat, który później zmienił się w *Jeziro szczęścia*. Ta melodia od razu poruszyła moją wyobraźnię. Zwiałam do pokoju i zaczęłam pisać tekst. A potem jeszcze jeden, do piosenki *Katarzyna i księżyc*, który mógł powstać tylko w tym miejscu. To był piękny pokój na strychu, z odsłoniętymi skosami i oknami w suficie. A w tym oknie...



Katarzyno, ten księżyc to ja
Jestem z tobą, lecz również i tam
Między niebem a ciepłym twych ust
Będę czuwać i strzec twego snu
Jeśli masz jakiś problem, to mów
Jestem wróżką, gdy słucham twych słów
Jestem słońcem, gdy opalasz twarz
Abecadłem tym, które już znasz
Za ból, za gniew, za to, że kochasz mnie
Za milion mniej ważnych spraw

Dzięki Bogu, że ciebie mam.



Rzeczywiście, leżąc w łóżku pod oknem dachowym, zobaczyłam księżyc w pełni. A że zostawiłam Kasię w domu z dziadkami, bardzo za nią tęskniłam...



Do *Jeziora szczęścia* powstał pamiętny teledysk, w którym po raz pierwszy pokazałam się publicznie w skąnym kostiumie kąpielowym, co było bardzo intensywnie komentowane. Zdjęcia kręciliśmy pod Krakowem, oczywiście nad jeziorem, a powstał z tego swoisty romantyczny thriller: reżyser sobie wymyślił, że jestem świeżutką wdową, bo narzeczony się utopił, więc powracają do mnie wspomnienia wspólnego szczęścia. Nie wiem, co mi się stało, że zaakceptowałam ten pomysł.

Podobnie było z *Sąsiadami*, programem telewizyjnym, który towarzyszył wydaniu płyty. Dlaczego *Sąsiedzi*? Skąd ta abstrakcyjna idea? Co miała wspólnego z muzyką Bajmu, moimi tekstami? Nie mam pojęcia, o co chodziło reżyserowi. Może o politykę? W każdym razie pojawiali się w tym programie bardzo różni sąsiedzi, i tacy zwyczajni, z bloku, i „geopolityczni”, nawet jakiś wąsaty wuj ubrany z austrowęgierska, z szablą w dłoni.

A na końcu płonęłam w fotelu. Jak to zrobili? Najpierw, siedząc na tym purpurowym meblu, śpiewałam: „kocham cię, duszo, która jesteś... w sercu moim, w każdym moim gościu...”. Kiedy skończyłam, podpalili fotel, a w montażu nałożyli na siebie te dwa obrazy. Dużo tam było takich zaskakujących wątków. Tylko nie do końca rozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi...



Tworząc *Jezioro szczęścia*, nawet nie przypuszczałam, że będzie miało tak długie życie. Tekst jest liryczny i intymny, ale wciąż działa w wybuchowy sposób. Kiedy zaczynam go śpiewać, nawet teraz, po tylu latach, młodzież zwyczajnie szaleje. Tak głęboko wszedł w młode pokolenie. Ale okazało się, że *Jezioro szczęścia* stało się również muzycznym zapalnikiem dla młodych twórców. Tworzą nowe aranżacje i przeróbki. Miuosh nagrał własną wariację na temat *Jeziora szczęścia*, a potem zaprosił mnie na trzy swoje koncerty w sali NOSPR w Katowicach. To piękna sala, z bajeczną akustyką, a widownia jakby okala artystę.

Byłam na tych koncertach niespodzianką – nikt nie wiedział, że się pojawię. Więc kiedy po pierwszych dźwiękach ludzie zobaczyli, że wchodzę na scenę, wstawali i bili brawo, długo, bardzo długo. To było tak wzruszające... Przypomniało mi się, że w stanie wojennym ludzie podobnie reagowali, gdy śpiewaliśmy *Co mi Panie dasz*. Niby dwa różne pokolenia, inne epoki, a tak podobne reakcje.



Ten muzyczny etap mojego życia – z *Jezioroem szczęścia* w tle – skończył się już w połowie 1988 roku. Franz Dreadhunter, kompozytor tego utworu, i Kostek Joriadis ruszyli własną drogą muzyczną. To nie był najlepszy moment: mieliśmy w planach trasę i mnóstwo zaproszeń na występy za granicą. Chętnie je przyjmowałam, również dlatego, że mogłam spróbować swoich sił solo, a nie jako wokalistka Bajmu.

Wszystko zaczęło się po festiwalu w Sopocie. Wystąpiłam na nim w 1986 roku i zaśpiewałam z orkiestrą *Diament i sól*. Gwiazdą finałowego koncertu była Bonnie Tyler, musicie kojarzyć jej charakterystyczny, zdarty głos. Występowałam tuż przed nią i jak to często mi się zdarzało, wbrew zieleniejącym ze stresu organizatorom i konferansjerom, bisowałam i bisowałam. Tymczasem Bonnie stała w kulisach i strasznie się wkurzała, że musi czekać na swój występ przez jakąś „polską piosenkareczkę”, która nie chce zejść ze sceny, a ludzie wciąż biją jej brawo i chcą więcej i więcej.



Na plaży w Sopocie.

W końcu skończył się koncert i zaczął bankiet. Nagle czuję na ramieniu czyjąś rękę. Odwracam się. Bonnie!

– Masz wspaniały głos, dziewczyno – powiedziała i pogratulowała mi występu, bo już się dowiedziała, kim jest ta „polska piosenkarczka”. Siedziałyśmy przy jednym stoliku, coś tam sobie podjadałyśmy, kiedy podeszli do nas, bardzo grzeczni i bardzo nieśmiali, reprezentanci Japonii. Powiedzieli, że mój

występ tak im się spodobał, że chcieliby mnie zaprosić na Festiwal Yamahy. Wow! To była bardzo prestiżowa impreza. Nie tylko wystawa sprzętu, lecz także świetny festiwal.

Czy przyjąłam zaproszenie?

No jasne!

Czy pojechałam robić karierę w Japonii?

Nie!

Dlaczego?

Wtedy, pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, monopol na wysyłanie polskich artystów za granicę miał Pagart, państwowy impresariat, nasz absolutny pan i władca. Więc kiedy Japończycy zgłosili się do nich w sprawie organizacji mojego wyjazdu, powiedzieli, że Beata ma już zobowiązania. Ale zamiast niej do Japonii może polecieć inna artystka, widocznie bliższa sercu panom z Pagartu. Tylko że Japończycy jej nie chcieli, chcieli mnie! W konsekwencji z Polski nie poleciał nikt. Pojawiły się jednak zaproszenia na inne festiwale, co bardzo mnie cieszyło, bo miałam wtedy taką zajawkę, żeby sprawdzić się przed inną publicznością, śpiewając po angielsku i w trochę innej roli. Na festiwalach w Jugosławii, Szwecji, Niemczech śpiewałam raczej jak diwa, a nie rockowa wokalistka. I wygrywałam.

Najbardziej prestiżowe było Grand Prix na Midnight Sun Song Festival w Lahti. I zaskakujące, bo na festiwalu pojawiło się sporo znanych europejskich wykonawców. Nagrałam nawet recital dla fińskiej telewizji.

Innym razem w Berlinie wystąpiłam na dużym rockowym festiwalu. Jedną piosenkę śpiewałam po angielsku, drugą po polsku – to było *OK, OK, nic nie wiem, nic nie wiem*. Właśnie ona najbardziej zaintrygowała dziennikarzy. Pytali mnie, o czym właściwie śpiewam. Odpowiedziałam, że o życiu prostytutki.

Wyobraźcie sobie, jak bardzo byli zdziwieni! Jak to? Przyjechała z komunistycznego kraju i śpiewa o prostytutce? Ale nie ich zdziwienie mnie ucieszyło najbardziej, ale to, że porównywali mnie do Niny Hagen, jednej z moich ulubionych wokalistek.



I ja, i Bajm mieliśmy więc napięty kalendarz, a jednocześnie zdekompletowany skład. Ale Grześ Płecha, nasz gitarzysta, miał też swój sekretny plan. Po cichu, za plecami Andrzeja, próbował nasz repertuar z dwoma swoimi znajomymi muzykami: basistą Adamem Abramkiem i klawiszowcem Pawłem Sotem. A potem, niby nigdy nic, powiedział Andrzejowi, że może by spróbować z takimi dwoma młodymi, utalentowanymi... Więc kiedy Adam i Paweł pojawili się na przesłuchaniu, byli obryci z naszych piosenek na blachę. Do tego Paweł okazał się wrażliwym i niezwykle utalentowanym kompozytorem. Siadał za klawiaturą, grał pierwsze dźwięki, a ja od razu wiedziałam, w jakim kierunku popłynie muzyka. Kiedy zaczęłam z nim pracować, poczułam ten sam rodzaj magii jak wtedy, gdy obok mnie byli mój brat Jarek, a potem Kostek Joriadis. Moja kobieca intuicja podpowiadała mi, że razem z Pawłem stworzymy płytę, która przejdzie do historii.



Sesja do płyty *Nagie skały*, rok 1988.

Jednak najpierw znów odwiedziliśmy Amerykę. Nie była już dla nas nieznaną ziemią ani mityczną krainą. Za oceanem mieliśmy przyjaciół, którzy zawsze przyjmowali nas z otwartymi ramionami, mieliśmy swoje ulubione miejsca. Chociaż w drugiej połowie lat osiemdziesiątych spędzaliśmy w Stanach coraz więcej czasu – niekiedy kilka miesięcy w roku – to wciąż czułam ten sam głód

tamtejszej muzyki. Wciąż szukałam nowych dźwięków, nowych głosów, nowych inspiracji.

Z tego wyjazdu chłopcy przywieźli nowy, fantastyczny sprzęt. Tak uzbrojeni mogliśmy ruszyć na podbój drugiego – już w tym czasie mocno się chwiejącego supermocarstwa – ZSRR.



W 1988 roku Bajm został zaproszony na festiwal polskiej piosenki w Witebsku. Wyruszyliśmy tam samochodem – nowym, srebrnym fiatem regata. Granicę przejechaliśmy bez problemu, ale potem...

Zatrzymaliśmy się na parkingu, a że za nami było już sporo kilometrów, w aucie zrobił się bałagan. Więc zgarnęłam wszystkie resztki jedzenia, papierzyska, śmieci, które walały się w schowkach, i wyrzuciłam je do śmietnika. Znów przejechaliśmy kawał drogi – po prawo brzozy, po lewo brzozy – i Andrzej powiedział, żebym coś sprawdziła w paszportach. Zaczęłam ich szukać, ale nigdzie ich nie było! A przecież byliśmy w ZSRR, komunistycznym, totalitarnym, policyjnym państwie. Byliśmy bliscy paniki. Wtedy do mnie dotarło, że paszporty musiały wylądować w śmietniku! Zawróciliśmy i pędziliśmy z powrotem tak szybko, jak radzieckie przepisy i stan drogi pozwalały. Dotarliśmy na ten parking. Wszędzie Rosjanie. Siedzieli przy stolikach, coś jedli, coś pili, a ja, wystrojona, rzuciłam się do przeszukiwania śmietnika! Oni nie wiedzieli, co się dzieje. Patrzyli zdumieni i pewni, że muszę być jakąś wariatką, co to lubi ponurkować w śmieciach. Ale mnie było wszystko jedno. Tym bardziej że coraz głębiej grzebałam w tym śmietniku, a dokumentów jak nie było, tak nie było! Robiło mi się coraz bardziej słabo. Wtedy Andrzej zauważył, że pod jednym z pojemników jest ukryta jakby druga jego część. Wyciągnęliśmy

ją. W środku zobaczyłam nasze brudne, mokre, poplamione i śmierdzące paszporty.

Dojechaliśmy do Witebska. Meldujemy się w hotelu. Wyciągamy te obleśne paszporty, a pani z recepcji zatyka nos. One naprawdę strasznie cuchnęły. Więc recepcjonistka i na nas patrzy z obrzydzeniem. Na to Andrzej: – *No szto? My tolko kupalis w Bugie.*



Na festiwalu wspólnie z innymi polskimi gwiazdami mieliśmy – czysto artystycznie rzecz jasna – rywalizować z artystami radzieckimi. Tylko się okazało, że w tym czasie rywalizacja po prostu musiała również dotyczyć polityki.

Nasi radzieccy przyjaciele nie mogli sobie pozwolić, żebyśmy wygrali. Dlatego postanowili skonfrontować mnie i Bajm z ich bardzo utalentowaną i modną wtedy wokalistką. Teoretycznie nie miałam szans, publiczność musiała być po jej stronie. Ale oczywiście nie byłabym sobą, gdybym nie spróbowała powalczyć. Dlatego wspólnie z Andrzejem wymyśliliśmy strategię występu. Powiedziałam: „OK, wystąpię przed tą waszą artystką, ale potrzebuję garderoby blisko sceny”

To był etap pierwszy.

Drugi dotyczył scenicznego oświetlenia. Zajął się tym Andrzej. Organizatorzy festiwalu mieli wprawdzie kupiony w Stanach sprzęt oświetleniowy, ale nie do końca wiedzieli, jaki z niego robić użytek. Głównie chodziło o to, jak połączyć światło i pirotechnikę, dym, który wraz ze światłem tworzą na scenie plastyczne obrazy. Andrzej odwiedził więc człowieka, który miał się tym zajmować. Butelka wódki połączyła nasze narody – oczywiście dla dobra

naszego występu. Po tym spotkaniu już dokładnie wiedział, jak ma zostać oświetlony i „zadymiony” nasz recital.

Potem zapowiedziałam muzykom, że w trakcie koncertu przebiorę się trzy razy i mają zaczynać dopiero wtedy, gdy zjawię się na scenie.



Przyszedł wieczór naszego występu. Zaczęliśmy mocno, od *Nagich skał*. Włożyłam w tę piosenkę maksimum energii. Potem nagła zmiana nastroju: *Małpa i ja*. Przez kilka minut jest lirycznie i niepokojąco. Kończę *Małpę* i biegiem do garderoby. Przebieram się jeszcze, ale słyszę dobiegające ze sceny pierwsze takty. Muzycy nie posłuchali! Więc pędzę po schodach, cudem nie skręcam sobie nóg, chwytam mikrofon.



Pojawiasz się i znikasz
I znikasz, i znikasz
Mam na twym punkcie bzika
Mam bzika, mam bzika
Daj się sobą nacieszyć
Nacieszyć, nacieszyć
I siedem razy zgrzeszyć
I zgrzeszyć, i zgrzeszyć...



Nie miałam pojęcia, czy publiczność rozumie, o czym śpiewam. Widziałam tylko, że jest coraz bardziej rozgrzana.

Na koniec zaśpiewałam jeszcze *Dwa serca, dwa smutki* w zupełnie nowej aranżacji, z rockowym finałem. Śpiewałam i czułam, że jest dobrze, wspaniale, że publiczność jest już moja. Nie tylko w Witebsku. Bo przecież dotarłam do widzów w całym ZSRR – festiwal był transmitowany w całym kraju.

Okazało się, że mnóstwo młodych ludzi przyjechało do Witebska, żeby zobaczyć Bajm. A po naszym występie dostaliśmy też wiele propozycji koncertowych. Ale ja się już bałam tego kraju...

Moi koledzy próbowali dodatkowo spieniężyć nasz sukces. Chcieli sprzedać kupiony w Stanach sprzęt, ale ta przygoda nie skończyła się dla nich dobrze. Kupiec wprawdzie szybko się znalazł i odebrał sprzęt, jednak żadnych pieniędzy chłopcy nie zobaczyli.



Jeszcze w czasie festiwalu wybraliśmy się w podróż do Katynia. Zabrałam wszystkie kwiaty od fanów i ruszyliśmy w drogę, w gruncie rzeczy nie wiedząc, co nas czeka na miejscu. Ktoś pokazał nam drogę do lasu i mogiły polskich żołnierzy. W Polsce już wtedy mało kto wierzył w kłamliwą wersję, że tego strasznego mordu dokonali hitlerowcy. Ale tu wciąż obowiązywała, więc złożyłam kwiaty pod napisem informującym o „oficjalnej” wersji zbrodni. Zrobiliśmy zdjęcia. Tylko że po powrocie do Lublina żadna gazeta nie chciała ich opublikować.



Na trasie w ZSRR zrobiliśmy przystanek pod kłamliwym pomnikiem w Katyniu. Od lewej: Marek Ondra, Grzegorz Płecha, Andrzej, ja, Paweł Sot, Adam Abramek, Alan Baster, rok 1988.



W tym czasie podjęliśmy ważną dla Bajmu decyzję. Dotyczyła ona roli Andrzeja w zespole. Pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęliśmy rozmawiać na poważnie o tym, aby zrezygnował z grania na scenie i zajął się pracą menedżera. Nasze doświadczenia z jego poprzednikami nie były – mówiąc eufemistycznie – zachęcające, więc zwykle i tak to Andrzej w ogromnej mierze organizował nasze trasy, nagrania, odpowiadał za kontakty z dziennikarzami. Ta zmiana w gruncie rzeczy potwierdzała więc to, co już od jakiegoś czasu było faktem. Miałam przy tym pewność,

że doświadczenie Andrzeja, jego intuicja, konsekwencja i odwaga w podejmowaniu decyzji, pomogą prowadzić zespół w dobrą stronę.

Bardzo szybko wyszłam za niego za mąż i od tej pory to on się mną opiekował, dbał o rozwój mojej kariery – więc i z tego punktu widzenia rola menedżera była naturalnym ciągiem dalszym naszej współpracy. Łączyło nas zaufanie, ale jeśli chodzi o muzykę Bajmu, w coraz większym stopniu to ja decydowałam o kierunku, w jakim zmierzamy. Z każdym rokiem, z każdą nową płytą czułam coraz większą siłę. Oczywiście popełniałam czasami błędy, Andrzej wspierał mnie wtedy, korygował decyzje. Jednak wiedziałam, dokąd zmierzamy. Byłam wręcz pewna, że zespół podążał W DOBRYM KIERUNKU.



- Czy my jedziemy W DOBRYM KIERUNKU? – zapytała Kaśka.

- Tak, bądź spokojna. Znam swoje miasto – odpowiedziałam.

- Musimy tylko po drodze odebrać szpilki od Ewy.

- Tak, tak, wiem, czeka dwie przecznice przed sądem.

Ewa rzeczywiście czekała, tylko że w miejscu, gdzie nijak nie można się było zatrzymać. Otworzyłam więc okno i krzyknęłam tylko: – Rzucaj!

Szpilki – prawie że Louboutin – w reklamówce z Biedronki wylądowały na moich kolanach.



- O nie, to się nie dzieje naprawdę!

- Co się stało, Beata? – zaniepokoiła się moja przyjaciółka.


- Nie mogę wcisnąć butów. Może to jest trzydziestka siódemka, ale włoska. Piotrek, jedź wolno, proszę, będę próbować je włożyć na moje biedne stopy.

Wiedziałam, że to nie koniec problemów. Spojrzałam w lusterko. Kurwa, cały makijaż spłynął mi z twarzy!

Boże, coś Polskę... i jeszcze raz! Lewy wszedł, wysiłek i parcie jak przy porodzie.

- Mamy to kochani! Jeszcze tylko przypudruję spoconą twarz i możesz wjeżdżać na parking!

Pomyślałam wtedy, że najgorsze już za mną. Jednak bardzo się MYLIŁAM...



MYLIŁAM się, sądząc, że w latach osiemdziesiątych poznałam wszystkie koszty popularności. W tym czasie jednak naszą codziennością interesowali się co najwyżej nasi sąsiedzi. Ale to szybko się zmieniało. Pod koniec dekady byliśmy już prawie nieustannie obserwowani. A na początku lat dziewięćdziesiątych zaczęła się dziwna gorączka. Ludzie obsesyjnie zaczęli śledzić nasze prywatne życie, a mieszkanie w bloku stawało się coraz większym problemem. W końcu Kasia zmieniła szkołę na prywatną i nareszcie czuła się tam dobrze, jednak czasy były niebezpieczne dla ludzi sukcesu, więc sami odwoziliśmy ją na lekcje.

Mieliśmy Wolną Polskę, wolne media, ale też pojawili się fotografowie i dziennikarze, którzy od tamtej pory obserwowali moją codzienność. Ich obecność gruntownie zmieniła nasze życie.

Mija kilka lat i podczas koncertu w plenerze ochroniarz prowadzi mnie do toalety. Jestem w tym toi toiu i słyszę głos po drugiej stronie: – Zobacz, jakie ona ma życie. Nawet do kibla musi iść z ochroniarzem!

Obśmiałam się strasznie, choć w gruncie rzeczy to wcale nie było śmieszne.

Innym razem paparazzi zrobili mi zdjęcia, jak kupuję piwo i papier toaletowy. Portale plotkarskie zrobiły z tego newsa. Ręce opadają...


Kiedy media dowiedziały się o moim rozwodzie, zaczęła się inwazja na moje życie prywatne. Mieszkałam już w Warszawie. Któregoś wieczoru wracałam z wywiadu w TVN. Paparazzi śledzili mnie przez całą drogę i w ten sposób dowiedzieli się, gdzie mieszkam. Obfotografowali i pokazali mój dom. Zdenerwowałam się. To było niebezpieczne i dla mnie, i dla moich bliskich. Potem nieraz wystawali pod tym domem, żeby zrobić jakieś ciekawe fotki. Tylko co ciekawego mogli zobaczyć? Sama nie wiem. Musieli

się strasznie nudzić, zaglądając mi w okna i podpatrując moją codzienność. Nie powinno tak być. Jestem za tym, żeby prawo zakazywało nękania osób publicznych. Praca to praca, w niej jestem, owszem, własnością moich fanów. Ale poza nią moje życie należy tylko do mnie. I powinnam mieć prawo do prywatności. Tak jak chociażby we Francji, gdzie nie wolno wkraczać do ogródków nawet znanych osób.

Czasami jestem wściekła na to, co piszą o mnie dziennikarze-plotkarze. Godzą w mój wizerunek, ale przede wszystkim w dobro mojej rodziny. Kiedyś na przykład napisali, że tracę głos. Była to kompletna bzdura, ale dla organizatorów koncertów mógł to być sygnał, żeby nie podpisywać z Bajmem umów na kolejne występy. Niestety sądy w Polsce działają powoli i jeśli składa się pozew w takiej sprawie, trzeba się liczyć z tym, że potrwa ona kilka lat. A po tych kilku latach, gdy ludzie już zupełnie zapomną, o co chodziło, jakaś gazeta czy portal opublikują małym drukiem przeprosiny, na które nikt nie zwróci uwagi. Świat naszprycowany jest teraz tysiącami wiadomości, które zmieniają się z minuty na minutę. Co jest newsem dziś, jutro już się nie liczy. A co dopiero po kilku latach... Dlatego czytając to, co pisali o nas dziennikarze w trakcie rozwodu, robiliśmy sobie z Andrzejem żarty. To był najlepszy sposób na to, żeby nie zwariować. Na przykład mówiliśmy, że mamy prywatny dwupłatowiec, o który się kłócimy. Ale w końcu doszło do ugody i Andrzej weźmie jeden płat, a ja drugi. Plotkarskie media brały to na poważnie... Drukowały każdą bzdurę. Wyobrażacie sobie? Jak specyficznie trzeba być inteligentnym, żeby wziąć na poważnie bajki o prywatnym dwupłatowcu?

Niestety również wielu ludzi wierzy w podobne opowieści...

Mogłabym właściwie nieustannie wysyłać pozwody do sądu. Ale mi się nie chce. Szkoda życia. Chcę mieć czas i energię na tworzenie piosenek i inne ciekawe projekty. Poza tym mam do siebie dystans. Zodiakalnego Byka niełatwo dotknąć. Można mu co najwyżej zrobić ZDJĘCIE z ukrycia.



ZDJĘCIA zaczęto mi robić, jeszcze zanim wysiadłam z samochodu. Za fotoreporterami w moją stronę rzucili się dziennikarze, operatorzy kamer, no i ciekawscy. Sąd przeżywał prawdziwe oblężenie. A nie był to jakiś wielki gmach z monumentalnymi schodami i szerokimi korytarzami. Z tym tłumem napierającym na mnie czułam się wręcz klaustrofobicznie. Gdyby nie Piotrek, nie wiem, jak bym dotarła do schodów. A kiedy już na nie weszłam, z góry wylał się kolejny potok ludzi żądnych sensacji. Nawet pracownicy sądu wychodzili ze swoich pokoi, żeby sprawdzić, co się dzieje. A ja w moich z trudem wciśniętych szpilkach brnęłam ku sali rozpraw. Kaśka dzielnie za mną, więc też znalazła się na zdjęciach, które publikowano później w prasie. Z tego, co wiem, przez jakiś czas rozdawałam nawet autografy. Ale tego już zupełnie nie pamiętam. Pamiętam tylko wrażenie, że wszyscy mi współczują, bo myślą, że pod okularami mam oczy pełne łez. A ja chciałam tylko, żeby ten cyrk już się skończył. W końcu robiłam w nim za małpę.



Wysoki Sąd okazał się kobietą. Od razu poczułam ulgę. Do tego był bardzo miłym Wysokim Sądem. Przeprosiłam za spóźnienie. Usłyszałam, że nie ma sprawy. Zaczęliśmy. Najpierw sprawdzenie dokumentów, formalność, potem krótka seria pytań.

Czy próbowałam ratować swój związek?

Tak.

Czy uważam, że jest szansa na jego naprawę?

Nie.

Czy nastąpił rozpad pożycia małżeńskiego?

Tak, przecież od prawie dwóch lat byliśmy w separacji.



Promocja płyty *B3*, rok 2016.

Niby proste pytania i odpowiedzi, które znałam od dawna, a jednak serce w piersi waliło mi jak młot. Spodziewałam się, że to dopiero początek, że teraz zaczną się szczegółowe i bardzo osobiste pytania. Ale Wysoki Sąd był nie tylko kobietą, lecz także wiele rozumiejącą kobietą, a nie dziennikarzem, który marzy o tym, żeby wycisnąć ze mnie pikantne szczegóły.

Nie, na sali rozpraw nie musiałam konfrontować się z Andrzejem. Wzięłam całą sprawę na siebie, tak jak to często robią kobiety. Żeby nie komplikować sprawy, żeby nie być uzależniona od czyichś nastrojów i problemów z podejmowaniem decyzji. Mam taki charakter, że lubię mieć wszystkie sprawy pod kontrolą, załatwione do końca.



Jeszcze tylko zejść ze schodów. Dziennikarze wciąż się kłębią, fotoreporterzy oślepiają mnie raz za razem. Padają zaczepne pytania. Nie, nie zamierzam odpowiadać na żadne z nich. Tym bardziej że dopiero teraz czuję, co moim stopom zrobiły włoskie buty. Torturują mnie przy każdym kroku. W końcu dopadam samochodu. Ale przy nim też są już dziennikarze. Piotrek otwiera mi drzwi, chcę wsiadać, ale nagle słyszę:

– Pani Beato, dlaczego pani płacze?

Co za bzdura! Posłałam dziennikarzowi kpiące spojrzenie. Za to Kaśka nie wytrzymała:

– A co, rentgen w oczach pan posiada? Widzi pan łzy za czarnymi szklami okularów? A uśmiechu i ulgi pan już nie dostrzega, co?

Zatkało go.

Kaśka wsiadła w końcu do auta. Piotrek ruszył, a ja w końcu mogłam pozbyć się tych monstrów. Ściągnęłam buty, ale wciąż byłam tak spięta, że miałam ochotę tylko na jedno: kielicha czystej rozluźniającej. Ale to, niestety, musiało poczekać do wieczora.

– OK, spadamy stąd – westchnęłam z ulgą. – Jeden okres w życiu zamknęłam, otwieram drugi. Jeszcze tylko parę spraw na mieście i pojedziemy do hotelu. Piotrek, zatrzymaj się, proszę, tu, przy tej restauracji. Wyskoczę na chwilę. Muszę się spotkać z pewnym młodym i zdolnym kompozytorem. Przyjechał z Krakowa, podobno skomponował petardę, twierdzi, że nawet lepszą od *BIAŁEJ ARMII*.



BIAŁA ARMIA była inspirowana brzmieniem amerykańskiego i brytyjskiego rocka. Nasiąkaliśmy tą muzyką za każdym razem, kiedy koncertowaliśmy w Stanach. Byli wśród tych inspiracji David Bowie, którego podziwiałam za jego muzyczne i wizerunkowe metamorfozy, ale też chłopaki z Guns N' Roses, Bon Jovi, Van Halen, The Police. No i ZZ Top, super wariaci z brodami po pas, wokół których kręciły się zawsze piękne laski. I jeszcze Whitesnake z Davidem Coverdalem – przecież podczas piosenki *Is this love* niejedna dziewczyna straciła dziewictwo. Coś o tym słyszałam...

Kiedy Paweł Sot i Adam Abramek dali mi do przesłuchania nowy materiał, intuicyjnie poczułam, że to będzie bardzo ważna płyta w moim artystycznym życiu. Po raz kolejny moja intuicja mnie nie zawiodła. Zanim zaczęliśmy nagrania, mieliśmy próby w studiu Radia Lublin. To tam po raz pierwszy usłyszałam pierwsze grane na klawiszach taktę *Białej armii*, a potem przebijające się przez melodię ostre dźwięki gitary. Od razu wiedziałam, że muszę napisać tekst z bardzo mocnym przekazem. Że to nie będzie piosenka o kwiatkach i miłości, że tu trzeba w słowach pokazać energię i siłę. Więc jeszcze na próbie, wsłuchując się w grę chłopaków, zaczęłam notować:



To twoja flaga, nasz młody przyjacielu
Nie musisz kochać jej barw, o nie
To twoja armia i życie w ciągłym biegu
Nigdy nie będziesz już sam
Możesz wreszcie zachłysnąć się powietrzem
I unieść do góry jak ptak, hej-hej
Możesz wreszcie zabłądzić w wielkim mieście
Urodziłeś się, by służyć nam

Właśnie nadszedł ten czas
Woh, to jest właśnie ten czas.

”



Cała ja, na scenie w jednym z klubów, początek lat dziewięćdziesiątych.

Postanowiliśmy wspólnie, że *Białą armię* nagramy w Warszawie, w radiowym Studiu S4, a producentem będzie Rafał Paczkowski. To była bardzo dobra decyzja. Rafał już wtedy był

najlepszym fachowcem w Polsce, odpowiadającym m.in. za brzmienie płyt Grzegorza Ciechowskiego i Lady Pank. Ale przede wszystkim świetnie wyczuł charakter naszych nowych piosenek.

Tylko z nagraniem jednej z nich miałam problem. *Miłość i ja*. Pamiętacie?

”

Ona i ja
Siostry dwie
Bieguny dwa
Powiedz mi
Która z nas
Dziś więcej znaczy.
Jej twarz
Moja twarz
Kolor ust
Potęga słów
Jak to jest
Czuję ból
Gdy ona płacze
Kiedy płacze...

”

Byłam przekonana, że i tekst, i interpretacja, którą sobie wymyśliłam, będą wyjątkowe. Tak się jednak nie stało. Stałam przed mikrofonem. Śpiewam, ale widzę, że panowie za szybą wcale nie są zadowoleni. Więc od nowa. I jeszcze raz. I jeszcze. Stałam przed tym mikrofonem kilka godzin, ale koledzy wciąż byli rozczarowani, a ja wściekła, bo Andrzej stwierdził, że tekst jest infantylny, że nie pasuje do muzyki, że to nie moja tonacja...

Pokłóciliśmy się. Przerwałam nagranie. Wybiegłam ze studia ze łzami w oczach.

Nie wiedziałam, gdzie popełniłam błąd. Nie spałam całą noc, analizując krok po kroku każde słowo, każdy dźwięk. Na drugi dzień, zmęczona bezsennością, ale przekonana do swoich racji, znów stanęłam przed mikrofonem. Zaśpiewałam raz, ale tak, że nie były potrzebne żadne poprawki.



Jedną z moim ulubionych piosenek z *Białej armii* jest *U stóp szklanych gór*. To opowieść o poszukiwaniu swojego miejsca na ziemi.



Sesja do płyty *Nagie skały*, rok 1988.

”

To już nie te drzwi
To już nie ten dom
Wciąż szukamy swych miejsc
Daleko stąd
Gdzie noc gubi mrok

Dzień traci blask
Tam, gdzie człowiek już chce
Tylko prawdę znać
Wiem, że zdrada to grzech
Wiem, że okno to zmierzch
Wiem, że usta to krzyk
Znam to tak jak i ty
Wiem, że jesteś u stóp
Swych szklanych gór
Aby wspiąć się i...
Opadać w dół.



Tekst tej piosenki rodził się w mojej głowie w trakcie naszych amerykańskich podróży. Był emocjonalnym zapisem moich spotkań z Polakami, z ich bolesną tęsknotą za krajem, rodziną, przyjaciółmi. Niektórzy z nich z powodów politycznych musieli opuszczać ojczyznę, choć wcale tego nie chcieli. Inni wyjeżdżali, żeby ich rodzinom w kraju żyło się lepiej. Płacili za to wysoką cenę. Te spotkania zostawiały ślad tak głęboki, że po prostu musiał zostać przelany na papier.

Jest w *U stóp szklanych gór* również taka fraza:



Może właśnie tego chce od ciebie Bóg
Abyś szukał do Niego ciągle nowych dróg.



Nie lubię mówić o duchowości. Dlaczego? Bo w naszym kraju opisuje się ją za pomocą wyświechtanych fraz, zdań, które są

bezmyślnie i tak często powtarzane, że znaczą niewiele lub nic. Poza tym duchowość to przede wszystkim doświadczenie, głęboko intymne doświadczenie spotkania z czymś, co nas przekracza i wcale nie chce dać się zamknąć w słowach. Dlatego bardzo ostrożnie w moich tekstach mówię o sile, która nas prowadzi, pomaga coś zmieniać, która nam podpowiada, co mamy zrobić, kiedy czujemy się bezradni. Sama wiele razy doświadczyłam jej obecności. Ta siła istnieje i wpływa na moje życie, wskazuje drogę. Czuję ją również wtedy, gdy jestem na scenie. Ujawnia się wśród setek, tysięcy ludzi, dotąd osobnych, a teraz będących jednością dzięki muzyce. W tłumie są różni ludzie, wyznawcy różnych religii i ateści. Ale łączymy ich – ja i muzyka. Czuję emocje ich wszystkich, wzruszenie, uniesienie, miłość. Po koncercie, który trwa dwie, trzy godziny, wychodzą skupieni, zasłuchani, zamyśleni, w lepszym kontakcie ze światem i samymi sobą. To jest coś, czego nie da się objaśnić. To jest prawdziwa magia.

Działała ona również w najtrudniejszych dla mnie chwilach, kiedy moje życie, mój związek znalazły się w głębokim kryzysie. Mówiłam wtedy swojej publiczności: „Było mi dzisiaj naprawdę bardzo źle. Ale teraz, dzięki wam, to się odmieniło. Czuję się lepiej, znacznie lepiej. Dziękuję”

Pamiętam dzień, kiedy umarł mój tata. Mogłam odwołać koncert. Ale nie chciałam tego. Czułam, że chcę śpiewać. Śpiewać dla niego. Chociaż było mi potwornie trudno, wiedziałam, że dam radę!

„Tę piosenkę dedykuję mojemu tacie” – powiedziałam do mikrofonu i zaczęłam śpiewać *Dwa serca*. Oczy mi się szklily, przed sobą widziałam tylko mgłę, ale poczułam w sobie spokój. To było coś niewyobrażalnego.

A wracając do duchowości i wiary: niech ludzie wierzą tak, jak im podpowiadają dusza i serce. To indywidualny, intymny wybór każdego z nas. Najważniejsze, aby czuć tę wielką siłę. Za to lepiej nie przesadzać z demonstrowaniem swojej religijności. I nie narzucać jej innym.

Tak, wierzę w siłę, która nas napędza i prowadzi. Niech będzie przy mnie, przy Was, zawsze.



Podczas pracy nad *Białą armią* odszedł z zespołu gitarzysta Grzegorz Płecha, który współpracował z nami przez kilka lat. Był wspaniałym kolegą i bardzo charakterystyczną postacią. Przeżyliśmy wiele cudownych koncertów i podróży, chociaż jego postawione na żel włosy czasami wpędzały go w kłopoty. Zwłaszcza kiedy przekraczaliśmy komunistyczne granice. Na zdjęciu w paszporcie Grzegorz miał długie, grzecznie uczesane włosy, natomiast kiedy jechał na koncerty, jego fryzura wyglądała zupełnie inaczej. Na głowie wyrastał mu las. Oczywiście pogranicznicy nie dość, że uważali, że nie jest tym, za kogo się podaje, to jeszcze traktowali go jako osobnika mocno podejrzanego. W tej sytuacji Grzesiek miał dwa wyjścia: albo zostać w kraju i pomachać nam na drogę, albo fryzurę upodobnić do tej ze zdjęcia w paszporcie. Grześ wybierał oczywiście tę drugą opcję. Udawał się do toalety, mył włosy i przylizywał, żeby nikt się już nie mógł do niego przyczepić. Wyglądał przezabawnie, ale tylko przez chwilę, bo zaraz po przejechaniu granicy z pomocą fabrycznych ilości żelu wracał do koncertowego image'u.

Tak, szkoda nam było rozstawać się z Grześkiem, ale przecież zespół nie mógł pozostać bez gitarzysty. Dlatego Adam i Paweł zaproponowali na zastępstwo Marka Radulego. Zgodziliśmy się.

Trochę to trwało, zanim Marek zgrał się z naszym producentem, ale w końcu efekty ich współpracy okazały się znakomite. Rano Studio S4 było zajęte, więc my nagrywaliśmy od 17 do 22. Kiedy kończyliśmy, niektórzy muzycy ze zmęczenia kładli się na podłodze, prawie zasypiali. Ale praca była fascynująca. Czuliśmy, że rodzi się muzyczna historia.



Biała armia ukazała się w 1990 roku. Najpierw jako kasetka, potem winyl i wreszcie płyta CD, pierwsza w naszej historii. Natychmiast pokryła się złotem. Okładka była zupełnie inna niż poprzednich albumów. Nie było Beaty, nie było zespołu, tylko czarne tło i napis Bajm. To miał być sygnał: zmieniliśmy się, ja też jako wokalistka jestem inna.

Poza tym zmieniało się wszystko dookoła nas. Wchodziliśmy w inną Polskę – był 1990 rok, kilka miesięcy wcześniej Joanna Szczepkowska ogłosiła w głównym wydaniu Dziennika Telewizyjnego, że oto skończył się komunizm. Oglądałam ten Dziennik i kiedy usłyszałam te słowa, serce zaczęło mi przyspieszać. Myślałam: skoro takie rzeczy mówią już nawet w telewizji, to naprawdę musi być koniec! Na moich oczach dzieje się historia! A potem? To był bardzo szybki proces. Jeszcze przez moment w sklepach nie było prawie nic, a potem, nagle, na półkach zaczęły pojawiać się różne kolorowe produkty! W sklepiku niedaleko naszego bloku mogłam w końcu kupić prawdziwy jogurt, prawdziwą czekoladę. A zaraz potem otworzył się pierwszy prywatny sklep z dobrymi kosmetykami. Pachnące szampony, odżywki do włosów, żele, kremy do twarzy, różnokolorowe lakiery do paznokci. To było coś pięknego! Ale najważniejsze zmiany działały się w ludziach. Kiedy z nimi

rozmawiałam, czułam, że są jakby lżejsi, jakby spadły im z serc ciężkie kamienie, a z głów wiatr wolności przewiał im złe myśli. Chociaż szybko pojawili się też malkontenci, utyskujący, że za komuny to dopiero było im dobrze. Nie mogłam tego słuchać.

Wiele też zmieniło się, jeśli chodzi o dostępność muzyki. Również Bajmu. Kasety z naszymi piosenkami można było kupić na bazarach, ulicznych stoiskach, właściwie na każdym rogu. Oczywiście kopiowano je i sprzedawano nielegalnie. ZAIKS nie radził sobie z tą plagą piractwa. Na pewno straciliśmy w ten sposób mnóstwo pieniędzy. Ale co mogliśmy z tym zrobić? Andrzej czasami groził ulicznym sprzedawcom, ale oni wcale się go nie bali. Zresztą, nie ma co marudzić, wolność zawsze ma swoją cenę. Ta liczona w złotówkach nie była najwyższa. Warto ją było płacić. Tym bardziej że lata dziewięćdziesiąte zaczęliśmy z przytupem, dla nas okazał się to dobry czas. Mieliśmy świetny skład, świetną płytę, przeboje, które – tak jak *Białą armię* – udawało się skutecznie lansować, nawet jeśli nie powstawały do nich teledyski. Jednak wielu artystów, którzy w latach osiemdziesiątych stali się gwiazdami, przeżywali w tym czasie moment próby. Trzeba było dostosować się do nowych, kapitalistycznych realiów, do nowych oczekiwań publiczności, które zmieniały się szybko, gdy tylko opadła żelazna kurtyna. Nie wszystkim się udało...

Nam pomogła muzyka z *Białej armii*, a także to, że Andrzej okazał się doskonałym menedżerem. Choć niekoniecznie lubianym, bo negocjował zawsze ostro i wymagał od innych nie mniej niż od siebie. I po prostu dbał o zespół. Wszystko, pod każdym względem musiało być dopięte na ostatni guzik: aparatura, światło, dźwięk. Niektórzy organizatorzy dopiero

po koncercie doceniali te wymagania. Również dzięki staraniom Andrzeja widzowie mogli oglądać show na najwyższym poziomie.

A konkurencja? Tak, wkrótce pojawiło się w Polsce nowe pokolenie wokalistek: Kasia Nosowska, Kasia Kowalska, potem Kaya chociażby. Ale nie miałam wobec nich kompleksów. Nawet lubię rywalizację, ale nie czułam zawiści ani nie miałam szczególnego ciśnienia, żeby się z nimi ścigać. Zresztą do dziś kumpluję się z Kasią Nosowską. Poznałyśmy się podczas nagrywania programów, w których wybierano piosenkę miesiąca. Czasami ja zwyciężałam, czasami dopiero zaczynający w tym czasie karierę Hey, Robert Gawliński z Wilkami, Varius Manx. Miejsca wystarczyło dla wszystkich.



Same początki transformacji w Polsce oglądaliśmy z dystansu, bo znowu dostaliśmy zaproszenie na koncerty w Stanach Zjednoczonych. Tym razem mieliśmy wyjechać na całe pół roku. Trochę to nam skomplikowało życie rodzinne. Kasia chodziła już do szkoły. Przecież jej nie zostawimy! Dlatego z Andrzejem i nauczycielami podjęliśmy decyzję, że sami będziemy uczyć Kaśkę. Lecieliśmy więc do Ameryki z podręcznikami i zeszytami, a także niewielkim, prawdę mówiąc, doświadczeniem pedagogicznym. Muzyka? Spoko. Ale matma? Do tego pierwsza część naszego pobytu to trasa po amerykańskich miastach. Oprócz poniedziałków codziennie w innym hotelu, po próbach i koncertach kompletnie wyszani z energii. Jak tu w takim stanie prowadzić lekcje?

Całe szczęście druga część naszego pobytu nie wymagała od nas ciągłych podróży. Występowaliśmy w Cricket Club, więc miałam więcej czasu, żeby się wyspać i spokojnie zająć edukacją córki.

W Ameryce świętowałam również swoje trzydzieste urodziny. Pamiętam ten dzień: kiedy rano poszłam do łazienki i spojrzałam w lustro, rozbeczałam się. „Ty stara babo – powiedziałałam sobie. – Zobacz, masz już zmarszczki, wszystko jest do dupy!” Krzyknęłam z tej łazienki do Andrzeja, żeby absolutnie nic nie szykował, żadnych imprez, bo nie mam zamiaru celebrować tak żałosnego święta. Nie chcę i już! Potem znów beczałam jak bóbr, że to już koniec, że się starzeję, że będzie coraz gorzej. Dziś śmieję się z tego, lecz wtedy naprawdę czułam, że już wszystko za mną. Trwało to jednak tylko kilka godzin...



Moje 30. urodziny i impreza-niespodzianka u znajomych w Nowym Jorku. Po lewej Alan Baster, ówczesny perkusista Bajmu.

Andrzej przekonał mnie, że w takim dniu nie będziemy przecież siedzieć w domu, i zaprosił do restauracji. Dobra, niech będzie.

Spytałam, czy mam się przebrać.

– No jak? Chcesz do restauracji iść w byle czym? – odpowiedział, więc ubrałam się fajnie, bo w Stanach zawsze kupowałam mnóstwo ciuchów: butów, pasków, spódniczek, bluzeczek. Miałam swoje ulubione sklepy, ale nie żadne ekstradrogie butikiki. Na takie nie było mnie stać. Więc włożyłam srebrną minióweczkę, do tego srebrną bluzkę i oczywiście zajebisty but. Zrobiłam sobie włosy, make up i byłam gotowa. Tylko że Andrzej wcale mnie nie zawiózł do restauracji. Dopiero w ostatniej chwili się zorientowałam, że jedziemy do domu naszych serdecznych przyjaciół, Eli i Zbyszka Kołaczków. To było prawdziwe urodzinowe przyjęcie-niespodzianka, jak z amerykańskiego filmu! Otwieram drzwi, a tam czekają znajomi i przyjaciele! Ryknęli: *Happy Birthday to you... Happy Birthday...* Były balony, tort, świece. Ela przygotowała pyszne jedzenie. Po chwili zupełnie zapomniałam, że to moje urodziny i ile skończyłam lat.



W tym czasie Sting wymyślił wyjątkowy projekt. Był to czas szczególnego zainteresowania tym, co wcześniej skrywało się przed Zachodem za żelazną kurtyną. Lider The Police postanowił więc zorganizować trasę po amerykańskich college'ach z artystami z naszej części Europy. Miał już wybrane zespoły z Węgier i z NRD, z Polski chciał mnie i Lady Pank. Decyzja zapadła po tym, jak dwóch ludzi z ekipy Stinga przyleciało do Chicago, żeby obejrzeć koncert Bajmu. Byli zachwyceni, więc rozpoczęły się oficjalne rozmowy. Niestety, wciąż z Pagartem. Ani ja, ani Andrzej nic nie wiedzieliśmy o ich przebiegu.

Tymczasem na moją cześć w polskim konsulacie w Chicago wydano bankiet. W jego trakcie podchodzili do mnie różni

amerykańscy goście i pytali:

– Znasz Medana?

– Medana? Nie. A kto to?

Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że chodzi im o Madonnę, która w tym czasie była na absolutnym szczycie popularności.

Bankiet skończył się tak, że pani z Pagartu upiła się tak, że moi muzycy musieli ją wynosić z imprezy. A potem się dowiedziałam, że ze współpracy ze Stingiem nic nie będzie. Dlaczego? Nie wiadomo. Ale przecież jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Tylko szkoda, że nikt mnie wtedy nie zapytał o zdanie. A przecież zaśpiewałabym ze Stingiem za darmo!




To był czas, gdy moi polonijni przyjaciele robili wszystko, żeby rozkręcić moją amerykańską karierę. Zakochał się we mnie na przykład pewien malutki Włoch, który zaczął mnie umawiać z różnymi menedżerami. Najbardziej uwzięła się na mnie jednak pewna dziewczyna, fantastyczna laska, która była masażystką gwiazd. Masowała m.in. menedżera Guns N'Roses i ciągle mu nawijała: ty musisz to zobaczyć, ty musisz przyjść na ich koncert, posłuchać, jak ona fenomenalnie śpiewa. No to facet postanowił nas sprawdzić. W rolę menedżera Bajmu wcielił się nasz przyjaciel Zbyszek Kołaczek. Ustalił termin i już menago Gunsów miał się zjawić na naszym koncercie, kiedy doszło do tragedii. W wypadku samochodowym zginął jego syn. Wszystko przepadło.

Ale nie myślcie, że jest we mnie z tego powodu jakiś żal. Nie, to po prostu kolejna przygoda i dziś mogę o niej opowiadać z uśmiechem. Nie udało się? Trudno. Udało się tyle innych rzeczy.



Po powrocie do Polski podjęliśmy z Andrzejem ważną decyzję: szukamy domu. To był najwyższy czas na przeprowadzkę. Piosenki z *Białej armii* stały się kultowymi, a my po raz drugi w swojej karierze dotknęliśmy sufitu muzycznego sukcesu. Miało to również przykre konsekwencje: nie sposób było mieszkać w bloku, gdy na klatce koczowali fani, a adoratorzy pukali do drzwi, nawet w środku nocy. To w tym czasie poznałam też nowe słowo: PAPARAZZI.



– PAPARAZZI. Cały czas robią ci zdjęcia.

– Beata, wciąż za nami jadą – rzucił Piotrek, patrząc we wsteczne lustro.

– Kobieto... – westchnęła Kaśka. – Ty to masz przesrane. Jak wychodzisz do ludzi, to musisz być zawsze odstawiona, umalowana, w nie byle jakich ciuchach. W klapkach? Nie! W koczku? Nie ma mowy! I jeszcze zakupy. Nie daj Boże kupisz coś, o czym pismaki będą mieli pisać. Ja pierdołę! Jak ty to znosisz?

– Co mam ci odpowiedzieć? Czasami mam dość i chcę się tylko ukryć.

– To co robimy? – przerwał Piotrek. – Jedziemy do hotelu?

– Nie ma mowy – odrzekłam. – Paparazzi pojedą za nami i się zorientują, gdzie się zatrzymałam.

Nie zdążyłam nawet pomyśleć, co mam robić, kiedy odezwała się Kaśka.

– Beata, kochana moja, nie mogę dzisiaj zostać na porozwodowej imprezie.

Nie spodziewałam się tego.

– O nieeee, dlaczego? Coś się stało?

– Moja mama trafiła do szpitala – odpowiedziała Kaśka, a mnie zamarło serce.

– Tak mi przykro... Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Nie, kochanie. Muszę jednak wrócić do Warszawy. Zaraz skoczę po bilet.

– Zaczekaj – przerwałam jej. Coś mi przyszło do głowy. – Skoro i tak nie możemy teraz jechać do hotelu, to pojedziemy z Kaśką na dworzec. Może po drodze zgubimy paparuchów.

– Beata, spójrz dyskretnie za siebie – powiedział Piotrek. – Widzisz? To oni, w tej srebrnej hondzie.

Piotrek skręcił ostro w lewo, ale samochód wciąż trzymał się za nami.

– Dobra dziewczyny, mam pewien pomysł – rzucił przez zaciśnięte zęby. – Podjadę blisko wejścia na dworzec. Kasiu, ty idź po bilet, a ja zadzwonię do znajomego.

– Jakiego znajomego? – spytałam.

– Beti... – odrzekł nieco zmieszany Piotrek. – Pamiętasz mojego kolegę z drogówki? Tego, któremu dałaś autograf po koncercie w Lublinie.

– Nie za bardzo, ale do brzegu, Piotrek.

– Zadzwonię do niego, a on zwinie hondę.

Zdębiałam na chwilę, a potem uśmiechnęłam się szeroko.

– To jest plan, mega, dzwoń.



– Będą za pięć minut – oznajmił z dumą Piotrek, wkładając komórkę do kieszeni.

– No widzisz, mój drogi, to jest właśnie moje miasto! Nie jestem gwiazdą z telewizji, z radia, niedostępną, daleką. Jestem swoja, dlatego zawsze mogę tu liczyć na pomoc. I zawsze będę się tu czuła jak w domu.



Po dziesięciu minutach Piotrek odebrał telefon.

– Halo?... Czyli mamy ich z głowy?... Dziękuję w imieniu Beaty. Zaraz jej wszystko przekażę.

Piotrek rozłączył się i natychmiast zaczął się śmiać.

– Kolega podjechał pod hondę i poprosił o dokumenty – zaczął swoją opowieść. – A na to kierowca do niego: „Wie pan, my tu za Kozidrak jedziemy od samej Warszawy, bo ona ma dzisiaj rozwód”. „No co pan powie” – odparł policjant, a potem powiedział, że jakoś go to w ogóle nie interesuje. „Za to pana, panie kierowco, muszę ukarać mandatem w wysokości pięciuset złotych, ponieważ stoi pan na miejscu, gdzie obowiązuje zakaz zatrzymywania”. Nie dość, że ich pogonił, to jeszcze musieli bulić.

Otworzyły się drzwi.

– Już jestem – powiedziała Kaśka, wsiadając do auta. – Pociąg mam za trzy godziny.

– Super, kochana. To mamy trochę czasu. Opowiem ci, co tu się przed chwilą odbyło. Ale teraz jedźmy do HOTELU.



HOTELE szybko stały się istotną częścią mojego życia. Moim drugim domem. Kiedy wchodzę z walizkami do hotelowego pokoju, staram się zawsze tak go zagospodarować, żebym czuła się w nim komfortowo.

Nie zawsze było to możliwe. Na pierwsze koncerty Bajmu jeździliśmy pociągami i autobusami, potem czerwonym fiatem 126p, którego dostaliśmy w prezencie ślubnym od rodziców Andrzeja. Kilka razy spaliśmy w jakichś bursach szkolnych, potem w jedno-, dwu-, trzygwiazdkowych hotelach. Warunki noclegowe jak to w komunizmie, siermiężne. W telewizji dwa programy, nie było internetu, komórek... Żeby nie zwariować z nadmiaru czasu, robiliśmy sobie dowcipy. Najczęściej ich obiektem był mój brat Jarek. Zawsze, ale to zawsze dawał się wkręcić! Najczęściej wymyślał je Andrzej.

Kiedyś wylądowaliśmy w Grand Hotelu w Łodzi i gdy tylko weszliśmy z Andrzejem do naszego pokoju, zadzwonił telefon. Andrzej był pewien, że to Jarek dzwoni, i miał rację. Podniósł słuchawkę i zmienionym głosem powiedział: – Halo? Tu recepcja Grand Hotelu, czym mogę służyć?

Jarka замуrowało. Przeprosił i odłożył słuchawkę.

Po chwili Andrzej wybrał się do pokoju naszych muzyków. I znów zadzwonił telefon. Oczywiście to był Jarek. Andrzej odebrał i znów niskim głosem spytał: – Halo? Tu recepcja Grand Hotelu, czym mogę służyć?



Z Andrzejem i Jarkiem, rok 1981.

Jarek był coraz bardziej skołowany.

Andrzej wrócił do naszego pokoju i oczywiście po chwili odezwał się dzwonek telefonu: – Halo? Tu recepcja Grand Hotelu...

Tym razem Jarek nie wytrzymał, wkurzony zaczął opieprzać „repcjonistę”, a Andrzej wcale nie pozostał mu dłużny, chociaż musiał mocno się hamować, żeby nie eksplodować śmiechem.

Potem sprawa trochę wymknęła się spod kontroli, bo Jarek zadzwonił do jakiegoś swojego wysoko postawionego znajomego z Łodzi i zażyczył sobie, żeby tamten zwolnił recepcjonistę z Grandu. Następnego dnia rano ów znajomy pojawił się w hotelu i zaczął opieprzać Bogu ducha winnego recepcjonistę. Ale my już byliśmy na dole. Udało się nam uratować biedaka, ale kiedy Jarek się zorientował, że to kolejna wkrętka, wysyczał do Andrzeja: – Pietras, ja cię kiedyś zabiję! To już ostatni raz! Już nigdy mnie nie zrobisz! Nie ma takiej siły!

A potem znowu go wkręciliśmy.



W latach pięćdziesiątych organizatorzy koncertów zaczęli zwracać uwagę, gdzie nas kwaterują. Przełomem była... plotka. Podobno wyjechałam z festiwalu opolskiego, bo warunki hotelowe nie spełniały moich oczekiwań. Totalna bzdura! To był jeden, jedyny raz, kiedy kłopoty z głosem sprawiły, że musiałam zrobić sobie przerwę na leczenie, a festiwal w Opolu oglądałam w telewizji. Owszem, jakiś czas przed festiwalem grałam gdzieś koncert i próbowano mnie zakwaterować w jakimś obskurnym hotelu, więc zagroziłam, że wyjeżdżam, ale na groźbach się skończyło. Ale kto by tam przejmował się faktami.

Plotka zrobiła swoje: od tamtej pory organizatorzy starali się mi zapewnić jak najlepsze warunki. I dobrze, bo sukces, jaki odniosła *Biała armia*, zaowocował dużą liczbą koncertów. Ale nie musieliśmy już grać po dwa razy dziennie. Inna była jakość występów, inne oczekiwania, ale też oczywiście inne pieniądze.



W tym czasie zaczęła się też zupełnie dla nas nowa przygoda: stadiony. Najważniejszym z takich wielkich, stadionowych koncertów był dla mnie ten w Lublinie. Cały dochód z wydarzenia był przeznaczony na zakup echokardiografu dla dzieci z wadami serca w Dziecięcym Szpitalu Klinicznym przy ul. Chodźki. Wcześniej dzieci z chorymi serduszkami musiały jeździć na badania do innych, czasami odległych miast.

To był olbrzymi koncert, pierwszy tak duży w „nowej” Polsce – zgromadziło się ponad trzydzieści tysięcy widzów! Wystąpiliśmy my, Krzysiek Cugowski z Budką Suflera, Robert Gawliński i Wilki, Tadeusz Woźniak, Anja Orthodox... Zebraliśmy tyle pieniędzy, że udało się sfinansować w całości zakup tego echokardiografu!

Potem zostaliśmy zaproszeni do szpitala na spotkanie z małymi pacjentami. Za każdym razem, kiedy mam się spotkać z chorymi dziećmi, jest to dla mnie wielkie, choć też trudne przeżycie. Jestem przecież matką, łatwo jest mi wczuć się w emocje innych matek. Tych, których dzieci walczą o życie. Ale nie unikam takich konfrontacji.

Pewnego razu jedna z fundacji spełniających dziecięce marzenia poprosiła mnie, żebym spotkała się z dziewczynką chorą na raka. To spotkanie było jej marzeniem. Nie wahałam się ani chwili, ale musiałam się przygotować psychicznie na ten dzień. Nie chciałam się rozpaść na kawałki, to na pewno nie pomogłoby dziecku zapomnieć o chorobie. Bardzo się starałam...

Dziewczynka pochodziła ze Śląska, ale całe szczęście nasza trasa zmierzała w tamtą stronę, więc mogliśmy się spotkać przed koncertem. Byli też jej mama, dziadkowie. Chciałam ją podnieść na duchu, rozweselić. Ogromne wyzwanie, ale udało się. Dobrze nam się rozmawiało, na bardzo różne, niekoniecznie poważne tematy. To spotkanie zostało w moim sercu...

Po miesiącu, tuż przed koncertem, dowiedziałam się, że dziewczynka umarła. Kompletnie się rozkleiłam, byłam roztrzęsiona, płakałam... Andrzej krzychał, że nie trzeba mi było o tym mówić przed występem, że to nieprofesjonalne. Ale mnie było wszystko jedno.

Dwa lata temu z całym zespołem pojechaliśmy do Wrocławia, żeby spotkać się z pacjentami Przylądka Nadziei. Zaprosiła nas jego założycielka, świetna onkolożka dziecięca, senatorka, prof. Alicja Chybicka. Było fantastycznie! Co odważniejsze dzieci siadały nam na kolanach, dotykały instrumentów. Mieliśmy gitary, przeszkadzajki, więc zaczęły się wspólne śpiewy. Na moment wszyscy zapomnieli o problemach, były tylko radość i muzyka. Ale gdzieś w tyle głowy wciąż dręczyła mnie myśl, że to strasznie niesprawiedliwe, kiedy choroba dotyka dzieci...



Nie wiem, czy to widok dzieci w szpitalu po naszym wielkim, stadionowym koncercie, czy też tęsknota za rodziną, za tym, by było jej więcej wokół mnie, sprawiły, że zaczęłam poważnie myśleć o drugim dziecku. A nie były to wcale łatwe myśli. Mój pierwszy poród był bardzo trudny. Długo w ogóle nikt nie wiedział, że jestem w ciąży. Cały czas wyglądałam szczupło, nikt, nawet ja sama, nie miał pojęcia, co za cud dzieje się w moim wnętrzu. Potem, kiedy już wiedziałam, nie przytyłam wiele. Urósł mi tylko brzuch, wyglądał jak piłeczka, ale było już jasne, że nie będzie mi łatwo urodzić. Przez ostatnie miesiące ciąży dostawałam witaminę A w zastrzykach, żeby się wzmocnić. Ale niewiele to dało. Poród był masakryczny, trwał wiele godzin. Patrzyłam na moje siniejące ręce i myślałam „To koniec, zaraz umrę”. Ale

bardzo nie chciałam umierać, miałam przecież tylko dwadzieścia jeden lat.



Koncert charytatywny na stadionie Lublinianki, Lublin, rok 1992.

Finał okazał się szczęśliwy, ale ten pierwszy, traumatyczny poród sprawił, że choć bardzo pragnęłam kolejnego dziecka, długo w ogóle nie chciałam słyszeć o kolejnej ciąży. Bałam się, potwornie bałam się bólu, bałam się ryzyka. Aż kiedyś przyśniło mi się, że siedzimy z Andrzejem przy wigilijnym stole i jest nas tylko trójka: ja, Kasia i on. Po przebudzeniu rozpłakałam się. Jak to: Kasia będzie sama, bez siostry czy brata?



Rodzeństwo miało dla mnie zawsze ogromne znaczenie. Nie wyobrażam sobie dzieciństwa bez siostry i brata. Tak, często darliśmy koty, złościśmy się na siebie, ale i tak łączyła nas nieskończona miłość. Kiedy ktoś mi dokuczał, coś mi groziło, brat zawsze stawał w mojej obronie. A moja piękna siostra otoczona wianuszkami adoratorów? Pewnie, że jej zazdrościłam, ale była dla mnie pierwszym wzorem kobiecości. Była też pierwszą kobietą, z którą mogłam porozmawiać o czysto kobiecych i damsko-męskich sprawach. Z mamą o tym nie rozmawiałam.



Byłam najmłodsza, więc i brat, i siostra wołali na mnie Mała. Do dziś siostra tak do mnie mówi. Często słyszę: co ty tam, Mała, wiesz! No bo przecież starsza siostra musi wszystko wiedzieć, wszystko rozumieć lepiej. Pogodziłam się z tym. Zresztą dzięki temu wciąż mogę się czuć jak nastolatka.

Brat, kiedy jeszcze żył, często dzwonił do mnie. Czasami tylko po to, żeby powiedzieć: – Mała, słuchaj, słyszałem świetny dowcip... A potem zaczynał się śmiać, a ja czekałam i czekałam, kiedy wreszcie opowie mi ten żart.

Bardzo brakuje mi Jarka.

No więc pamiętając również o moim bracie i mojej siostrze, o ich roli w moim życiu, powiedziałam do Andrzeja: „No jak to, Kasia ma zostać bez rodzeństwa?”

Andrzej przyznał mi rację, więc z wielką chęcią zaczęliśmy starać się o drugie dziecko.



Seksualna wolność była niezmiernie przyjemna, ale mijały miesiące, a ja wciąż nie mogłam zająć w ciążę. Myślałam, że już nic z tego nie będzie. W końcu przyszły wakacje i pojechaliśmy z Andrzejem i Kasią autem do Włoch. Zabraliśmy przyczepę i zatrzymaliśmy się na campingu niedaleko Wenecji. Było cudownie. Przepiękne restauracje, baseny, plaża, piękne widoki... Robiliśmy sobie też grilla, piliśmy pyszne włoskie wino. Przestałam myśleć o problemach. No i stało się!

Jeszcze nie wiedziałam, że jestem w ciąży, kiedy tuż po powrocie z wakacji dotarła do nas zła wiadomość. Mój wspaniały teść, człowiek, na którego zawsze mogliśmy liczyć, jest poważnie chory na serce. Trafił do szpitala, od razu na oddział intensywnej terapii.

W październiku 1992 roku wracaliśmy z koncertu ze Szczecina. Zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszałam głos: – Tata nie żyje.

Andrzej był załamany. Ojciec zawsze był dla niego wzorem. Zresztą dla mnie również. Wiele razy służył nam swoją mądrością i doświadczeniem. Długo nie mogliśmy dojść do siebie po tej stracie.



Wkrótce potem Adam Abramek i Paweł Sot pokazali nam nowy materiał na płytę. Niestety ani mi, ani Andrzejowi nie przypadł do gustu.

Po siedmiu latach współpracy rozstaliśmy się z chłopakami, chociaż wcale nie ostatecznie, o czym jeszcze opowiem.

Byłam zdesperowana, bez pomysłu na nowy album, z emocjami rozchwianymi poczuciem straty i nadzieją – bo przecież byłam, choć wciąż o tym nie wiedziałam, w upragnionej ciąży. I wtedy o czymś sobie przypomniałam.

Jakiś czas wcześniej wpadł do mnie mój brat, Jarek. Wręczył mi kasetę.

– Przesłuchaj ją, Mała – powiedział. – Jest tu parę fajnych ballad. Może ci się spodobają.

Spodobały mi się, i to jak! To było wręcz olśnienie. Natychmiast pojawiały się w mojej głowie pomysły, jak powinnam je zaśpiewać. Doskonale też wkomponowały się w mój ówczesny nastrój i potrzebę, by po rockowym albumie nagrać znacznie bardziej stonowaną, refleksyjną płytę. Tak już ze mną jest: czasami mam potrzebę coś wykrzyknąć, a potem zanurzyć się głębiej w swoim wnętrzu, myślach, duszy. Tak, moje rockowe piosenki są bardziej „z ciała”, ballady płyną właśnie „z duszy”.

Puściłam Andrzejowi te piosenki Jarka. On też uznał, że to dobry materiał, postanowiliśmy coś z nim zrobić. Marek Raduli zaproponował, żeby aranżacją nowej płyty zajął się świetny klawiszowiec i kompozytor, grający na co dzień w Skaldach, Grzegorz Górkiewicz. A to oznaczało, że sporo czasu w najbliższej przyszłości spędzimy w górach.

Tak, anegdotycznie to brzmi, ale Grześ Górkiewicz miał dom w górach i to w nim zaczęliśmy pracować nad materiałem, który znalazł się na nowym albumie. Myślicie, że inspirowały mnie otwarte przestrzenie, górskie panoramy, czyste powietrze? One też, ale czasami piękno nie wystarczy.

Płomień z nieba – tak nazywała się piosenka tytułowa na tej nowej płycie. Była ona też esencją tego, co w tamtym czasie myślałam i czułam. Nigdy wcześniej nie straciłam nikogo bliskiego, więc po śmierci taty Andrzeja w mojej głowie kłębiły się myśli o sensie naszego życia, o umieraniu, nadziei, wierze. Musiałam znaleźć dla nich ujście. Jednym z nich okazała się ta ballada.



Rudy płomień, rozpałił się znów
Wracam z nieba, mam ziemię u stóp
Co tam sława i pieniądze
Ważne, że znów pragnę i błędzę

Szukam ciebie, gdzieś musisz tu być
Twoje ciało nauczy mnie żyć
Kto połączy nas w tej przestrzeni
Tak by czern znów była przy bieli
Pozwól mi być, być tak z tobą
Jak niebo z ziemią, płomień z wodą
Chcę nauczyć się twojej wiary
Wierzyć, że już nikt mnie nie zrani
Prowadź mnie więc do grzesznych miejsc
Z otchłani na brzeg
Prowadź mnie więc do grzesznych miejsc
Snem białym jak śnieg
Prowadź mnie więc do grzesznych miejsc
Z otchłani na brzeg
Prowadź mnie więc do grzesznych miejsc
Snem białym jak śnieg
Gdzie wiecznie trwa mrok, gdzie rodzi się zło
Chcę widzieć to
Prowadź mnie więc do grzesznych miejsc
Z otchłani na brzeg
Prowadź mnie więc do grzesznych miejsc
Snem białym jak śnieg
Prowadź mnie więc do grzesznych miejsc
Snem białym jak śnieg
Prowadź mnie więc do grzesznych miejsc
Z otchłani na brzeg...



Chciałam, by ta piękna ballada zabrzmiała wyjątkowo, ale wciąż nie miałam na nią pomysłu. Uciekłam się więc do sposobu, który wielokrotnie okazał się skuteczny, gdy byłam dzieckiem. Gdy nie mogłam na przykład rozwiązać trudnego zadania z matmy, zamykałam się w toalecie, siadałam na zamkniętym sedesie, a wtedy...

W górskim domu Grzeška Górkiewicza robiłam to samo. Zamknęłam się w ciemności i niemal natychmiast przyszły do mnie dźwięki orkiestry. Nie byłam w stanie ich zapisać, więc wybiegłam z toalety i zaczęłam śpiewać, a Grześ na swoich potężnych syntezatorach zaczął przekładać mój śpiew na orkiestrowe frazy. Tak powstał dziwny, na pozór odklejony od reszty utworu, a tak naprawdę doskonale z nią zharmonizowany wstęp do *Płomienia z nieba*.



Na początku 1993 roku prowadziłam dość imprezowe życie: a to urodziny, a to parapetówki u znajomych i współpracowników. Ale na żadnej z imprez nie miałam ochoty na białe wino. Wydało mi się to bardzo dziwne. Zwłaszcza że dodatkowo zaczął mi się spóźniać okres... Kiedy powiedziałam o tym Kasi, była tak podekscytowana i szczęśliwa, że codziennie rano pytała mnie, czy nic się nie zmieniło. Najpierw mówiła, że bardzo chciałaby mieć siostrzyczkę, ale któregoś popołudnia oznajmiła: „Mamo, mogę mieć i brata”.

Ja też byłam uszczęśliwiona, gdy ginekolog potwierdził objawy. Że skończyłam już trzydzieści lat? I co z tego? Andrzej i Kasia

wspaniale się mną opiekowali.

Mogłam w spokoju pisać teksty na nową płytę, która miała swoje źródło jednocześnie w bólu i szczęściu.

– Beata – oznajmił mi któregoś dnia Andrzej. – Byłem dzisiaj w Radiu Lublin i Tomek Staniszewski dał mi dla ciebie piosenkę na kasecie. Posłuchaj. Według mnie to może być duży hit.

Posłuchałam i nie odpowiedziałam nic. Zasyłam się w pokoju Kasi, najcichszym w całym mieszkaniu. Zaczęłam pisać:

”

Mów – niech twoje słowa zbudzą krew
Niech wszystko będzie już okej
Jest tyle miejsc, do których powrócimy
Mów – niech twoje słowa zburzą mur
Niech twoje dłonie zniszczą chłód
Ten nagły chłód, co sercu przyniósł zimę

Nie odnajdzie więcej nas ta sama chwila
Nie odnajdzie więcej nas ta sama chwila

Niech każdy dzień dodaje nam sił
Może znajdziemy siebie znów
Mów – chcę tego bardziej niż ty sam
Miłość mocniejsza jest od skał
Obiecaj mi lawinę uniesienia
Mów – chcę być przy tobie blisko tak
Wiem, że tych słów nie zmieni czas
Dopóki jest, dopóki jest nadzieja.

”

Moja publiczność odebrała ten tekst tak jak tego chciałam: życie bez nadziei na rozwiązanie trudnych spraw, na miłość, na szczęście,

na taką dobrą codzienność jest tylko pozbawioną sensu wegetacją. Jest jak życie bez marzeń. To nadzieja podpowiada nam, że niemal z każdej trudnej sytuacji istnieje wyjście, trzeba tylko je odszukać. Najlepiej wspólnie, z najbliższymi. Nie ma nic gorszego niż przekonanie, że każdy problem, każdy konflikt to ostateczna katastrofa. *Dopóki jest, dopóki jest nadzieja.*

Ale kiedy nadziei już w nas nie ma...



Na *Płomieniu z nieba* znalazł się też utwór mówiący wprost o poczuciu straty. To *Przyjaciel*, piosenka, którą pisałam, myśląc o zmarłym tacie Andrzeja. Pewnego dnia nagle poczułam, że jakaś siła pcha mnie w stronę biurka, nakazuje wziąć długopis, jakby dyktowała słowa. Byłam jak w transie.



W studiu nagrań w Lublinie, lata dziewięćdziesiąte.

”

Przyjaciel mój opuścił mnie
I nagły ból, i w sercu lęk
Mieliśmy razem iść przez życia pół
Zostawił mnie, Przyjaciel mój opuścił mnie
I nie wie nikt, gdzie teraz jest
Nie będę szukać go, jeszcze nie

Nabiorę sił
To wcale nie był dzień
Ani rozsądna noc
To jakiś podły czas
Gdy miał wszystkiego dość
I zobaczyłam już tylko cień za nim
Do diabła z żalem tym i z nadzieją
Że gdzieś jest kieszonka dla naszych dusz
Skrawek nieba
Byle gdzie
Do diabła z tym
Dobrym ciepłem
Zimnym złem
Znajdę i na to lek
A może nie
To wcale nie był dzień
Ani rozsądna noc
To jakiś podły czas
Gdy miał wszystkiego dość
I zobaczyłam już tylko cień za nim
Do diabła z żalem tym i z nadzieją
Że gdzieś jest kieszonka dla naszych dusz
Skrawek nieba
Byle gdzie
Do diabła z tym
Ciepłym dobrem
Zimnym złem
Znajdę i na to lek
Znajdę i na to lek
Przyjacielu mój, obiecuję ci
Obiecuję ci...



Każde kolejne słowo budziło we mnie ogromny ból, ale nie mogłam przestać pisać. Kiedy skończyłam, przeczytałam cały tekst i okazało się, że nie muszę, nie chcę nic w nim zmieniać. Ani jednego słowa. Zrozumiałam wtedy, że jeśli kogoś naprawdę kochaliśmy, powinniśmy wciąż myśleć o nim z miłością, a wtedy zawsze, kiedy tego potrzebujemy, udzieli nam pomocy. I pomyślałam – choć to wcale nie była łatwa do zaakceptowania myśl – że choć odejście kogoś bliskiego jest straszliwie bolesne, śmierci nie należy się bać. Trzeba nauczyć się czuć, że bliska nam osoba wcale nie odchodzi na zawsze, że będzie przy nas, gdy ją wezwiemy.



Kiedy byłam w ciąży z Kasią, to Andrzej wybrał dla niej imię. Tym razem wybór należał do mnie. Chciałam dla mojej drugiej córki mocnego imienia, które byłoby zarazem bardzo kobiece. Oznaczające kogoś jednocześnie szlachetnego i o dobrym sercu. Dlatego właśnie Agata została Agatą.



Z moją maleńką Agatką.

W pierwszym trymestrze ciąży z Kasią wszystko, co zjadłam, lądowało w toalecie. W przypadku Agatki było zupełnie inaczej: miałam nieustanną ochotę na wszystko, co kwaśne. Więc w warzywniaku blisko naszego bloku kupowałam pół kilo kiszanej kapusty, ale zwykle zanim dotarłam do mieszkania, zjadałam wszystko. Całe szczęście, kiedy teksty na nową płytę były już gotowe i mogliśmy wejść do studia, mój smak nieco już

się unormował. Chcieliśmy jednak pracować w możliwie komfortowych warunkach, bez żadnych niespodzianek, dlatego wróciliśmy do źródeł, czyli do Radia Lublin, gdzie powstawały nasze pierwsze płyty. Ale o tym, że jestem w ciąży, nie wiedział nawet realizator nagrań, Paweł Skura. Nie zauważył tego, chociaż miałam takie same przygody jak te, które zwykle towarzyszą kobietom w ciąży. Często robiło mi się niedobrze. Więc stałam przy mikrofonie i nie wiedziałam, czy jeśli dokończę śpiewać, zdążę jeszcze do łazienki, czy już nie. Mimo tych niedogodności bawiłam się każdym dźwiękiem, czułam siłę i mądrość napisanych przez siebie tekstów. Ale najważniejsze, że znowu czułam w sobie bicie dwóch serc.



Niestety, w składzie Bajmu znów doszło do rozszad. Rozstaliśmy się z muzykami, z którymi pracowaliśmy nad *Płomieniem z nieba*. Właściwie musieliśmy kompletować skład niemal od początku. Katastrofa? Nie dla mnie. Uwielbiam sytuacje, kiedy w zespole pojawia się świeża krew. Wraz z nią pojawiają się nowe pomysły, wizje, nowe inspiracje.

Tym razem Andrzej szukał muzyków w Lublinie, a że tamtejsze środowisko muzyczne nie jest zbyt wielkie, to znał właściwie wszystkich. Szybko dowiedział się o chłopakach, którzy grali... w garnizonowym zespole Desant. Ale jak grali!

Andrzej podrzucił im parę naszych piosenek i kazał przygotować się na przesłuchanie. Przez chwilę wyglądali na trochę onieśmielonych, zaczęli się tłumaczyć, mówić, że mają pewne pomysły, takie trochę inne aranżacje.

– Zagrajcie tak, jak chcecie – powiedziałam. Więc zaczęli grać, trema szybko im minęła, a ja byłam wniebowzięta. To było

świetne, nowoczesne, zadziorne.

Zawsze ceniłam artystyczną odwagę, ale tym razem poczułam też od razu, że będzie się nam świetnie współpracowało.

Tak dołączyli do nas Adam Drath, Krzysztof Nieścior, Piotrek Bielecki, Tomek Spodyniuk i Artur Daniewski.


Chłopaki pod okiem Andrzeja zaczęli intensywne próby. A ja cierpiałam. Męczyłam się przez całe gorące wakacje, czułam się, jakbym ważyła ze sto kilo. Nie mogłam się doczekać porodu i chwili, kiedy znów włożę ubrania, które wisiały bezużytecznie w mojej szafie przez pół roku.

Aż w końcu przyszedł TEN DZIEN.



22 września. Ból przychodzi falami. Jest jeszcze do zniesienia, kiedy Andrzej i Kasia wiozą mnie do szpitala. Potem narasta, ale dzielnie go znoszę, tym bardziej że moja pani ginekolog wciąż mnie zagaduje. A potem...

Cała obolała otwieram oczy i widzę wokół wpatrzone we mnie twarze. Studenci! Co oni robili na sali porodowej? No uczyli się. A jak się dowiedzieli, że tu Kozidrak rodzi, to uczyli się tym bardziej. Pomyślałam: „Jeszcze tego brakowało”. A zaraz potem: „Jacy przystojni”. Wiem, dziwna myśl w takiej chwili. Tymczasem oni zaczęli się zakładać, czy będzie chłopiec, czy dziewczynka. Co mogłam zrobić? Parłam, krzyczałam i czułam się niemal jak na koncercie, tylko znacznie mniej komfortowo. Dobrze, że to nie były jeszcze czasy, kiedy ojcowie mogą asystować przy porodach swoich dzieci. Andrzej w strzępy rozniósłby całe to towarzystwo. Ale sama dzielnie zniosłam ból i te spojrzenia studentów. Najważniejsza była moja córeczka. Moja AGATKA.



– Tak, AGATKO? Cześć, kochanie. Halo, coś cię słabo słyszę... Tak, aniołku, jestem już po rozwodzie. Tak, dużo się działo. Właśnie uciekliśmy przed paparazzi i jedziemy do hotelu. Pójdziemy z Kaśką coś zjeść, bo samymi emocjami nie można żyć, przecież wiesz. Jeśli masz ochotę, możesz do nas dołączyć. Zjemy w hotelowej restauracji, nie mam siły na szukanie innej. A poza tym mogłabym przypadkiem spotkać tych, przed którymi uciekaliśmy. Nie przeżyłabym tego. Oni chyba też. Dobra, córeczko, jakby co, wiesz, gdzie jestem. Buziaki.

Pożegnałam się z córką i wtedy naprawdę go poczułam. Głód.

– Kaśka, zjem zaraz takie ilości jedzenia, że przytyję od razu ze dwa kilo! Tyle się działo, że mój żołądek kompletnie nie nadażał.

– Nie szkodzi, Betti, ty zaraz spalisz te dodatkowe kalorie na scenie. Ja mam gorzej. Odchudzam się co tydzień, od poniedziałku i nic. Przez to odchudzanie staję się coraz bardziej nerwowa, więc żeby się uspokoić, od środy znów zaczynam wpieprzać. I tak w kółko.

– Czyli jeszcze przed weekendem dochodzisz do siebie – zaśmiałam się, a potem powiedziałam zupełnie serio. – Nie przesadzaj z tym odchudzaniem, moja droga. Najważniejsze, żeby być sobą i żeby mieć wokół siebie przyjaciół, którzy cię akceptują, a nie mierzą cię i ważą. Takich przyjaciół jak ty, Kaśka – na dobre i na złe. Zresztą jak chcesz, to się odchudzaj, ale nie dziś. W tym miesiącu są jeszcze trzy tygodnie, więc jeszcze zdążysz. Teraz idziemy wziąć prysznic, ubrać się zniewalająco. Spotykamy się na dole za pół godziny.



– Halo? Tak, kochanie... No pewnie, że cię kocham. A kto ci powiedział, że tak nie jest? Nie mogłam odpowiedzieć na twoje SMS-y, przecież wiesz, jaki dzisiaj mam dzień...

– Beata, jasne, że wiem. Piszą o tym wszędzie. Ale mogłaś chociaż dać znać, że wszystko OK.

– Jakie OK, kotku? Wokół rozwodu tyle się działo, że nie jestem w stanie opowiedzieć ci tego wszystkiego przez telefon. Ale za to jak się spotkamy, to... pójde w drobiazgi! Obiecuję ci i nie pożałujesz jak zwykle. Tylko wybierz, w jakim mam być kolorze: białym, czerwonym czy czarnym...

– Ty naprawdę nie jesteś normalna. Ale normalne są nudne! Dobra, to już ci nie przeszkadzam. Całuję i do jutra. Pa.



Byłam w ulubionym hotelu w swoim rodzinnym mieście, gdzie zawsze czułam się zaopiekowana i bezpieczna. Restauracja serwowała sezonową kuchnię, a w doborze potraw doradzali przystojni kelnerzy. Często łąpałam się na tym, że zamawiając danie,

miałam ochotę tylko na drugie. Ale wpatrzona w atrakcyjnego kelnera, nagle znajdowałam w żołądku miejsce na zupę, danie główne, no i deser.

Zawsze czekał na mnie mój ulubiony stolik i przy nim właśnie usiadłyśmy. Wiedziałam, że ten niezwykle intensywny dzień jeszcze może mnie czymś zaskoczyć. Ale to, co zobaczyłam w recepcji hotelu, było jak piorun. Zapewne Kaśka zauważyła coś w moich oczach, bo spytała:

– Czy ten facet z dużą walizką przy recepcji to jakaś zjawka z przeszłości? Bo oczy zrobiły ci się takie wielkie, jakby ci zrobili makijaż przed sesją do „Vivvy”!

– Ja nie wierzę – wydusiłam z siebie. – To Zbyszek, moja pierwsza miłość! Ten, dla którego zaczęłam śpiewać w zespole i pisać wiersze. Co on tu robi? Pewnie zejdzie tu na kolację...

Nieco spanikowana zaczęłam wypytywać Kaśkę: – Słuchaj, jak ja wyglądam? Może pójde do pokoju i poprawię makijaż?

– Uspokój się! Wyglądasz super! Zamówmy sobie dobre wino. Za dużo emocji jak na jeden dzień. Ale pamiętaj, że jestem z tobą.



– Beatko, nic piękniejszego nie mogło mnie dzisiaj spotkać!

Przedemną stał przystojny, lekko szpakowaty brunet, niewątpliwie ubrany w dużą kasę.

– Zbyszek... Co ty tu robisz? – udałam zupełnie zaskoczoną. – Ale spotkanie! Po tylu latach! Pozwolisz, że ci przedstawię moją przyjaciółkę. To jest Katarzyna z Kędzierzyna... Cha, cha.

– Zatem spotkało mnie coś pięknego podwójnie. Dwie piękne blondynki – czarował Zbyszek. – Pozwolicie, że zaproszę was na kolację?

Spytałam, co robi w Polsce, bo słyszałam, że wyjechał z kraju już dawno temu.

– Mam w Lublinie biznes. Dzięki temu częściej odwiedzam mamę. W Niemczech, jak wiesz, ułożyłam sobie życie. Chociaż nie było ono najszcześniejsze. Ale mniejsza. Wiesz, o sobie to nie musisz opowiadać, bo na bieżąco śledzę twoją karierę i życie prywatne. Jestem dumny, że cię poznałem, że byłem krótko w twoim sercu. W moim sercu ty byłaś zawsze...

Kaśka walnęła mnie w kostkę pod stołem. Oj... Przez chwilę poczułam prawdziwy ból.

– Tak, tak, Zbyszku – ucięłam. – To naprawdę niezwykle spotkanie. Wypijmy za nie.

– A jakie wino zamówiły moje towarzyszki?

– A takie, jakie polecił nam kelner. Jakieś...

– Jakieś? – Zbyszek był naraz oburzony i urażony. – To nie jest wino.

Jak się szybko okazało, Zbyszek był znawcą nie tylko win. Ale na razie ruszył do baru i wrócił z wybranym przez siebie trunkiem.

– Dobrze, dziewczyny, wino odpowiednie już mamy. Więc teraz może coś zjemy?

Kaśka była już w drugiej, „pośrodkowej” fazie odchudzania, więc nie mogła się doczekać tego, co zaproponuje nam przystojny kelner. W tej kwestii czułam to samo podniecenie. Zajrzałyśmy w menu. Nasz kelner skłonił się wpół i z wdziękiem zapytał:

– Czy jesteście państwo gotowi, aby złożyć zamówienie?

– Tak – Kaśka szturmowała jako pierwsza. – Ja poproszę zupę rybną, pierogi z gęsiną, dodatkowo surówkę sezonową, a na deser jabłka w cieście.

– A dla mnie... tatar z łososia, zupa z zielonych warzyw, sznycel cielęcy z jajkiem i oczywiście zestaw surówek. A na deser lody z bitą śmietaną, bezą i owocami.

Moja pierwsza miłość popatrzyła na nas, jakbyśmy wrócili z kosmosu i przez miesiąc łykały tylko pigułki.

– Zupa rybna? Pierogi z gęsiną? Tatar z łososia? Sznycel cielęcy, nie wiadomo na czym smażony? – Zbyszek unosił się coraz bardziej. – Przecież to zabójstwo dla waszych żołądków! Ja jem tylko to, co zdrowe. I lekkie, bo przecież jesteś tym, co jesz!

Spojrzałyśmy sobie z Kaśką głęboko w oczy i zamówiłyśmy dwie sałatki.

Kiedy po kolacji znalazłyśmy się w windzie, moja przyjaciółka stwierdziła:

– Beti, jak to dobrze, że to była twoja pierwsza i nie ostatnia miłość.



Wróciłam do pokoju, zamknęłam drzwi i położyłam się na łóżku. Pomyślałam z dumą: „Jestem teraz wolną kobietą. Wybucham, kiedy chcę. Jak ETNA!”



ETNA – taki tytuł nosiła nasza siódma płyta, która ukazała się w 1995 roku. Z nowymi muzykami, z nową energią i muzycznymi pomysłami. Znowu dokonał się we mnie zwrot: po nastrojowym *Płomieniu z nieba* chciałam, żebyśmy nagrali ostrzejszą płytę, znowu inspirowaną amerykańskim rockiem (właśnie wróciliśmy z kolejnego tournée po Stanach i Kanadzie). Kiedy się ukazała, czytałam w recenzjach, że gramy jak Van Halen. To było całkiem przyjemne.

Piosenki na nowy album komponowali głównie nowi członkowie zespołu i już na próbach w Radiu Lublin ten nowy materiał zapowiadał się znakomicie. Uwielbiałam melodie, z których później powstały piosenki *Perłowa*, *Łatwa miłość*, *Dziesięć przykazań*. A poza tym przepiękną balladę *Dziecko we mgle* i oczywiście tytułowy utwór *Etna*.



Chcę być znowu samotnym drzewem
Rosnąć aż do gwiazd
Zrobić sobie dziurę w niebie
Zacząć wszystko jeszcze raz
Sączyć wino łagodnie
Jak cudotwórczy lek
Z dna oceanu
Wynurzyć się
Nie oglądać się za siebie
Gdzie tyle nas
Ważne jest
To, o czym nie wiem
To, co się wydarzyć ma
Ludzie, których poznam
Urok nieznanych miejsc
Słowa na nowo powiedziane

Zabrzmią jak wiersz
Niech deszcz
Zmyje obraz dawnych zdarzeń
Zostaw mnie
Na tej rozpalonej wyspie
Niech wiatr
Powie wszystkim
O czym marzę
Niech się stanie tak
Nic ci już nie powiem
Cisza krzykiem jest
Miłość pękła niby orzech
Już nie ma grzechu w niej
Noc opada łagodnie
Rozpina czarny płaszcz
Znikąd przychodzi spokój
Jakby wiedział
Czego sercu brak.





Sesja okładowa do płyty *Etna*, rok 1995.

Ale nie wszystkim się spodobał ten nowy materiał. Zwłaszcza pewnemu człowiekowi, który był odpowiedzialny za to, co było tworzone w studiu Radia Lublin. Do dziś nie rozumiem źródeł tej jego niechęci...

Zaczęłam pisać teksty, a chłopcy nagrywali swoje partie – zgodnie z tym, co wypracowali na próbach. W ogromnym studio udało im się stworzyć wspaniałe, głębokie brzmienie. Po nagraniu

Tomek Spodyniuk zostawił dyskietkę akustykowi, żeby schował ją w pancерnej szafie. Następnego dnia przyjeżdżamy do studia. Chcemy dalej pracować nad płytą, ale okazuje się, to, co do tej pory nagraliśmy, zostało nieodwracalnie skasowane...

Byliśmy w szoku. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić!

Pierwotnego brzmienia płyty nigdy nie udało nam się odtworzyć. Musieliśmy zaczynać od nowa, a przecież to jasne, że takie powtórki nie mają tej samej energii, spontaniczności co owoce pierwszych podejść do nowych utworów. Mimo to *Etna* była wysoko oceniona i za ciekawe aranżacje, i za kompozycje. Ale stało się jasne, że Radio Lublin przestało być dla nas przyjaznym miejscem.

Z całej tej sytuacji jedno doświadczenie okazało się dla mnie bardzo ważne: moi nowi muzycy sprawdzili się i podczas nagrań, i na koncertach. Byli dla mnie jak ściana, o którą mogę się oprzeć. Doskonale się rozumieliśmy, była w nich prawdziwa rockowa inteligencja, która pozwalała nam improwizować na scenie, bawić się dźwiękami, prowadzić z ich pomocą ożywioną rozmowę między nami, a także ze słuchaczami. Widziałam i czułam, że to, co nam sprawia radość, sprawia przyjemność również mojej publiczności.



W moim życiu prywatnym wiele się w tym czasie zmieniło. Znowu byłam mamą małej córeczki.

Inaczej to wszystko przeżywałam, byłam bardziej świadoma, mniej przerażona tym, co mnie czeka.

Po urodzeniu Agatki przez kilka miesięcy byłam w domu, jednak szybko poczułam, że chcę wrócić na scenę. Bardzo za nią tęskniłam. Więc kiedy Andrzej rozmawiał z jakimś organizatorem w sprawie

koncertu i odmówił ze względu na mnie, zaczęłam mu wiercić dziurę w brzuchu. Andrzej zdębiał.

– Beata, jak ty chcesz na koncert? Przecież karmisz! Dziecko takie malutkie – niepokoił się.

– Andrzej, ja wszystko sobie poukładam, poproszę twoją mamę o pomoc, ściągnę pokarm, ale ja muszę na scenę, bo zwariuję zaraz – uspokajałam go z całych sił.

No i zagraliśmy koncert w Ostrowcu Świętokrzyskim. Dopięłam swego.

Znów przydał się mój perfekcjonizm. Kiedy wcześniej z Kasią jeździłam na koncerty, też wszystko miałam przygotowane tak, aby dziecko dobrze się czuło i było pod dobrą opieką, żebym bez obaw mogła wyjść na scenę. W 1981 roku ludzie patrzyli na mnie jednak jak na matkę-dziwadło, która z małym dzieckiem jeździ po Polsce. Ale teraz moje dorosłe dziecko nie ma o to do mnie pretensji. Wręcz przeciwnie. Dzięki temu Kasia nie czuła się samotna w domu. Przecież nawet kochani dziadkowie nie mogli jej zastąpić rodziców. Ona chciała być z mamą i tatą – po prostu.



Z zespołem podczas nagrywania *Etny*. Od lewej: Tomasz Spodyniuk, Adam Drath, ja, Piotr Bielecki, Artur Daniewski, Krzysztof Nieścior (siedzi), rok 1995.

Potem, kiedy urodziła się Agata, nie widziałam powodu, żeby funkcjonować inaczej. Dużo dała mi pewna rozmowa ze Zbyszkiem Wodeckim – spotkaliśmy się gdzieś w trasie, nie pamiętam gdzie. Opowiadał mi, że przez to, że tak często wyjeżdżał, miał potem problemy ze swoimi rodzicielskimi relacjami. Dziecku po prostu potrzebny jest kontakt z ojcem. Zbyszek pomógł mi zrozumieć, że warunki czasami nie są najważniejsze. Ważne, żeby dziecko było przy swoich rodzicach.

Byłam matką poukładaną, a przy Agatce już matką doświadczoną. Zresztą w tamtym czasie nie graliśmy tak dużo koncertów jak w latach osiemdziesiątych, mogłam spokojniej patrzeć, jak córka mi rośnie, dużo czasu przebywać z nią w domu.

Kiedy Kasia się rodziła, mieszkaliśmy jeszcze w bloku. Chcieliśmy się przeprowadzić, ale wcześniej po prostu nie stać nas było na dom. A ja jestem człowiekiem, który nie potrafi żyć na kredyt ani z kredytem. Tak, zawsze bardzo racjonalnie podchodziłam do kwestii pieniędzy.

Gdy wreszcie uzbieraliśmy pieniądze, dosyć długo szukaliśmy odpowiedniego miejsca. Aż dowiedzieliśmy się, że powstaje pierwsze w Lublinie zamknięte osiedle. Tam kupiliśmy dom, a właściwie połowę bliźniaka. Mały ogródek, trawa, drzewa, kwiaty i cała nasza rodzinka: szesnastoletnia Kasia, dwuletnia Agatka, ja, Andrzej, bokserka Lola i kotka Lola.

Jednak część osiedla, na którym zamieszkaliśmy, wciąż była nieukończona, więc jak to bywa w Polsce, domy już stały, ale twardej drogi jeszcze nie było. Czasami wychodziliśmy więc wystrojeni na jakieś ważne spotkanie czy kolację, ale nie mieliśmy jak dojść do auta, bo wokół nas rozciągało się morze błota. Nie byłabym jednak sobą, gdybym nie znalazła rozwiązania. W drodze do taksówki nasze eleganckie buty wkładałam do siatki, a na nogi wkładaliśmy bezpieczne kalosze.

Jako że osiedle było strzeżone, mieliśmy nadzieję, że masa pseudofanów, którzy nawiedzali nasze mieszkanie w bloku i zostawiali na korytarzu dziwne rzeczy, nie będzie miała dostępu do naszego nowego gniazdka. W końcu dom to azyl. Nic bardziej mylnego. Wkrótce pod naszym ogrodzeniem zaczęły się pojawiać nie tylko zabawki, liściki, zdjęcia z prośbami o autograf, ale także wielkie kosze czerwonych róż. Jak się później okazało, przychodziły one od pewnej zakochanej we mnie kobiety. Wysyłała mi te kwiaty regularnie, co tydzień. W koszach, oprócz słodkich liścików, pojawiały się czasami seksowne majteczki. Moje nerwy puściły, kiedy zobaczyłam ją przed domem. Powiedziałam

Andrzejowi, żeby porozmawiał z tą kobietą. Okazało się, że darzy mnie wielkim uczuciem, wie, że jestem mężatką, ale i tak będzie na mnie czekać. Andrzej odpowiedział stanowczo, że może sobie czekać, ale nie tu. I niech już nie wysyła róż, bo Beata ma na nie alergię.

Mój mąż – jak zwykle – okazał się skutecznym negocjatorem. Więcej tej pani już nie widziałam.

Inne wady – oprócz tysiąca zalet – własnego domu? W naszym ogródku zrobiliśmy sobie oczko wodne. Była to jedyna tego typu atrakcja w okolicy, więc żaby robiły tu sobie niezłe imprezy. Wszystko byłoby do zniesienia, gdyby nie dały się wieczorami tak, że czasem pękała mi głowa. Kiedy odbywały się w naszym domu jakieś rodzinne uroczystości czy imprezy, towarzystwo, słysząc rechot żab, mówiło z zachwytem: – Beata, czujemy się prawie jak na Mazurach!

W tym przypadku „prawie” robiło dużą różnicę.



Macierzyństwo oznacza dla kobiety ogromny trud, wyrzeczenia, czasami – choć nie był to mój przypadek – rezygnację z marzeń i realizacji życiowych planów. A jednak jest doświadczeniem jedynym w swoim rodzaju, kryje się w nim głęboka magia. Przyglądanie się, jak rosną, rozwijają się, zmieniają moje córki. Budowanie z nimi intymnych, szczerych relacji. Dostrzeganie coraz wyraźniejszych podobieństw i różnic między nimi...

Kasia zawsze miała swój własny świat, również muzyczny. Zamykała się w swoim pomarańczowym pokoju na poddaszu i słuchała bluesa oraz rocka. To właśnie muzyka bardzo nas do siebie zbliżała. Jednak Kasia wstydziła się śpiewać przy mnie. Pewnego dnia nie wytrzymałam i stanęłam pod drzwiami jej

pokoju tylko po to, by usłyszeć jej śpiew. Wiedziałam, że drzemie w niej talent. Teraz się o tym przekonałam!



Koleżanki i szkolne towarzystwo miały dla Kasi mniejsze znaczenie niż muzyka. Natomiast Agata, kiedy już podrosła, zawsze otaczała się mnóstwem koleżanek i kolegów, a dania serwowane przez inne mamy zawsze były smaczniejsze niż moje.

Z Kasią w szkole nie było nigdy żadnych problemów. A Agata? Już w pierwszej klasie podstawówki byłam wzywana do dyrekcji. Oczywiście poszło o mnie...

Jedna z koleżanek, zapewne powtarzając to, co mówili jej rodzice, rzuciła do mojej córki na przerwie: „A twoja mama to nic nie robi, tylko leży, pachnie i maluje paznokcie”. Wtedy Agata, mimo że tamta dziewczynka była słusznej postury i wagi, popchnęła ją. Całe szczęście nie dość mocno, by stało się coś złego. Podłoga przyciągnęła przede wszystkim pupę, a nie inne części ciała tamtej dziewczynki.

Co miałam zrobić? Oczywiście przeprosiłam za skandaliczne zachowanie mojego porywczego dziecka, które w taki sposób wymierzyło karę za kłamstwo. Ale choć jej tego nie powiedziałam wprost, byłam z Agaty trochę dumna.

Uwielbiałam te chwile, kiedy Agatka, wracając ze szkoły, rzucała plecak, gdzie popadnie, i głośno wołała: „Mamo, gdzie jesteś? Bo ja już jestem!”. Tak, potrzebowała mojej obecności, ale jednocześnie zawsze była bardzo samodzielna i przedsiębiorcza, taka mała businesswoman.

Ze swoją sąsiadką Pamelą i przyjaciółką Dominiką, z którą są blisko do dziś, zbierały owoce w naszym ogrodzie. Potem wносиły stół, urządzały przed domem stragan i sprzedawały je

przechodniom. Agata organizowała również pokazy mody. Modelkami były jej koleżanki, a publicznością my i rodziny koleżanek. Bilety kosztowały 20 złotych plus VAT. A VAT wynosił 100 procent.

Tę przedsiębiorczość Agata odziedziczyła akurat po Andrzeju. I bardzo dobrze, bo dziś radzi sobie w swoim modowym biznesie coraz lepiej.



Kiedy Agatka zarabiała swoje pierwsze pieniądze, wydając je głównie na słodycze, Kasia uczęszczała już do liceum i przeżywała pierwsze miłosne rozterki. Ale na moje pytania, co się stało, odpowiadała bardzo zdawkowo. Zamknęła się u siebie. Weszłam więc do jej pokoju, usiadłam na miękkiej wykładzinie i powiedziałam, że nie wyjdę, dopóki mi nie opowie, o co chodzi.

Okazało się, że i Kasia, i jej najlepsza przyjaciółka zakochały się w tym samym chłopaku. Powiedziałam Kaśce, że sama musi zdecydować, co jest dla niej ważniejsze w tym przypadku: przyjaźń czy miłość, że czasami po prostu trzeba wybierać. Kasia zrezygnowała z uczucia.

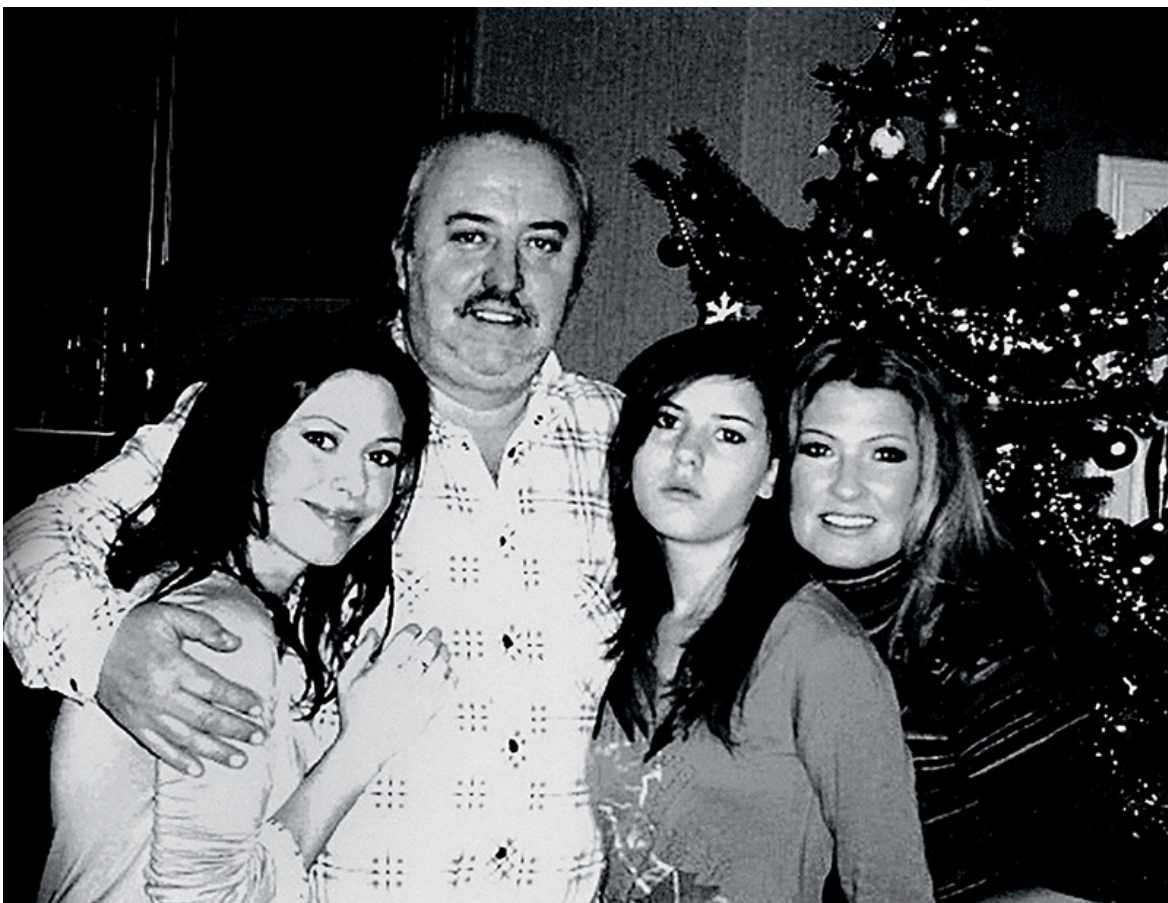
Może to i dobrze, bo dwa lata później poznała swojego obecnego męża. Są dziś szczęśliwą rodziną.

Mimo moich licznych zajęć i wyjazdów miałam zawsze dobry kontakt z córkami. Wciąż im powtarzałam, że mogą ze mną rozmawiać na każdy temat.

Kiedy Kasia rozpoczęła studia dziennikarskie i wyprowadziła się do Warszawy, czułam tak wielką pustkę, że przez jakiś czas nie byłam w stanie wejść do jej pokoju. Całe szczęście, że w naszym lubelskim domu – nowym i ogromnym, tym bardziej sprzyjającym poczuciu samotności – wciąż była Agatka.



Odkąd wyprowadziliśmy się z bloku, organizowałam wigilię dla całej rodziny. Zjawiał się Mikołaj z wielkim workiem prezentów. Ich wyciąganiem zajmowała się Agatka. Wymagała, żeby obdarowany jakoś się za dar odwdzieczył, żeby się zaprezentował. Mógł zatańczyć, zaśpiewać, wyrecytować wiersz. To zawsze był wspaniały, rodzinny czas.



Rodzinna Wigilia w naszym domu.

Jednak rodzinne spotkania nie były w stanie ukoić mojej tęsknoty za starszą córką. Często więc jeździłam do Warszawy, żeby się z nią spotkać. W końcu z Andrzejem postanowiliśmy

kupić apartament w stolicy, żebym miała się gdzie zatrzymać. Później zamieszkała w nim Kasia.



Moje córki mają cięty dowcip i mocno sarkastyczne poczucie humoru, więc nigdy nie nudzimy się ze sobą. Uwielbiam je, nasze wspólne żarty, które przenoszą mnie w inny wymiar. Szczególnie gdy praca i stresy nie dają mi spokoju. Kasia i Agata zawsze świetnie się bawiły, przebierając mnie tak, żeby nikt mnie nie rozpoznał i nie zaczepiał na ulicy z prośbą o autograf. Czapka i okulary nie wystarczały. Kiedyś moje córki wcisnęły mi więc na głowę perukę, innym razem kazały mi włożyć bluzkę z napisem „Nie, to nie ja”. Zdarzało się, że wychodząc z domu, zaczynałyśmy gadać w obcych językach albo, jak w szpiegowskich filmach akcji, chowałyśmy się w korytarzach przypadkowej restauracji i wychodziłyśmy tylnymi drzwiami, by zgubić podążających za nami paparazzich. Zwykle nas już nie doganiali.

Ale nie zawsze jest tak różowo. Nauczyłam swoje córki nie zamiatać problemów pod dywan. Więc jak coś przeszkobie jedna czy druga, reakcja jest natychmiastowa. Jednak nie jesteśmy w stanie długo obrażać się na siebie. Za bardzo się potrzebujemy.

Nasze trzy pokolenia: ja, Kasia i Agatka to wybuchowa mieszanka temperamentów, talentów i miłości do siebie nawzajem. Z tego jestem najbardziej dumna: że nauczyliśmy dziewczyny kochać się i wzajemnie szanować. Ta dobra energia nieraz do mnie wraca. Wiem, że zawsze możemy na siebie liczyć. Dlatego razem pracujemy, razem wymyślamy, planujemy. Często spotykamy się wieczorem w moim domu albo u Kasi i Kamila, mojego zięcia. Potrafimy przegadać całą noc. Jesteśmy w stanie

powiedzieć sobie najszczerzą prawdę. A kiedy się bawimy, to na całego!



Babski wyjazd na Mazury. Razem z córkami i wnuczką.

Moje dzieciaki mają w domu studio. Kiedyś, przy okazji testowania mikrofonu, zabawa rozkręciła się do tego stopnia, że gdybym została u nich jeszcze chwilę dłużej, gdybym wypła kolejnego drinka, to narodziłaby się nowa gwiazda disco. A tak... powstała tylko jedna piosenka.



Tak, córki i muzyka to moje największe miłości. Ale uwielbiam też aranżować przestrzenie, w których mieszkam. To moja trzecia wielka pasja po muzyce i pisaniu tekstów piosenek. Moj pierwszy dom był utrzymany w pastelowych odcieniach z charakterystyczną wykładziną w kolorze pistacji. Apartament w Warszawie utrzymany jest w stylu śródziemnomorskim. Dom, który kupiłam wraz z Andrzejem w Hiszpanii, ma rustykalne wnętrze.



Mój dom i azyl, Lublin, rok 2000.

Była w moim życiu jeszcze posiadłość pod Lublinem. Dwa hektary ziemi i 800-metrowy dom. Sam salon – z wielkim kominkiem po środku – miał 230 metrów kwadratowych. Kuchnię

i jadalnię zaprojektowałam sama, a wykonał ją znany lubelski stolarz. Sama też wymyśliłam, jak ma wyglądać miejsce, gdzie można słuchać muzyki i oglądać telewizję. Tapety – w kolorze écru i złota – zostały specjalnie sprowadzone ze Stanów.

Lubię otaczać się pięknem. Ale jeszcze ważniejsi są dla mnie dobrzy ludzie i pozytywna energia, która z nich bije.



Lata dziewięćdziesiąte były bardzo intensywne i w naszym życiu, i w naszej karierze. Ciągłe coś się zmieniało. W 1996 roku odezwała się do nas prężnie działająca na naszym rynku muzycznym wytwórnia Pomaton EMI z Piotrem Kabajem na czele. Spotkaliśmy się z nim w naszym domu, przy kominku. Andrzej od razu zaproponował, że w firmie Piotra wydamy płytę z bajmowymi balladami. Pomysł chwycił.

Podczas jednego ze spotkań dotyczących promocji płyty padło pytanie, czy chciałabym zrobić sobie rozbieraną sesję w „Playboyu”. Trochę się zdenerwowałam. Powiedziałam, że nie muszę tego robić. Z drugiej strony padło stwierdzenie, że taką sesję zrobiła już i TA, i TAMTA i że to bardzo pomogło w promocji ich płyt.

Odpowiedziałam, że nie jestem ani TA, ani TAMTA.

– Ja ŚPIEWAM!!!

Propozycje od redakcji „Playboya” padały jeszcze kilkakrotnie. Z żadnej nie skorzystałam.



Płyta *Ballady* ukazała się we wrześniu 1997 roku. Znalazły się na niej między innymi *Różowa kula*, *Małpa i ja*, *Dwa serca, dwa*

smutki przearanżowane przez nowych członków zespołu, ale też jedna premierowa piosenka: *Kraina miłości*.



Jestem cudowną krainą
Krainą wiecznych snów
Jeżeli chciałbyś dopłynąć do mnie
Szykuj łódź
Niechaj cię nocą prowadzi
Światło gwiazd
Jakbyś znów się narodził
I kochał pierwszy raz
Zostań tu
Kraina budzi się ze snu
Ciepłem twym
Dotykem ust
Zostań tu
Dopóki jeszcze żyją w nas
Nasze pierwsze wakacje
Słońca blask
Czasami warto wybaczyć
Czasami warto wrócić
Zapomnieć co było złe
Malować dni najpiękniej
Jak się da
Zróbmy to dla miłości
Jeszcze raz
Niech się wysypią kamienie
Spadnie grad
Schodami w dół
Aż do prawdy bram
Niech się wypali w płomieniach
Naszych ciał
Tamten ból i tamten żal.



Tak, czasami warto wybaczyć, zapomnieć, co było złe, dla miłości...

To była jedna z tych piosenek, której tekst napisałam po jakiejś kłótni z Andrzejem, kiedy zdarzyły nam się ciche dni. Zawsze bardzo przeżywałam takie chwile milczenia. Brakowało mi wtedy naszych rozmów, wspólnego tworzenia. Głowę miałam pełną pomysłów, ale z kim miałam je dzielić, z kim rozwijać. Myślałam: to głupie, szkoda czasu na milczenie, na takie jałowe bycie obok siebie. Chciałam jak najszybciej przerwać tę ciszę. Ale czasami wcześniej zaczynałam pisać o tym, co czuję. Nawet jeśli bywały to trudne emocje.



Zbliżało się dwudziestolecie Bajmu. Nie chciałam z tej okazji wydawać kolejnej składanki, to byłoby zbyt łatwe, zbyt oczywiste. Zastanawiałam się więc intensywnie, czym zaskoczyć swoich fanów. I wtedy z propozycjami nowych utworów przyszli do nas Adam Abramek i Paweł Sot – duet, z którym stworzyłam wiele przebojów, pisząc teksty do ich kompozycji. Rozstaliśmy się jakiś czas temu, ale to, co chłopcy mi zaprezentowali po latach, było inne, nowe, świeże i nowoczesne. Ale też zupełnie nie w stylistyce Bajmu. Dlatego wspólnie z Andrzejem zdecydowaliśmy, że nagram swoją solową płytę. Pomysł był szalony, ale do odważnych świat należy.

Pracowaliśmy najpierw w piwnicy naszego domu, gdzie urządziliśmy studio. Ta praca miała zupełnie inny charakter niż przy płytach Bajmu. Tylko my troje, wszystko zależało od nas, nie

było pomysłów, nawet szalonych, których nie moglibyśmy zrealizować. Żeby uzyskać odpowiednie brzmienie, chórki z Olgą Bończyk nagrywałyśmy w saunie. Śpiewałam po angielsku, po francusku, wprowadzaliśmy cudowne ukraińskie chóry, dźwięki strojącej instrumenty orkiestry. Zapraszaliśmy fantastycznych muzyków, aby zagrali wskazane przez nas partie. Nieustannie eksperymentowaliśmy, szukaliśmy nowych barw. Malowaliśmy. Ale jednocześnie jest na tej płycie swoisty wokalny ascetyzm. Bo nagrywała ją już inna Beata, nie ta, która chce ścigać się ze wszystkimi, która musi za każdym razem uruchomić całą skalę swojego głosu, która na scenie rywalizuje z instrumentami.

Byłam uskrzydłona tą współpracą, a jednocześnie spokojna, pewna siebie. Czułam, że dzieje się coś naprawdę ważnego.

Równocześnie swoją nową płytę – *Frozen* – nagrywała Madonna. Potem porównywano te nasze albumy, pisano, że obydwie zrobiłyśmy zaskakujące wolty, że pokazałyśmy, jak może brzmieć nowoczesny pop, że nie boimy się konfrontować z najnowszymi muzycznymi trendami i z młodymi talentami, od których bierzemy i przekładamy na własny wokalny język to, co mają najciekawszego do zaoferowania. Czytałam nawet, że oto „objawiła się polska Madonna”. Oczywiście schlebiało mi to, ale też trochę śmieszyło. Przecież ona miała do dyspozycji muzyków, jakich tylko chciała, najlepsze studia, budżet no *limits*. Ale miałam nad nią pewną przewagę: to ja byłam autorką tekstów piosenek, które śpiewałam. Były moje, bardzo moje. A jeśli chodzi o studio, to też nie miałam powodów do kompleksów.



Andrzej wiedział, że moim marzeniem było zawsze nagrać płytę w światowym studiu. Zaczął o tym rozmawiać z Piotrem Kabajem

z Pomatonu. Wytwórnia miała kontakty ze świetnym duńskim studiem PUK, w którym nagrywały światowe gwiazdy. I zapadła decyzja, że właśnie tam nagram wokale do mojej solowej płyty.

Jeszcze w samochodzie na promie poprawiałam tekst do *Żal mi tamtych nocy i dni*.



Płyniemy po słodki grzech
Wielką łodzią z białym Inem
Póki słońce
Śpi na plaży
Uczymy się patrzeć tak
By pamiętać kolor traw
Każdy szczegół
Tej wyprawy
Nigdy nie widziałam takich plaż
Nigdy nie zapomnę twoich oczu, nie
Żal mi tamtych nocy i dni
W ogniu twoich rąk
Nieznany dziki ląd
Czy wiesz
Może to
Była miłość
Trzy dni, których nigdy dość
Cztery noce, których żar
Jeszcze dzisiaj
Mam na twarzy.



Do studia PUK wyruszyliśmy z Adamem, Pawłem, Andrzejem i małą Agatką. Jechaliśmy, jechaliśmy i byliśmy coraz bardziej zdziwieni. Pola, sterty oborniku, znowu pola... Gdzie jest to wspaniałe, prestiżowe studio? Ale pomyślałam, że skoro światowe gwiazdy takie jak George Michael, Take That czy Elton John przejeżdżały tą samą drogą, to pewnie miały powód, więc postanowiłam, że nie będę się niczemu dziwić.

W końcu zobaczyliśmy kilka parterowych domów świetnie wkomponowanych w krajobraz. Odetchnęłam z ulgą. Byliśmy na miejscu.

Mieliśmy do dyspozycji trzy domy dla muzyków, jeden z zapleczem wypoczynkowym, sauną, basenem, no i ten najważniejszy. Znajdowało się w nim olbrzymie, mega profesjonalnie wyposażone studio nagraniowe, z mnóstwem instrumentów. A do tego kuchnia, w której królował fantastyczny duński kucharz. No nic tylko nagrywać. Nawet o północy, jeśli właśnie wtedy przyszła do mnie wena.

Na drugi dzień dojechał do nas światowej sławy realizator dźwięku Piotr Siedlaczek, na stałe mieszkający w Niemczech. Wcześniej pracował m.in. ze Staszkiem Sojką i Mireille Mathieu, teraz miał nadać ostateczny szlif mojej płycie. Pracowało się nam fantastycznie – Piotr pokazywał nam różne opcje, różne rozwiązania, a potem wspólnie podejmowaliśmy decyzje, jak mają brzmieć poszczególne utwory.



Pewnego dnia wpadłam na pomysł, żeby w piosence *Kołysanka dla Agaty* fragment zaśpiewała sama Agata. Ale na moją propozycję odpowiedziała twardo, że chce nagrać całą piosenkę.

Cóż było robić? Podstawiliśmy jej stołeczek, ona wspięła się na niego, zbliżyła twarz do mikrofonu i zaśpiewała cudownie:

”

Anioł swe rozpina skrzydła
Idzie spać
Matka Ziemia
A ja płynę do ciebie
Różowym statkiem po niebie
Anioł ma
Czułe ramiona
Kochaj mnie
Będziesz moja
Czekam, aż oczy otworzysz
Czuję, jak miłość przychodzi...

”



Wiedziałam, że moja solowa płyta będzie wielkim zaskoczeniem dla fanów. Trochę się denerwowałam, jak ją przyjmą. Ale przyjęli ją doskonale. Nikt się po mnie nie spodziewał takich wokali, takich aranżacji. Kolejne single z tej płyty – *Siedzę i myślę*, *Taka Warszawa*, *Żal mi tamtych nocy i dni*, *Dakota* – stawały się przebojami. I to nie takimi na jeden sezon. Do dziś słyszę: „Beata, jak ta muzyka nowocześnie brzmi, nic a nic się nie zestarzała”

Beata szybko pokryła się złotem. Ale spodobała się nie tylko fanom.

Długo czekałam, żeby doceniła mnie tak zwana branża. Wszyscy oczywiście wiedzieli, jak śpiewam, mieliśmy doskonałe recenzje

wielu płyt, ale żadnych nagród nie było. Dlaczego? Chyba nie ja powinnam szukać odpowiedzi.

Ale kiedy nagrałam solową płytę, niespodziewanie spadł na mnie deszcz wyróżnień. Fryderyk dla najlepszej wokalistki, muzyczna Radiowa Nagroda Roku 1998, Wiktor za osobowość estrady. Byłam dumna i szczęśliwa.



Z dwoma Fryderykami: „Wokalistka roku” oraz „Najlepsza płyta w kategorii pop” za płytę solową Beata, rok 1998.

Potem to samo spotkało płytę Bajmu *Szklanka wody*. I wiecie co? W sumie to mi wystarczyło. Tak długo wyczekiwałam dowodów uznania, że kiedy przyszły, bardzo szybko przestały być dla mnie istotne. Zrozumiałam, że ważniejszy niż nagrody jest mój kontakt z ludźmi, to, co śpiewając, mogę zrobić z ich sercami i głowami. Wychodzę na scenę i przez dwie-trzy godziny jestem w stanie utrzymać uwagę 20, 30, 40 tysięcy ludzi. I nikt nie chce wyjść. To jest magia! Dlatego mogę sobie powiedzieć: – Tak, Beata,

zapracowałaś na to. Miałaś w życiu różne chwile, wiele przeżyłaś, ale nikt ci nie zabierze tego, co osiągnęłaś.

Kiedyś oglądałam koncert Freddiego Mercury'ego i Queen. Wchodził na scenę na stadionie Wembley i zaczarowywał publiczność, bawił ją, hipnotyzował. Pomyślałam: Boże, jak bardzo chciałabym to kiedyś przeżyć! A potem przeżywałam to wielokrotnie. Jakie większe nagrody mogą spotkać artystę?

Tak, wystąpiłam nawet na Wembley. Tego dnia stadion należał do polskich artystów, ale czułam, intuicyjnie czułam, że większość publiczności czeka właśnie na mnie. Kiedy miałam już wyjść na scenę, słyszałam, głośny jak sztorm, chóralny, rytmiczny zaśpiew: Beata, Beata, Beata. A potem pojawiłam się na scenie z polską flagą w ręku i... Nie, tego się nie da opowiedzieć.




Na scenie w Opolu, rok 1998.

Teraz na koncerty przychodzi dużo młodych ludzi i dużo młodych artystów zaprasza mnie do swoich projektów. Mają do mnie szacunek – i jedni, i drudzy. Za to, co zrobiłam do tej pory. Kiedyś tak nie było i ten ich szacunek jest dla mnie istotniejszy niż statuetki.



Solowa płyta była więc spełnieniem mojego kolejnego wielkiego marzenia. Wszystko szło doskonale: wylansowaliśmy cztery wielkie przeboje, do których powstały świetne teledyski, czasami w dość ekstremalnych warunkach. Wyobraźcie sobie taką scenę: cztery wydekoltowane laski w kusych sukienkach jadą windą budowlaną po ścianie budynku, a z rusztowań przyglądają się im zupełnie zdeorientowani budowlańcy. Schodzimy na dach, jest diabelnie zimno, a my mamy nagrać sceny do teledysku *Takiej Warszawy*. W życiu tak nie zmarłam. Ale było warto.

Na tej płycie wszystko było inne, więc inna musiała być też sama Beata. Wspólnie z Ewą Pieczykolan pracowałyśmy więc nad moim nowym wizerunkiem. Bajm to – wiadomo – skóry, jeans, czerń, srebro, brokat, ostre kontrasty. A Beata solo? Ewa zaproponowała kolory. Fiolety, błękity, róże. No nie, byłam pewna, że to nie dla mnie. Ale zawierzyłam Ewie i okazało się, że jest mi w nich nawet ładnie. Polubiłam tę nową Beatę i te nowe, niepowtarzalne STYLIZACJE.



– Halo? Dobry wieczór. Z jakiej gazety? Jeśli chce pani rozmawiać ze mną o rozwodzie, tooo... O STYLIZACJACH? W końcu jakaś odmiana w tym dniu! Tak, to, w czym występuję na scenie, zawsze było dla mnie ważne. Nie chodzi tylko o artystyczne doznania publiczności. Kostiumy również budują artystyczną osobowość. Zawsze byłam odważna w podejmowaniu decyzji, mój zawód tego wymaga. Ktoś, kto stoi w miejscu, cofa się. Ja nie mam takiego zamiaru. To również oznacza, że przy pracy nad każdą płytą zastanawiałam się, jakim ubiorem i jaką fryzurą podkreślić jej charakter.

Wiem, że fani na te zmiany czekają, chcą być zaskakiwani. Ale wiem też, że moje kreacje były często krytykowane. Każdy ma prawo wyrazić swoją opinię, ale ja nie każdego muszę słuchać.

Scena rządzi się swoimi prawami. Jeśli artysta ma coś do powiedzenia, chce wyrazić swoje emocje, angażuje w to nie tylko swój talent. Stroje, odpowiednie oświetlenie sprawiają, że koncert staje się bardziej wyrazisty. Przykład? Proszę bardzo. Kiedyś, dawno temu, kiedy graliśmy trasę koncertową nad morzem, na jeden z koncertów, który miał się odbyć w pięknym amfiteatrze, nie dojechało nagłośnienie. Okazało się, że po drodze był wypadek. Na szczęście nikomu nic się nie stało. Ale sytuacja była trudna. Amfiteatr został wyprzedany do ostatniego miejsca. Organizatorzy mogli odwołać imprezę, ale wspólnie z Andrzejem zdecydowaliśmy, że Bajm zagra... akustycznie. A do tego przy świecach. Publiczność była zachwycona.



Nagranie teledysku *Nie ma wody na pustyni* w stylizacji i sukience własnego projektu, Warszawa, rok 1983.

Jeśli chodzi o moje pierwsze stylizacje, to w gruncie rzeczy... nie były to stylizacje. W tamtych czasach w sklepach były co najwyżej koszmarnie socjalistyczne ubranka, skrojone tak, żeby nikt się nie wyróżniał. A ja chciałam się wyróżniać! Pamiętam, że kiedy miałam wystąpić z Bajmem na festiwalu w Opolu, kupiłam sobie żółtą sukienkę. Miałam wtedy śpiewać *Nie ma wody na pustyni*, więc poszarpałam ją, przyszyłam jakieś kolorowe skrawki materiału i zwykła sukienka zmieniła się w oryginalny i niepowtarzalny kostium. Kiedy jednak przyjechałam do domu, mój tata zapytał: – Córeczko, czy ty nie masz pieniędzy na normalne ubrania? – To właśnie po takiej wymianie poglądów między mną a ojcem powstał tekst do piosenki *Różowa kula*.

Projektanci i styliści w moim życiu pojawili się zdecydowanie później. Współpracowałam z wieloma fachowcami, ale zawsze to ja miałam ostatnie zdanie, w czym wyjdę na scenę.

Tak samo było z projektami artystycznymi. Jestem samoukiem i mam niezwykłą intuicję. Kiedy popełniam błędy, biorę to na siebie, wyciągam wnioski i idę do przodu.

Jeśli to wszystko, to dziękuję bardzo i proszę o autoryzację.



– Uff.

– A z kim ty tak, Beti, rozmawiasz? – zapytała Kaśka.

Przyjaciółka wtargnęła do mojego pokoju i od razu wyjęła z barku dwa małe wina i orzeszki.

– Wiesz, przez tę twoją pierwszą miłość wciąż jestem głodna. Więc walniemy sobie po winku i pokażesz mi swój Lublin. Tylko, cholera, jak zawsze nie wiem, w co się ubrać. Wzięłam o dwa zestawy za mało.

– O Boże, Kaśka! Ty zawsze to samo. Jest ciepło, załóż T-shirt, jeansy i jazda – odpowiedziałam.

– Nooo taaak... Łatwo ci powiedzieć... W jeansy już nie wchodzę...

– No to zestaw drugi?

– OK, przekonałaś mnie. Ale i tak przy tobie będę wyglądała, jakbym się nigdy nie odchudzała. A przecież to nieprawda.

– Oczywiście, ale wystarczy, że ja to wiem. A teraz idź się przebierz. Za pięć minut na dole.



Mój ulubiony lubelski hotel znajduje się właściwie w samym centrum miasta, więc na Starówkę nie miałyśmy daleko.

– Beata, jestem pierwszy raz w Lublinie i tu jest tak, jak mi opowiadałaś – pięknie.

Tak, dziś trudno uwierzyć, że ta wyremontowana, wypielęgnowana Starówka jest tym samym miejscem, w którym spędziłam dzieciństwo i poznałam życie od ciemnej, cuchnącej alkoholem, przemocą i biedą strony.

Nagle usłyszałam głos:

– Dzień dobry, pani Beato, czy mogę prosić o autograf?

– No tak, właśnie się zaczęło – rzuciła rozczarowana Kaśka. – I tak można z tobą gdzieś pójść. Mówiłam ci, żebyś kupiła sobie perukę! Zobacz, ilu ludzi już się zbiera.

Chwilę później, zupełnie niespodziewanie, Kaśka wykrzyczała głośno i zdecydowanie: – Chodź, Krystyna, znowu wzięli cię za tę Kozidrak!

Myślałam, że padnę ze śmiechu. Ale musiałam się powstrzymać, żeby plan Kaśki się udał. Ludzie nie do końca byli przekonani, więc patrzyli to na mnie, to na Kaśkę. Ta wzięła mnie w końcu za rękę i szepnęła do ucha: – Spierdalamy, bo chcę jeszcze obejrzeć twoją ulicę Grodzką.

Pobiegłyśmy w stronę Bramy Krakowskiej. Sypnęłyśmy parę złotych młodej skrzypaczce, która tam grała, a widząc mnie, zmieniła repertuar i usłyszałyśmy w jej wykonaniu *Dwa serca, dwa smutki*.

– Ale to miłe, Beti – powiedziała moja wzruszona przyjaciółka. – Tutaj ludzie kochają cię w szczególny sposób.

– Kasiu, zanim pójdziemy pod moją kamienicę, zapraszam cię do kultowej restauracji Czarcia Łapa. To tu, po lekcjach w liceum, spotykałam się z Andrzejem i tu planowaliśmy naszą artystyczną przyszłość.

– O dobry Jezu! Przypomniałaś mi, jak bardzo jestem głodna.

W restauracji jak zwykle wzbudziłam ciekawość. Jednak tym razem udało się nam spokojnie usiąść przy stoliku. Kaśka radośnie wybierała i zamawiała dania, a ja jej w międzyczasie opowiadałam legendę o czarnej łapie.

– Kiedyś w Lublinie sądzono pewną wdowę. Skorumpowani sędziowie bardzo chcieli ją skazać, bo tak chciał pewien bogaty magnat. Kobieta wzniosła wtedy ręce do wiszącego na ścianie krzyża i krzyknęła, że gdyby czarci tu sądzili, wydaliby sprawiedliwszy wyrok. No i zjawili się czarci, i osądzili sprawiedliwie kobietę, a Chrystus na krzyżu ze wstydu aż się odwrócił, kiedy zobaczył, że diabeł z koleżkami są wierniejsi prawu niż ci, którzy sądzą w Jego imieniu. A czart na pamiątkę odcisnął na stole, za którym usiadł jako sędzia, swoją czarną łapę.

– Niesamowita historia! – entuzjazmowała się Kaśka. – Następnym razem, jak będziemy w Lublinie, muszę odwiedzić muzeum i zobaczyć ten stół z odcisniętą czarcią łapą.

Kaśka zamyśliła się, zamilkła, ale tylko na chwilę.

– Beata, jakaś kobieta bardzo ci się przygląda – szepnęła, pochylając się nad blatem. – Siedzi tam, przy oknie.

Spojrzałam w tamtą stronę i oniemiałam. Dostrzegłam siedzącą przy stoliku moją nauczycielkę muzyki, jeszcze ze szkoły podstawowej.

– Beti, to niesamowite! Co się jeszcze wydarzy w tym dniu?!

Podeszłam do mojej nauczycielki, przywitałam się ciepło i zaprosiłam do naszego stolika. Zaczęłyśmy wspominać, a było co. To właśnie ona pierwsza odkryła mój talent wokalny.

– A pamiętasz, Beatko, jak zabrałam cię na szkolny turniej młodych talentów? Miałaś wtedy osiem lat, a zaśpiewałaś tak, że jurorzy nie uwierzyli, że nie śpiewałaś z playbacku. Dlatego nie przyznali ci nagrody. A przecież powinnaś zdobyć główną.

– Tak, pani Joanno, pamiętam. I pamiętam, że było mi bardzo przykro. Byłam jeszcze małym dzieckiem, zupełnie nie rozumiałam tej sytuacji. Zawsze na swoich lekcjach mówiła pani, i to przy całej klasie, że z takim głosem mogę już śpiewać na scenie, ale gdybym chciała pójść w kierunku opery, musiałabym się jeszcze uczyć. Zapamiętałam to. To było ogromne wsparcie. Dziękuję.

Po lekcjach muzyki zawsze czułam się wyjątkowo. Nie tak jak na języku polskim, zwłaszcza kiedy pisaliśmy dyktando. Zdarzało mi się mnóstwo błędów, a moim rekordem był wyraz „jabłko”, w którym zrobiłam dwa byki. Napisałam „jabólko”. Oczywiście dostałam lufę z całego dyktanda, ale przez jakiś czas moja rodzina miała z mojego „jabólka” niezłą rozrywkę. Pamiętam, że kiedy zapowiadano nam dyktando, to albo symulowałam chorobę, żeby nie pójść do szkoły, albo z nerwów dostawałam rozwolnienia.

– Ja też w szkole miałam parcie na mikrofon – wtrąciła Kaśka. – I nawet zapisałam się do chóru, a potem do zespołu wokalnego. Jednak zawsze stałam na końcu i jako jedyna nie śpiewałam solówek. Zapytałam mamy, dlaczego nauczycielka nie daje mi szansy? Moja mama odpowiedziała: córeczko, bo ty lepiej tańczysz.

– Dobrze, moje drogie – ucięła nagle moja nauczycielka. – Pewnie mogłybyśmy długo tak wspominać, ale na mnie już czas.

Uściskałyśmy się serdecznie, a ja dzięki temu niezwykłemu spotkaniu powróciłam do świata dzieciństwa. Moja przyjaciółka dostała zamówione, w końcu solidne danie. Ja poprosiłam tylko o SZKLANKĘ WODY.



Po sukcesie mojej solowej płyty przyszedł czas na *SZKLANKĘ WODY*. Nie dla otrzeźwienia. Przeciwnie, czułam, że jestem na fali, czas więc na nową płytę Bajmu. Zanim zaczęliśmy ją nagrywać, pożegnaliśmy Tomka Spodyniuka. Potrzebowaliśmy więc nowego klawiszowca. Okazało się jednak, że zmiana w zespole była znacznie większa, niż zakładaliśmy. Oto w składzie grupy, po ponad dwudziestu latach jej istnienia, pojawiła się pierwsza oprócz mnie – no i chórków – kobieta. Zaprosiliśmy do współpracy piękną i bardzo zdolną keyboardzistkę, Marię Dobrzańską. Od razu się zaprzyjaźniłyśmy. Ale przyjaźń przyjaźnią, a tu jest praca do zrobienia. Maria okazała się jednak szalenie pracowita: kończyła jeszcze studia muzyczne, a jednocześnie przygotowywała się do grania na koncertach repertuaru Bajmu. Do tego wspólnie z pozostałymi muzykami rozpoczęła próby przed nagraniem nowego materiału.



Z Marią Dobrzańską, rok 2000.

Ze wszystkim sobie świetnie poradziła, a na dodatek zaproponowała kilka ciekawych kompozycji, które wykorzystaliśmy na kolejnej płycie.



Kiedy w końcu weszliśmy do studia, atmosfera była fantastyczna. Znów – inaczej niż przy nagraniu mojej solowej płyty – zapanował między nami demokratyczny duch. Pracowaliśmy wspólnie, byliśmy otwarci na propozycje każdego z członków zespołu. Czasami chodziło o całą piosenkę, czasami o detal, który zmieniał charakter i „kolor” utworu.

W wypadku albumów Bajmu niemal zawsze tak było: najpierw zbieraliśmy pomysły, które tworzyły szkic nowej płyty. Potem zaczynała się żmudna praca, żeby ten szkic zmienił się w piękną, jak najdoskonalszą kompozycję. Ale najpierw musiał pojawić się jeden utwór, jakaś szczególna piosenka czy pomysł na nią, który sprawiał, że czułam i myślałam: mamy to. W tym wypadku Piotr Bielecki zagrał mi melodię tak piękną, że po prostu musiałam wejść do studia, żeby ją nagrać. Ta melodia zmieniła się później w tytułową piosenkę, w *Szklankę wody*. Pamiętacie jej tekst?



Szklanka wody
Nim przestaniesz brać
Obiecałeś sobie
To był ostatni raz
Spojrzysz matce w oczy
Całkiem wolny tak
Ołowianą chmurę
Pokonałeś sam
Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie obchodzi mnie
Jak na imię masz
Nie obiecuję ci, że lepszy będzie świat
Ważny jest
Oczu twoich blask
Nie obiecuję ci, że czas ukoji ból
Ważne, że
Jesteś tu
Słuchasz, kiedy śpiewam
Jesteś blisko mnie
Gdy ci podam rękę
Musiś wiedzieć, że
Nic już nie jest ważne
Nic już nie jest snem

Spróbuj mi uwierzyć
Życie piękne jest.



Napisałam te słowa zainspirowana prawdziwą historią. Kiedyś po koncercie przyszedł do mojej garderoby po autograf młody chłopak. Kiedy podawał mi kartkę, zauważyłam na jego nadgarstku ślady po igłach. Zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedział mi historię swojego uzależnienia i walki z nałogiem. Był wdzięczny, że chcę słuchać o jego problemach, bo wychowywał się w patologicznej rodzinie i nie miał komu się zwierzać. To było trudne dla mnie doświadczenie, zwłaszcza że chłopak był w wieku mojej starszej córki. Ale jego opowieść głęboko we mnie zapadła. Musiałam coś z nią zrobić. Musiał powstać tekst...

Później dostałam dużo listów od matek. Pisały, że dzięki nagłośnieniu tematu narkomanii w *Szkłance wody* mogły pomóc swoim synom i córkom w walce z nałogiem.



Wiele było niezwykłych historii związanych z powstawaniem utworów z tego krążka i tym, jak były odbierane przez słuchaczy. To dowód na to, że nawet taka mała forma literacka – po prostu piosenka – może bardzo wiele. Chociażby wzmocnić w nas, kobietach, poczucie własnej wartości. To właśnie chciałam przekazać w piosence *Jak kobieta*.



Zrób tak jak kobieta
Jak ta piękna

Co jej plakat wisiał tu
Bo on już nie czeka
Twój głos przez telefon
Mógłby stopić
Najgrubszy nawet lód
Wiem, ja wiem
Jak czujesz się
Ale uwierz mi że
Nigdy nie było tak
Zupełnie źle
Wrzuć małą czarną i
Gdzieś wyrwiemy się
Zrób tak jak kobieta
Ta z okładki
Co każdego może mieć
Tamten facet
Nie był godny twoich ust
Ani twoich łez...



Pisałam tę piosenkę w poczuciu, że chcę się dzielić własnym doświadczeniem. Doświadczeniem kobiety, która raz za razem spełniała swoje marzenia, czuła i akceptowała swoją kobiecość, która potrafiła rozwiązywać swoje problemy zamiast zamykać się w sobie i odgrywać męczennicę. Świat stoi przed nami otworem, tylko nie wolno nam się bać sięgać po to, czego pragniemy. To wciąż bardzo aktualne przesłanie.

Inne piosenki z tej płyty nie miały jednak tak optymistycznej treści. Chociażby *Plama na ścianie*, jeden z najsmutniejszych i najbardziej mrocznych tekstów, jakie kiedykolwiek napisałam:



Nienawiść to jest serca trwoga
Gdy nie czuję nic
Odwaga, aby z tym jakoś żyć
Bo kiedy się zmienia serce z kamienia
W najczulszy skarb
To tak jakby człowiek
Wychodząc z cienia
Zobaczył blask
Otulam się różową kołdrą
Myślę, o czym chcę Co będzie jutro, chyba już wiem
Twoje i moje czasu powoje
Praca i sen
Ludzie, dla których nigdy nie będę
Taka, jak chcę
Kiedy się stanę plamą na ścianie
Nie myśl o mnie źle
Życie to tylko chwila, kochanie
Nie zatrzymasz jej Kiedy już wszędzie mało mnie będzie
Musisz wiedzieć, że
By przeżyć taką chwilę, warto czekać wiek
Kiedy się stanę plamą na ścianie
Nie myśl o mnie źle
Życie to tylko chwila, kochanie
Nie zatrzymasz jej
Kiedy już wszędzie mało mnie będzie
Musisz wiedzieć, że
By przeżyć taką chwilę, warto czekać wiek
Kiedy już wszędzie mało mnie będzie
Musisz wiedzieć, że
By przeżyć tę chwilę, warto czekać wiek.



Ten tekst opowiadający o doświadczeniu depresji napisałam w ciągu jednej nocy, pod wpływem opowieści Adama Dratha

na temat jego rodzinnych przeżyć. To zresztą Adam skomponował tę piosenkę. Ale – znów – w *Plamie na ścianie* odnalazło się znacznie więcej kobiet, które pogrążyły się w trudnych emocjach. Szczególnie ważna *Plama* okazała się dla pewnej kobiety, dla której życie przestało mieć sens. Była gotowa ze sobą skończyć. Ale zdecydowała się na pewien zakład z losem. Słuchając radia, pomyślała, że jeśli za chwilę usłyszy *Plamę na ścianie*, zrezygnuje z tragicznej decyzji o samobójstwie.

Całe szczęście, piosenka została wyemitowana.

Historię tę opowiedziała mi córka tamtej kobiety. Zaprosiłam obie na koncert. Potem długo rozmawiałyśmy, doskonale się rozumiejąc. Jeszcze przez długi czas utrzymywałyśmy ze sobą kontakt.



W tym czasie mój dzień wyglądał tak: wracaliśmy nad ranem z weekendowych koncertów, wstawałam przed wszystkimi, robiłam śniadanie, budziłam Agatę i odwoziłam ją do szkoły. Między gotowaniem a zajmowaniem się domem pisałam teksty. A między nagrywaniem wokalu i miksowaniem piosenek pomagałam córce pisać wypracowania. Zazwyczaj lądowałyśmy na trójkach. Chyba za bardzo odjeżdżałam od głównego tematu... Podobnie było z moimi wywiadami: gdy kończyłam wątek, to już nie pamiętałam, od czego go zaczęłam...

Praca nad *Szklanką wody* okazała się niezwykle wyczerpująca. Do tego stopnia, że przeżyłam poważną zapaść zdrowotną. Nic dziwnego: litry kawy, praca po dwanaście godzin dziennie, bezsenność po intensywnych dniach. Kryzys przyszedł po nagraniu *Wyspy bezludnej*. Byłam wykończona, ale Andrzej namawiał: – Wytrzymaj jeszcze trochę, pociągnij wyżej, mocniej!

To był nie lada wysiłek, żeby wyśpiewać wszystkie niuanse tego utworu. Więc kiedy późnym wieczorem dotarliśmy do domu, zrobiło mi się potwornie słabo. Wezwaliśmy pogotowie. Okazało się, że moje ciśnienie szaleje: rośnie do niebezpiecznego pułapu. Lekarz zbił mi je lekami i zapytał, czy przeżywałam w swoim życiu jakieś poważniejsze stresy.

Popatrzyłam na niego zdumiona, po czym zaczęłam się śmiać: – Stresy? Oczywiście w żadnym wypadku!

Lekarz wyczuł ironię w moim głosie. Pokiwał głową, zrozumiał.

Całe szczęście nie musiałam jechać do szpitala. Ale potraktowałam to ostrzeżenie od mojego ciała bardzo poważnie.



Kompozycje Adama Dratha, Piotрка Bieleckiego, Jarosława Pruszkowskiego, Adama Abramka i Pawła Sota ze *Szklanki wody* stały się hitami. Płyta była wielokrotnie nagradzana i stała się wielkim sukcesem komercyjnym. Kiedy zaczynało się nowe tysiąclecie, zespół Bajm znowu był na szczycie.

Tłumy ludzi na koncertach, wyprzedane sale. Żeby dojechać naszym busem na miejsce, często musiała eskortować nas policja. Największe wzruszenie przeżywałam, śpiewając tytułową piosenkę. Na dużych koncertach tuż pod sceną jest zawsze wydzielone miejsce dla fanów niepełnosprawnych i ich opiekunów. Kiedy zaczęłam śpiewać: *Nie obiecuję ci, że lepszy będzie świat, ważny jest oczu twoich blask...*, zobaczyłam łzy w ich oczach. Sama nie mogłam się opanować. Zrozumiałam, że mój tekst jest uniwersalny, że ból, o którym śpiewam, nie dotyczy tylko narkomanów i ich rodzin.

I tym razem chciałam, żeby moje stylizacje podkreślały charakter nowej płyty. Z Ewą Pieczykolan, która projektowała kostiumy, inspirowaliśmy się barwną, hippisowską modą. Poszerzane rękawy, spodnie dzwony, odważne kolory – niektóre nawet po raz pierwszy miałam na sobie. Myślałam: – Czy to się sprawdzi? Czy dobrze będę w tym wyglądać?

Jednak już okładowa sesja zdjęciowa pokazała, że wybór był trafny.



Do piosenek ze *Szklanki wody* powstały trzy teledyski. Jeden z nich, do utworu *Modlitwa o złoty deszcz*, był realizowany w hali, w której wcześniej działała fabryka lakierów. Żeby uzyskać efekt spowolnienia w obrazie, nagrywałam wokal w przyspieszonym tempie. Pomysł był tak zaskakujący, że przez pół godziny nie mogłam opanować śmiechu. Tym bardziej że w powietrzu wciąż unosiły się opary i czuliśmy się jak na haju. Ale pod koniec zdjęć o mało nie doszło do tragedii.

Nagrywaliśmy ujęcie na tle kadzi, które miały wybuchnąć żywym ogniem. Byłam już bardzo zmęczona, więc kiedy nastąpiła eksplozja, uciekałam zbyt wolno. Naprawdę mało brakowało...

Koniec zdjęć przyjęliśmy z wielką ulgą. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy wychodząc z hali, zobaczyliśmy wieczór – to znaczy myśleliśmy, że jest wieczór, a była to piąta rano! Pracowaliśmy na planie całą noc.



Na planie teledysku Modlitwa o złoty deszcz, fabryka lakierów, rok 2000.



Zainteresowanie zespołem było w tamtym czasie tak duże, że staliśmy się gośćmi we własnym domu. Graliśmy bardzo dużo koncertów, więc Andrzej podjął decyzję o zatrudnieniu road menedżera. Została nim Ola Barchanowska. Potem zastąpiła ją Ewa Tutka. Od dzieciństwa była moją fanką. W 1983 roku kupiła sobie pierwszą kasetę Bajmu i ma ją do dziś – podobno wciąż gra. Poznałam Ewę jako dyrektorkę programową Radia Złote Przeboje w Lublinie. Współpracowaliśmy przy wspaniałych projektach charytatywnych. Potem Ewa zaczęła bywać w naszym domu i z tych spotkań wyłonił się pomysł biografii Bajmu. Wydaliśmy

ją wspólnie w 2012 roku, na 35-lecie zespołu. W tym czasie Ewa była już członkiem naszej ekipy. Stałyśmy się sobie bardzo bliskie. Kiedyś opowiedziała mi swoją miłosną historię. Byłam nią tak głęboko poruszona, że postanowiłam zmienić ją w tekst. Tak powstała *Krótką historia*, premierowy utwór na naszym wydanym kilka lat później albumie *Ballady 2*.



To taka krótka historia, mogłam napisać jej
Kolejną część
W jego czułych ramionach, szybko przychodził sen
Nie wierzyłam, kiedy mówił, że kocha mnie
Myślałam, zgubi mnie w tłumie, zdradzi z tobą
Lub z nią za jakiś czas
Żadna z was nie zrozumie, jaki poczułam strach
Bałam się miłości, którą on chciał mi dać
Powiedziałam coś głupiego i
Jak mogłam tak powiedzieć mu
Gdyby tylko teraz wiedział, jak jest mi źle
Jak mogłam nie zatrzymać słów
I pozwolić tak po prostu, by odejść mógł
Macie racje, że mną chyba jest coś nie tak
Moja codzienność mnie zmienia
Sama nie wiem już, czy potrafię żyć
Ukrywam w sobie marzenia
Dobrze wiedząc, że żadne z nich
Beze mnie nigdy nie spełni się
Jak mogłam tak powiedzieć mu
Gdyby tylko teraz wiedział, jak jest mi źle
Jak mogłam nie zatrzymać słów
I pozwolić tak po prostu by odejść mógł
Teraz, kiedy jestem z wami tu
Czuję siłę swoich słów

Może los da mi szansę znów
Jak mogłam tak powiedzieć mu
Gdyby tylko teraz wiedział, jak jest mi źle
Jak mogłam nie zatrzymać słów
I pozwolić tak po prostu, by odejść mógł
Jak mogłam tak powiedzieć mu
Gdyby tylko teraz wiedział, jak jest mi źle
Jak mogłam tak powiedzieć mu
I pozwolić tak po prostu, by odejść mógł...



Teledysk do tej piosenki nagrywaliśmy w teatrze Osterwy w Lublinie. Ewa przyglądała się temu z ostatnich rzędów widowni. Ale kiedy zaczęłam śpiewać, nie wierzyła własnym uszom. Zmieniła rząd, potem jeszcze raz i jeszcze raz – była coraz bliżej sceny. Kiedy skończyłam, Ewa miała łzy w oczach. Nie miała pojęcia, co robiłam z jej opowieścią.



Wciąż byliśmy w trasie, niemal codziennie w innym hotelu. Czasami, budząc się w nocy, żeby skorzystać z toalety, nie mogłam jej zlokalizować, więc przypadkowo otwierałam drzwi na korytarz. Kiedy się budziłam, z trudem docierała do mnie informacja, w jakim jestem mieście. W końcu się zdarzyło, że na koncercie, witając publiczność, pomyliłam miasta. Rozległy się gwizdy. Było mi wstyd. Przeprosiłam, mówiąc, że jestem w trasie, w kołowrocie, codziennie inne miasto i że za Boga nie chciałam nikogo obrazić. Sytuacja się uspokoiła, a ja wiedziałam, że muszę na tym koncercie dać z siebie wszystko albo jeszcze więcej, żeby zrekompensować tę nieszczęsną pomyłkę.



W tamtym czasie dostałam propozycję zaśpiewania piosenki do filmu *W pustyni i w puszczy*. I to była fantastyczna wiadomość. Do tej pory moje doświadczenia filmowe nie były zbyt zachęcające. Z grania i śpiewania w *Panu Kleksie w kosmosie* zapamiętałam tyle, że musiałam być na planie o szóstej rano, umalowana, uczesana, a potem czekałam kilka godzin, żeby zaśpiewać jedną piosenkę! Pomyślałam sobie wtedy: jak to dobrze, że nie jestem aktorką! Zwariowałabym, czekając tyle na swoje wejście. Przez ten czas zagrałabym już ze trzy koncerty!



Premiera filmu *W pustyni i w puszczy* oraz odebranie Złotej Płyty za tytułowy utwór, Teatr Wielki, rok 2001. Od lewej: Waldemar Dziki, Krzesimir Dębski, Anna Jurkaszowicz i ja z Agatką.

Tym razem nie musiałam występować. Krzesimir Dębski stworzył piękną muzykę, słowa napisał Jacek Skubikowski. Chociaż mogłam w tekście dokonać poprawek, uważałam, że jest idealny. Popłynęłam wokalnie w studiu S4 w Warszawie przy wtórze prawdziwego afrykańskiego chóru. To była piękna przygoda, która pokryła się platyną, a piosenka stała się wielkim hitem, kojarzonym i wykonywanym przez Bajm.

Nie przypuszczałam, że piosenka poszerzy grono moich fanów o... dzieci. Ale okazało się, że kiedy przychodziłam do szkoły mojej ośmioletniej córki Agatki, rozdawałam autografy. Nawet młodszym od niej dzieciom.



W 2001 roku bardzo mocno przeżyłam upadek dwóch wież World Trade Center. Czułam, że zdarzyło się coś ważnego, że skończył się świat, jaki znałam do tej pory. Kiedy w 2002 roku wyruszyliśmy na trasę koncertową po USA, oczywiście pojechaliśmy zobaczyć, jak wygląda Ground Zero. To był przygnębiający widok. Ogromna wyrwa, dziura po życiu. Jednak ludzie w Nowym Jorku byli fantastyczni – mogłoby się здаwać, że po takiej tragedii zasklepią się, będą żyć życiem pełnym urazy i żalu, coraz bardziej zamknięci. Ale okazało się, że jest zupełnie inaczej. Zastałam miasto pełne życia, pełne przyjaznych, otwartych ludzi. Ameryka nie poddała się żałobie i złym emocjom. Przynajmniej przez jakiś czas...



Tym razem poleciałam do Ameryki z obydwoma moimi córkami, Agatą i Kasią. Pierwszy raz wszystkie razem! Agata już wtedy

interesowała się modą, więc szalałyśmy po sklepach wspólnie z Marysią Dobrzańską, która wydała na zakupy prawie całą wypłatę. Moja córka była zafascynowana różnorodnością strojów, więc donosiła nam do przymierzalni coraz to nowe ciuchy. Skutek był taki, że musiałam dokupić dwie walizki.

Po powrocie do kraju Maria poprosiła mnie o spotkanie w studiu. Zagrała mi kilka pięknych kompozycji. Pomyślałam, że to wspaniały punkt wyjścia, że jako zespół możemy pójść za ciosem i nagrać kolejną płytę. Zapytałam moich muzyków, czy mają jakieś nowe pomysły muzyczne, nad którymi moglibyśmy wspólnie popracować. Okazało się, że tak, mają. Więc znowu byłam kapitanem na statku o nazwie Bajm szykującym się na nową muzyczną podróż.

Znów przy tworzeniu towarzyszyły mi niezwykle silne emocje. Najpierw powstawały nowe melodie, potem słowa i aranżacje, czyli piękne opakowania piosenek. Kolejny etap to nagrania i wielka niepewność, czy nasze nowe utwory spodobają się słuchaczom.

To jest jak hazard, ale kocham ten stan odwagi i niepewności. To moim zdaniem jedyne zdrowe uzależnienie.



Myśli i słowa – taki był tytuł dziewiątego albumu Bajmu, który ukazał się w sierpniu 2003 roku i już w dniu premiery stał się platynową płytą. Był to też tytuł piosenki, która okazała się jednym z naszych największych przebojów:



Kocham cię, uciekają myśli złe

Zamiast róż magia słów
Kocham cię, czasem zapominam, że
Tylko to liczy się
Widziałam w twoich oczach tamten blask
Kiedy mówiłeś kocham pierwszy raz
Myśli i słowa, by znowu budować nowy dzień, nowy, nowy
dzień
Wichry i burze, to wszystko, by znów wiedzieć, że
Kocham cię, nasza miłość zmienia się
Tak jak my, z każdym dniem
Tak bardzo kocham cię i wierzę w każde słowo twe
Gdy jesteś tuż obok mnie
Widziałam w twoich oczach tamten blask
Kiedy mówiłeś kocham pierwszy raz...



Po raz pierwszy zagraliśmy tę piosenkę na festiwalu w Opolu. Publiczność nie znała jej, ale spodobała się tak bardzo, że musieliśmy dwukrotnie bisować, chociaż bisy były ściśle zabronione. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Marek Sierocki, kierownik artystyczny festiwalu, był mega zestresowany, a ja, symbol niepokory, uległam skandującej i domagającej się bisu publiczności. Jako jedni z nielicznych artystów graliśmy na żywo, więc nie było problemu, żeby piosenkę powtórzyć.

Tak, kiedy jestem na scenie, to ja na niej rządzę! Nie ma wyjątków, nie ma innych zasad!



Nagrywanie nowej płyty w warszawskim Studiu S4, rok 2003.

Znowu poczułam pocałunek Boga i byłam pewna, że utwór stanie się przebojem. To jest właśnie taki moment nagrody, czasami za rok twórczej pracy w studiu, rok nieprzespanych nocy, kiedy w głowie powstają teksty, obrazy, wizje do teledysków. Budzisz się nad ranem i nie możesz już zasnąć. To jest jak amok. A kiedy śpiewam nikomu jeszcze nieznaną piosenkę, a publiczność ją akceptuje i domaga się powtórki, to już nie ma dla mnie nic

ważniejszego, nic cenniejszego. Scena to magia i czy stoi na niej muzyk, czy aktor, widzowie wchodzi w wykreowany przez niego, fascynujący świat, żeby zapomnieć chociaż na chwilę o swoich problemach.

Nikt, żadna władza nie może odebrać artystom twórczej wolności. Bo jaki byłby świat bez tych niepokornych dusz, bez ich słów, bez ich muzyki. Muzyka pojawia się w naszym życiu od chwili, kiedy przychodzimy na świat, to po melodii głosu rozpoznajemy nasze matki, chociaż jeszcze nie wiemy, co do nas mówią, i o czym opowiada pierwsza kołysanka, którą nam śpiewają. Muzyka towarzyszy nam, kiedy odchodzimy z tego świata... Jest jak przyjaciel, który nigdy nie zawiedzie. Ani w trudnej, ani w najszcześniejszej CHWILI życia.



Po raz kolejny na scenie w Opolu, rok 2003.

Nie odnajdzie więcej nas ta sama CHWILA... nie odnajdzie... – słyszę w słuchawce własną piosenkę. A potem głos Kaśki:

– Halo, Beti! Ty mnie prześladowasz, dziewczyno! Wchodzę do taxi, a tu kto mnie wita? Ledwo się pożegnaliśmy, a ja znowu cię słyszę w radiu. Chyba musisz już za mną tęsknić, co?

– Jasne, że tak – odpowiedziałam radośnie. – Każdy dzień bez ciebie jest dniem straconym. Ale za ten dzisiejszy dziękuję ci szczególnie. Nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradziła.

– Tak, to był wyjątkowy dzień – stwierdziła Kaśka.

– A tyle się w nim wydarzyło, że można by na jego podstawie stworzyć scenariusz filmowy – dorzuciłam. – Ty byś mnie zagrała najlepiej, masz prawdziwy talent aktorski. Ja bym zaśpiewała ścieżkę dźwiękową. A potem kroczymy po nagrody po czerwonym dywanie w kieckach po dwadzieścia tysięcy każda. Już to widzę oczami wyobraźni.

– Generalnie się zgadzam, Beata, ale... muszę schudnąć, żeby zmieścić się w taką mega kieckę. No to mamy co robić. Jak wrócę, kupię najlepszy sprzęt do ćwiczeń, bo strój już mam. A propos stroju, to powiedz, Beti, czy już się szykujesz na porozwodową imprezę?

– Jasne. Wkładam właśnie seksowną małą czarną. Do tego mam buty za kolana. Włosy rozpuszczę, niech też będą wolne.

– Jak ja cię, Beti, za to kocham!

– Masz to u mnie! A ty proszę, ucałuj swoją mamę i powiedz jej, że wszystko będzie dobrze. W szpitalu ma dobrą opiekę, dzwoniłam, do kogo trzeba.

– Dziękuję. Baw się za nas dwie. Pamiętaj: zawsze bądź sobą i zarażaj ludzi dobrą ENERGIĄ!



Takiej pozytywnej ENERGII zabrakło mi przy pracy nad moją drugą solową płytą, *Teraz płynę*, która ukazała się pod koniec 2005 roku. Chociaż bardzo się cieszyłam, kiedy zaczęliśmy nad nią pracować – znów we współpracy z Adamem Abramkiem i Pawłem Sotem. Do tego zaprosiliśmy amerykańskich muzyków jazzowych, a wokale i zgranie całości ponownie miało się odbyć w Danii, w studiu PUK. To było dla mnie następne nowe doświadczenie, ale ponieważ w moim małżeństwie coraz więcej było już chłodu, a coraz mniej ciepła i nadziei, teksty, które pisałam, cóż, nie były zbyt optymistyczne.



Niech już nie dzieli nas
Kamienna twarz
Bo jeśli kochasz mnie
Powiedz mi to, powiedz
Wiem, że nigdzie
Nigdzie już nie znajdziesz
Takiej drugiej jak ja
Wiem, że nigdzie
W żadnej nie odnajdziesz
Tego co mogę ci dać
Co ci mogę dać...





Sesja do płyty *Teraz płynę*.

Jeśli chodzi o nadzieję, to jadąc do Danii i znów mijając monotonne wiejskie krajobrazy, liczyłam, że uda nam się osiągnąć brzmienie porównywalne do tego z mojej pierwszej solowej płyty. Jednak już od pierwszego dnia byłam bardzo zawiedziona. To już nie było to samo miejsce, do tego, jeśli chodzi o wyposażenie, odbiegało teraz nawet od niektórych studiów w Polsce. Nic dziwnego, że atmosfera podczas nagrań nie była dobra.

Któregoś dnia stałam przed mikrofonem i nagrywałam piosenkę pod wiele mówiącym tytułem *Miłość jak lód*.



Słońce pozwala mi
Kochać ciebie
Tak jak dawniej
Wieczór zamyka mi
Przed tobą
Wszystkie drzwi
Myślę, co będzie dalej
Znam ten nagły chłód
Gubi mnie znów
Miłość jak lód
Choć wierzyłam, że
Dzięki tobie zmienię się
Nigdy
Nigdy
Nigdy już nie pytaj mnie
Czy mogłam bardziej kochać cię...



Nagle zadzwonił telefon Andrzeja. Czułam, że usłyszał bardzo złą wiadomość. Ale nie spodziewałam się, że aż tak złą.

Umarła jego mama, wspaniała, kochana kobieta, która tak bardzo nam pomagała i na którą zawsze mogliśmy liczyć.

Przerwaliśmy nagrania. Wróciliśmy do Polski, żeby zająć się pogrzebem, a ja do dziś nie jestem w stanie słuchać *Miłości jak lodu*.



Nim ponownie weszłam do studia, nim nowa płyta Bajmu ujrzała światło dzienne, minęło siedem bardzo trudnych lat. To nie był przypadek, że bohaterką tej płyty stała się...

Nigdy, nawet będąc małolatą, nie miałam parcia, żeby kochać się w artystach, zespołach, zbierać zdjęcia, autografy. Za to zawsze uwielbiałam czytać biografie znanych i sławnych osób. Żadne nie zrobiły jednak na mnie aż tak dużego wrażenia jak książki poświęcone Marilyn Monroe. Przeczytałam chyba wszystko, co zostało o niej napisane.

Oczywiście, zafascynowała mnie – jak chyba miliony ludzi na całym świecie – jej uroda, ale ogromne wrażenie robiły też na mnie jej osobowość, charakter i ambicja. Tak, stała się symbolem seksu, ale była przecież bardzo inteligentną, samoświadomą, czytaną i przede wszystkim wrażliwą kobietą, która nienawidziła tego, jak bardzo się ją uprzedmiotawia. Stąd samotność, szukanie oparcia w nieudanych związkach, alkoholu i proszkach na sen.

To dlatego właśnie Marilyn stała się inspiracją dla moich tekstów do nowej płyty. Znów miałam dużo do powiedzenia, chciałam to wszystko z siebie wydobyć, opisać, wyśpiewać.

Zaczęło się od *Blondynki*.



Niespełniony sen, błękit w twoich oczach
Dostał to, co tak pokochał świat
Podarował ci kilka boskich nocy
Tylko po to, by odebrać raj
Chodź
Daj rękę, bo widziałaś już ten film
Ta blondynka grała w nim
Trzy godziny snu

Witaj, nowy dniu
Żadna miłość nie jest lekiem na twój ból
Trzy kieliszki łez tak, by poczuć mocniej
Z jakich składa się słów najtrudniejsza z ról
Nie chciał widzieć, jak zmienia cię ten płomień
Gdy otaczał cię spragniony tłum
Każdy facet chciał tulić cię w ramionach
Żaden nie rozumiał twoich słów
Chodź
Daj rękę, bo widziałaś już ten film
Ta blondynka grała w nim
Trzy godziny snu
Witaj, nowy dniu
Żadna miłość nie jest lekiem na twój ból
Trzy kieliszki łez tak, by poczuć mocniej
Z jakich składa się słów najtrudniejsza z ról
Jej ostatni film, do zagrania w nim najtrudniejsza z ról
Życie tak jak film, szczęścia parę chwil, najtrudniejsza z ról

”

Ona chciała być kochana przez jednego mężczyznę, ale była kochana przez miliony. Chciała mieć rodzinę, dzieci, ale była zbyt sławna, zbyt pożądana przez świat, żeby normalny facet to wytrzymał bez pogrążania się w chorobliwej zazdrości. To doświadczenie jeszcze bardziej zbliżyło mnie do Marilyn. W tym czasie zaczęłam myśleć, że w moim życiu przyszedł czas na zmiany.

Tymczasem mój mąż swoją zazdrością sięgał wyżej i wyżej. Więc zapytałam sama siebie, czy to, co mam, już mi wystarczy:

”

Czy to, co mam, to, co mam
Już mi wystarczy

To nic, że zakpił ze mnie los
Bo to, co mam, to, co mam
Tak wiele znaczy
Już nie wypuszczę szczęścia z rąk
Dziś wiem, nie spalę twoich zdjęć
Już wiem, nie wszystko spełnia się
Góra – dół, pieprz i sól
Smakuje świat od nowa
Letni wiatr
Malin grad, o tak
Kruchy lód, gorycz, miód
Smakuje świat od nowa
Mapę zmian w sercu mam bez plam
A to, co mam, to, co mam
Bezpieczna przystań
Szuflada przypraw, magii moc
Bo to, co mam, to, co mam
To chłodna wyspa
Czekam na kilka ciepłych barw
Dziś wiem, nie spalę twoich zdjęć
Już wiem, nie wszystko spełnia się
Góra – dół, pieprz i sól
Smakuje świat od nowa
Letni wiatr
Malin grad, o tak
Kruchy lód, gorycz, miód
Smakuje świat od nowa
Mapę zmian w sercu mam bez plam
Góra – dół, pieprz i sól
Smakuje świat od nowa
Letni wiatr
Malin grad, o tak
Kruchy lód, gorycz, miód
Odważnie chcę spróbować
Mapę zmian w sercu mam bez plam
W sercu mam.

”

Zostałam sama z całą produkcją. Andrzej przyjeżdżał do Warszawy coraz rzadziej. Wpadał do studia, słuchał nowych piosenek i wracał do Lublina. Miałam wrażenie, że nic mu się nie podoba.

Po kilku latach dowiedziałam się, że był zazdrosny o producenta *Blondynki*, którego zresztą zatrudniliśmy razem. Był przekonany, że teksty na płytę napisałam pod jego wpływem. Prawdą było tylko to, że wiele tekstów z tej płyty opisywało nastrój, w jakim byłam w tamtym czasie.

”

Letni wieczór, pusta plaża i dom
Jakbyś przeczuł, stało się to
Przyjacielu, gdybyś przy mnie tu był
Coś miłego mógłbyś szeptać mi
Moja wyobraźnia nie pozwala mi już
Skupiać się na sprawach prostych jak drut
Nieoczekiwanie myśli gubią swój bieg
To, co kocham, powiedz, gdzie to jest
Może daleko stąd
Może blisko mych rąk
Świecą gwiazdy, a ja życie składam od nowa
Delikatnie jak domek z kart
Letni wieczór, nieodporna na ból
Słodkie wino stawiam na stół
Jutro powiem dzieciom, ukrywając twój grzech
Że musiałeś stąd wyjechać gdzieś...

”

Na albumie, który ukazał się w marcu 2012 roku, ostatecznie znalazło się jedenaście piosenek. Dziesięć pierwszych zostało zaaranżowanych w rockowym stylu. Ale płytę zamykała piękna, skomponowana przez Marię Dobrzańską ballada, którą nagraliśmy z towarzyszeniem orkiestry. Nosiała tytuł *Zostań dla mnie*.



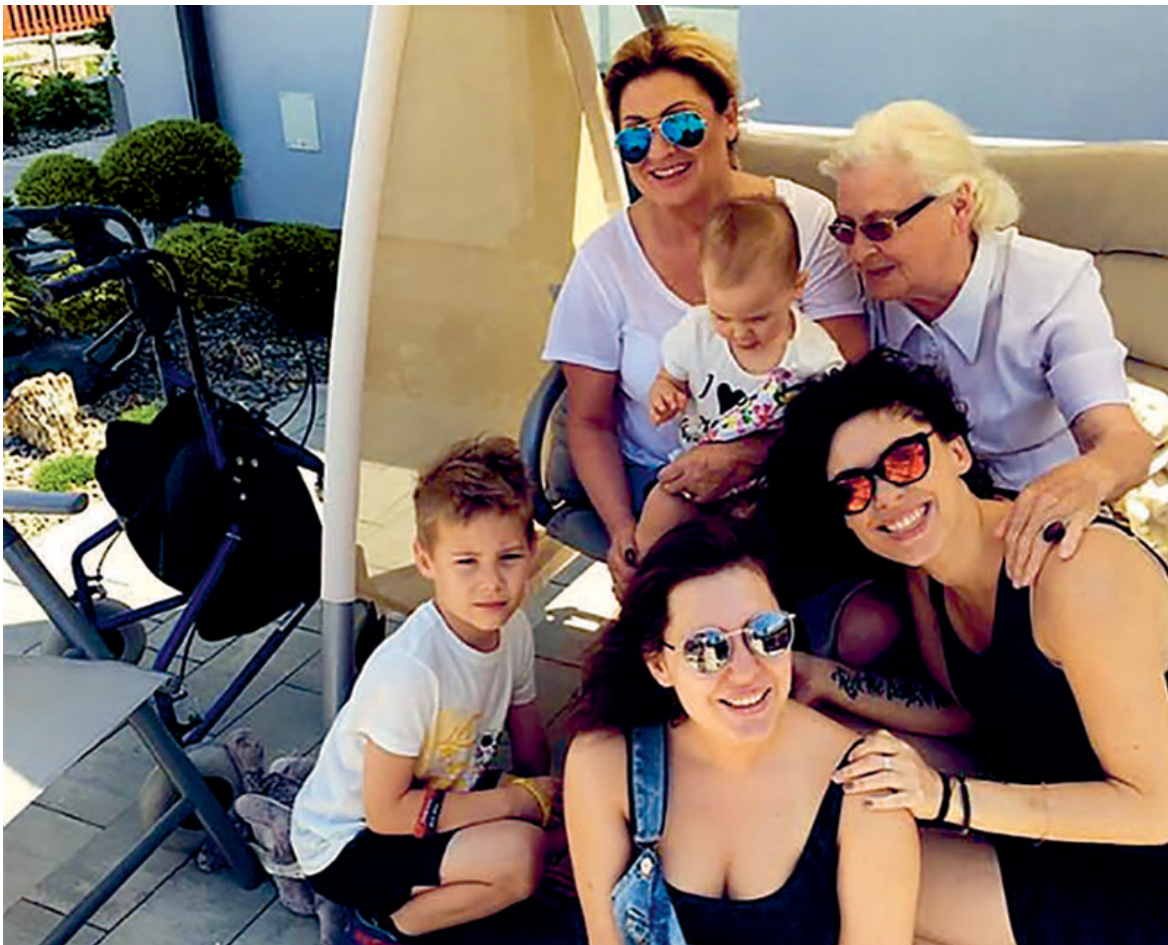
W moim cudownym ogrodzie, rok 2006.



Zostań
Proszę cię
Chociaż rozstań, już dziś nie boję się
Czasami wiem, że błędzę
Oddalam się od ciebie
Wybieram tę najkrótszą z dróg i dumna wracam znów
Nie wiem, co sprawia, że szukam słońca tam, gdzie cień
Wiedząc, że szczęścia blask jest zawsze blisko mnie
Powiedz, czy uda się wyznać prawdę jednym tchem
Żebyś taką, jaka jestem, kochał mnie
Dziś tylko tego chcę
Wiosna
Wszystko zmienia się
Takie proste, lecz już nie dla mnie, nie
Czasami wiem, że błędzę
Czasami boję się swych myśli
Co będzie, kiedy wrócę i zamknięte będą drzwi
Nie wiem, co sprawia, że szukam słońca tam, gdzie cień
Wiedząc, że szczęścia blask jest zawsze blisko mnie
Powiedz, czy uda się wyznać prawdę jednym tchem
Żebyś taką, jaka jestem, kochał mnie
Dziś tylko tego chcę
Tylko ten jeden raz, zatrzymaj w biegu świat
Może w tej przestrzeni znajdziesz dla mnie czas
Sama nie wiem, co sprawia, że szukam słońca tam, gdzie cień
Wiedząc, że szczęścia blask jest zawsze blisko mnie
Powiedz, czy uda się wyznać prawdę jednym tchem
Żebyś taką, jaka jestem, kochał mnie
Dziś tylko tego chcę
Czekam na ten dzień
Powiedz, czy uda się wyznać prawdę jednym tchem
Żebyś taką, jaka jestem, kochał mnie
Dziś tylko tego, tylko tego chcę
Zostań.



Jednak w tym czasie coraz mniej chętnie wracałam do Lublina. Zostawałam w Warszawie, żeby spędzać jak najwięcej czasu z moim ukochanym wnukiem, który przyszedł na świat w 2010 roku. Jednocześnie z każdym dniem czułam, że coraz bardziej potrzebuję wolności.




Najważniejsze osoby w moim życiu: wnuczka Zosia (na moich kolanach), mama, wnuk Sebastian oraz Kasia i Agatka.

Nasze życie rodzinne było w tym czasie pełne wzlotów i upadków. Nie wiedziałam, co z tego wyniknie. Miałam wrażenie, że stoję nad przepaścią i jeden krok może zdecydować

o mojej przyszłości. Ale obok mnie były przecież moje córki, cały czas, i Kasia, i Agata. Razem stanowiłyśmy wielką siłę, ich wsparcie czuję do dziś. Zawsze uwielbiałam nasze wspólne wyjazdy, gdzieś w Polskę albo do Czech czy Hiszpanii. Podróż samochodem, śpiewy i tańce – dosłownie za kierownicą – wspólne śpiewanie hitów Piaska czy Varius Manx, których teksty przerabiałymy regularnie według naszych własnych pomysłów. Chętnie bym je tu zaprezentowała, ale wybaczcie, nie nadają się do publikacji...

Te chwile należały i należą tylko do nas. I te właśnie chwile prywatności sprawiają, że wciąż stoję trzeźwo na ziemi. Z koncertowych uniesień wracam do normalnego domu, gdzie sprzątam, oglądam filmy, siedzę w ogrodzie, no i gotuję. Kocham gotować. Nauczyła mnie tego moja ukochana teściowa. Jej duch unosi się zawsze nad nami w czasie Wielkanocy i Bożego Narodzenia, gdy wspólnie z córkami robimy rybę po grecku, sałatkę jarzynową czy słynny pasztet według jej przepisu. Ostatnio dziewczyny znalazły stare przepisy ich Babci Dziuni, a mojej teściowej. Wśród nich najlepszy na świecie czekoladowy tort z wiśniami na spirytusie. Kiedy go robimy, dodajemy dużo spirytusu!

Każda kobieta, która jest szczęśliwa, ma dom i rodzinę, chciałaby, by to trwało wiecznie. Ale życie wciąż się zmienia. I ja też potrzebowałam ZMIANY.



Ten szalony dzień, dzień wielkiej ZMIANY, zmierzał ku finałowi. Kaśka wracała do Warszawy, ja kończyłam przygotowania do porozwodowej imprezy. I wtedy niespodziewanie zadzwonił telefon.

– Halo? Czy to moja BYŁA żona? – To był Andrzej.

Od dwóch lat byliśmy w separacji i z całego serca życzyłam mu, aby znalazł sobie kobietę, która będzie silniejsza i skuteczniejsza niż ja w walce z jego problemem.

– Tak, BYŁY mężu... Jesteśmy już po rozwodzie.

– Jak się czujesz?

– Dobrze, naprawdę czuję się dobrze, bo zrobiłam to z klasą. Jestem tylko potwornie zmęczona całym tym medialnym szumem.

– Rozumiem, Beata, chociaż to na mnie wylało się najwięcej pomyj – odpowiedział rozżalony Andrzej.

– To już nie jest mój problem. Wybacz, ale śpieszę się na kolację.

– A, rozumiem... Pewnie ze swoją nową miłością, o której tak dużo opowiadasz w mediach? – zapytał Andrzej.

– Na szczęście to też już nie jest twoja sprawa.



Przerwałam tę rozmowę. Nie chciałam się dłużej denerwować.

Dokończyłam makijaż, przebrałam się, zamówiłam taksówkę i pojechałam. W restauracji nad Zalewem Zemborzyckim czekali już moi przyjaciele i zespół, prawie w pełnym składzie. Przywitali mnie radośnie. Zaczęliśmy rozmawiać i szybko się okazało, że właśnie dołączyłam do większości w naszej kapeli. Bajm to prawie sami rozwodnicy.

Takie życie, taki lajf – jak to mówią. Nie jest łatwo żyć z artystą, zwłaszcza z muzykiem, który wiecznie jest w trasie, w rozkręconych na pełny regulator emocjach, a do tego często pokazuje się w mediach, czym nie zawsze budzi zdrowe zainteresowanie. Czasami trudno jest mu oprzeć się pokusom...

Bawiłam się świetnie, mogłam w końcu zrzucić z siebie stres, który towarzyszył mi przez cały ten dzień. A może i przez lata, które go poprzedziły. Rozmawialiśmy, wspominaliśmy radośnie i szczerze, bo tak właśnie wyglądają relacje między mną i przyjaciółmi oraz współpracownikami: opierają się na szczerości i zaufaniu. Ale tym rozmowom wciąż towarzyszył natłok myśli w mojej głowie. Jak będzie wyglądała moja przyszłość? Jak poukładam sobie życie zawodowe? Czy podołam?

Ale znów postanowiłam zaufać intuicji. A ona podpowiadała mi, że nawet jeśli na początku będzie trudno, będzie też ciekawie. No bo jak z moją kreatywnością i temperamentem mogłoby być inaczej?

Nie pomyliłam się. Kolejne lata przyniosły wielkie zmiany. Bywało ciężko. Popełniałam błędy. Czasami ufałam niewłaściwym ludziom. Ale szłam do przodu, w końcu sama decydowałam o sobie. Jak coś nie wyszło, odpowiedzialność brałam na siebie, więc kiedy przychodził sukces, szczęście i satysfakcja były podwójne.

Ten nowy etap w moim życiu przyniósł mi niesamowitą lekcję, którą chcę się dzielić z Wami, ze światem: jeśli jesteście nieszczęśliwi w swoich związkach i w tym, co robicie, zawsze jest czas, żeby to zmienić. Niezależnie od tego, w jakim jesteście wieku.

Poszukiwanie satysfakcji, szczęścia, radości, zaufania i intymnej bliskości jest najważniejsze. Każdy człowiek tego potrzebuje. Żyjemy tu i teraz, więc dlaczego mielibyśmy szansę na szczęście odkładać na później albo z niego rezygnować. Nikt z nas nie wie, co będzie po tamtej stronie lustra. Dlatego otaczajcie się ludźmi, którzy będą dodawać Wam energii, zamiast ją odbierać, będą Was motywować, a nie gasić. Dzięki którym, nawet jeśli chwilowo będziecie w głębokiej dupie w nowym porzodkowym świecie, będziecie czuć się bezpiecznie.



Po rozwodzie powoli budowałam swoje imperium. Kupiłam piękny dom, nagrałam piękną, ważną płytę, stworzyłam firmę, która świetnie prosperuje. Poukładałam sprawę z moim byłym mężem. Można? Można!

Równocześnie jednak, obok mojego ukochanego dziecka, jakim od ponad czterdziestu lat jest Bajm, zaczęłam realizować mnóstwo innych projektów. Moich własnych projektów, które sprawiają mi niesamowitą frajdę i pobudzają mój apetyt na rozwój.

Przygoda zwana życiem wciąż trwa. Mam nadzieję, że jesteście gotowi na jej ciąg dalszy. Jestem przekonana, że ten ciąg dalszy, to wszystko, co zrobiłam w życiu zawodowym i prywatnym po rozwodzie, będzie kolejną opowieścią, do której Was wszystkich zaproszę.

WASZA KRNĄBRNA BEATA

PS Za liczne przekleństwa i pojawiający często w mojej opowieści alkohol bardzo Was przepraszam. Mam nadzieję, że w Waszym życiu nie ma tego cholerstwa!



